ROZMOWA „DO RZECZY”

Polska nie jest rządzona z Warszawy – przestrzega Grzegorz Braun



TYGODNIK LISICKIEGO

# DO RZECZY

NR 6/615 3–9 LUTEGO 2025

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kosztowna ksenofilia – czeka nas inwazja migrantów




Deutsche Wirtschaft – gospodarka Niemiec szoruje po dnie

# KIM PAN JEST, PANIE MUSK?

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 44 500 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

# NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

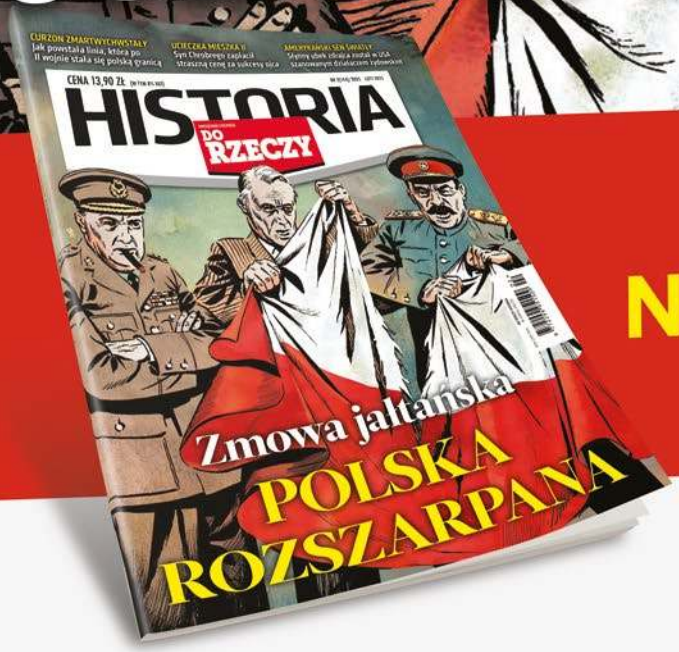


## KTO NAS ZDRADZIŁ W JAŁCIE?

**Churchill kontra Roosevelt i Stalin** – Sowiecki dyktator mógł liczyć w Jałcie na zastanawiającą przychylność prezydenta USA

**Curzon zmartwychwstały** – Jak Brytyjczycy wyrysowali linię, której przebieg jest bardzo zbliżony do obecnej wschodniej granicy Polski narzuconej nam w 1945 r.

**Ucieczka Mieszka II** – Następca Bolesława Chrobrego zapłacił straszną cenę za sukcesy swojego ojca

**Plajty, które zmieniły świat** – Największe bankructwa w dziejach przyczyniały się do wielkich zmian politycznych i społecznych

**Sok z człowieka** – Opisywanie odrażającego obyczaju antropofagii to według niektórych badaczy „narzędzie białej supremacji"

**Kozacki bat na Lenina** – Ataman Aleksandr Dutow jako pierwszy rzucił wyzwanie bolszewikom. Wrogowie nie darowali mu tego nawet po jego śmierci

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 8d07af6ce2

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

# Kiedy nas pouczają

Jak można było łatwo przewidzieć, 80. rocznica wyzwolenia niemieckiego obozu Auschwitz nie tylko nie została przez Polskę wykorzystana do pokazania światu swojej własnej pamięci historycznej, lecz także – przeciwnie – stała się okazją do promowania obojętnej lub niekiedy wręcz wrogiej Polsce wizji dziejów. Nie da się ukryć, że do tej klęski nikt nie przyczynił się bardziej niż obecna minister nauki, Barbara Nowacka. Przypomnę, że występując na międzynarodowej konferencji w Krakowie, polska minister stwierdziła, iż „na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy, które były obozami pracy, a potem stały się obozami masowej zagłady". Dopiero po kilkunastu godzinach, pod wpływem narastającej lawinowo krytyki, opublikowała przeprosiny i ogłosiła, że się przejęzyczyła. Nie przeczę, że błędy, wpadki i lapsusy mogą się zdarzyć każdemu. Jednak z kilku powodów zachowania minister Nowackiej nie da się usprawiedliwić.

Po pierwsze, podejrzewam, że nie chodziło o żaden lapsus, ale o nieświadome wyznanie (powiedzmy byłaby to freudowska pomyłka) tego, co tak naprawdę ona sama i stojące za nią środowisko myślą. Po drugie, gdyby faktycznie chodziło o przejęzyczenie – trudno pojąć, dlaczego minister nie zareagowała od razu. Po trzecie, zważywszy na odbiorców, tj. przedstawicieli różnych zachodnich instytucji naukowych i edukacyjnych, minister Nowacka musiała zdawać sobie sprawę z tego, że jej słowa idealnie pasują do dominującego na Zachodzie przekazu.

Z tych wszystkich powodów twierdzenie o katastrofie wizerunkowej, za którą ponosi odpowiedzialność pani Nowacka, jest jak najbardziej uzasadnione. Bowiem – i to jest argument najważniejszy – w takim otoczeniu i w takiej sytuacji mylić się nie wolno. Więcej – taka rocznica powinna zostać wykorzystana przez Polskę do podkreślenia znaczenia własnych ofiar i zdecydowanego przeciwstawienia się holokaustiańskiemu przekazowi, promowanemu przez różne środowiska żydowskie, zgodnie z którym Polacy występują jako współsprawcy niemieckiej zbrodni ludobójstwa.

Oczywiście wiem, że to wykracza poza horyzont intelektualny rządzących, dlatego też trudno się dziwić, że uroczystości przebiegły tak, jak przebiegły, i że coraz trudniej broni się polskiej pamięci historycznej. Kto ma to robić? Pan Adam Leszczyński, szef przejętego przez Platformę Instytutu Narutowicza (dawniej Dmowskiego), znany tropiciel polskiego antysemityzmu (jego ofiarą stał się m.in. prof. Jacek Bartyzel), który zaprasza jako wykładowcę Jana Grabowskiego? Tak, tego Grabowskiego, który opowiada o setkach tysięcy Żydów wymordowanych przez Polaków! A może obrońcą ma być pan Marcin Napiórkowski, nowy dyrektor Muzeum Historii Polski, który twierdził, że „antysemityzm stał się uniwersalnym kodem dla naszych lęków, nienawiści, manipulacji; istnieje niezależnie od tego, ilu Żydów jest dookoła nas"? Wolne żarty. Mając takich obrońców, nie należy się dziwić, iż pamięć o polskich ofiarach ze światowej pamięci musi zniknąć.

I tak choćby odwiedzający Centrum Kultury Żydowskiej na Kazimierzu w Krakowie król Karol III zapomniał, wymieniając prześladowanych przez III Rzeszę, wspomnieć o Polakach. Powiedział: „To moment, w którym wspominamy 6 mln Żydów, starych i młodych, którzy zostali systematycznie wymordowani, a także społeczność Sinti, Romów, osób niepełnosprawnych, członków społeczności LGBT, więźniów politycznych i wiele innych osób, którym naziści wyrządzili krzywdę i okaleczyli ich nienawiścią". Doprawdy, mówić o Auschwitz, nie wspominając o drugiej pod względem liczebności grupie zamordowanych, jest zwyczajną bezczelnością, nawet jeśli robi to król.

Dlaczego jednak Karol mówi to, co mówi? Bo z jednej strony mamy bierność i słabość polskich instytucji, z drugiej zaś skuteczność i aktywność kluczowych podmiotów żydowskich. Z tego punktu widzenia być może najważniejszym głosem była wypowiedź prof. Havi Dreifuss. – Omijanie przypadków kolaboracji z nazistami to zniekształcanie historii – powiedziała izraelska uczona PAP. Według niej „w ostatnich latach w Polsce doszło do ataków na badaczy prowadzących rzetelne badania analizujące przypadki, gdy polscy obywatele uczestniczyli w Zagładzie Żydów". Pani Dreifuss kieruje Centrum Badań nad Holokaustem w Polsce w instytucie Yad Vashem.

Rzeczywiście, trudno o lepszą definicję hucpy: przyjechać do Polski, żeby wychwalać propagandzistów pokroju Grabowskiego i Engelking oraz mądrzyć się na temat „kolaboracji Polaków z nazistami w Holokauście". Nadzieją jest – dodatkowo zauważyła pani profesor – to, że Polska „zmaga się ze swoją przeszłością". Najwyraźniej, można sądzić, przykładem takiego zmagania się były właśnie słowa minister Nowackiej.

Cóż, nie pierwszy to taki wywiad. Żałuję tylko, że w długiej rozmowie z izraelską historyk nie padło pytanie, na jakim etapie „zmagania się z przeszłością" znajdują się Żydzi i czy w ramach tego „zmagania się" Yad Vashem prowadzi badania nad rolą żydowskich judenratów oraz policji żydowskiej, które to – jak przed laty już dowiodła Hannah Arendt – były niezbędnymi ogniwami niemieckiej zbrodni. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

## TEMAT TYGODNIA


**14** WOJCIECH GOLONKA
**ZMORA ŚWIATOWEGO LEWACTWA**
Zagadka Elona Muska

**19** JACEK PRZYBYLSKI
**MEGA SZANSA DLA EUROPY**


## KRAJ


**22** ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
**PRZESTRZEŃ NIEPEWNOŚCI**
My sami musimy sięgnąć po suwerenność narodu

**26** ROZMOWA Z BEATĄ SZYDŁO
**RZĄD ŻYWI SIĘ CHAOSEM**

**30** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**TUSK PO ZŁEJ STRONIE HISTORII**

**32** KACPER KITA
**HEGEMONIA KACZYŃSKIEGO KRUSZEJE?**

**35** ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
**DAMA PRZY PREZYDENCIE**

**38** ŁUKASZ WARZECHA
**STANOWSKI TO NIE STAŃCZYK**


## KULTURA


**40** PIOTR GOCIEK
**TRZECH JEŹDŹCÓW APOKALIPSY**
Wojna o fabrykę snów

**43** GRZEGORZ KONDRASIUK
**OPERETKOWANIE MOZARTA**


## NIE PRZEGAP


**44** NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI, GRA**


## OPINIE


**48** JAN FIEDORCZUK
**KOSZTOWNA KSENOFILIA**
Czeka nas inwazja migrantów

**51** ANNA MANDRELA
**CHANUKA ALBO BOŻE NARODZENIE**

**54** PIOTR SEMKA
**W POLITYCE UŻYWA SIĘ SIŁY, ALE RZĄDY PRAWA SĄ LEPSZE**

**56** PAWEŁ CHMIELEWSKI
**BARBARZYŃCY U BRAM KOŚCIOŁA**


## HISTORIA


**58** PIOTR SEMKA
**PAŁAC WIECZNIE ŻYWY**
Chocholi taniec dookoła niemieckiej historii


## ŚWIAT


**64** ROBERT BOGDAŃSKI
**IRAŃSKA NUKLEARNA NIEWIADOMA**
Konflikt Teheran – Tel Awiw

**66** MACIEJ PIECZYŃSKI
**DLACZEGO BIAŁORUSINI NIE CHCĄ CICHANOUSKIEJ**

**68** PIOTR WŁOCZYK
**KTO KOGO WPUSZCZA W KANAŁ**


## EKONOMIA


**70** JAN BOGATKO
**DEUTSCHE WIRTSCHAFT**
Niemiecka gospodarka w kryzysie


## STYL


**74** JOANNA BOJAŃCZYK
**DLACZEGO WSZYSCY NOSZĄ BIAŁE BUTY?**
Pozasportowa kariera obuwia sportowego


## FELIETONY:


SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)




eprasa.pl 8d07af6ce2

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Brandon Bell/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

**Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.**

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
**Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Adam Borzęcki,** a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
**Joanna Gosek, Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
**Kolporter sp. z o.o.** (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
**Garmond** tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
**GLM sp. z o.o.** tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
**Poczta Polska** https://prenumerata.poczta-polska.pl/

**ISSN nakładu podstawowego 2299-8500**
**Nr indeksu 288 829 Nakład: 44 500 egzemplarzy**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

**Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin**

## Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

## Mogiła

*Jestem członkiem już nielicznej rodziny, która uniknęła rzezi wołyńskiej. Uratowały nas: wysoka umiejętność sztuki rzemiosła kowalskiego Ojca, wykazywana praktyczna więź z folklorem ukraińskim i w większości sąsiedztwo naszego domostwa na polskim chutorze należącym do polskiej wsi z Ukraińcami – sztundystami.*

*W 1996 r. udało się wyrżniętej i częściowo spalonej w stodole dziadka ok. 50-osobowej Rodzinie sporządzić we wsi, obecnie już tylko ukraińskiej, dodam prawie wyludnionej, mogiłę z ocenzurowaną napisaną informacją [...]. Dopóki co dwa–trzy lata, do 2017 r. bywałem tam, dopóty miejsce to miało znamiona normalnie rzadko odwiedzanego. Przed dwoma laty dotarł do nas obraz zbezczeszczonej płyty nagrobnej, dodatkowo tonącej w śmieciach. Można się tego było spodziewać.*

*Jesienią ub.r., dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, udało się mogile przywrócić poprzedni wygląd. Istotną informacją, którą tym listem przekazuję, jest to, że dalsze utrzymywanie mogiły w należytym porządku będzie wymagać wykupienia miejsca, na którym zlokalizowana jest płyta nagrobna. Czy ten warunek zostanie utrzymany dla innych miejsc pochówku?*

*Posiadam imię i nazwisko rzadkie [...]. Nie chcę przeto zaszkodzić spoczywającym snem wiecznym i tym, których nostalgia mogłaby zostać nieuspokojona. Przepraszam.*

## „Włoski" strajk demograficzny

*Szanowni Państwo,*
*jeszcze w latach 70. XX w. wystarczyło podnieść cenę cukru o 2 zł, by wybuchły strajki w Radomiu. Tymczasem współczesnemu człowiekowi, otępiałemu egzystencją w świecie dzikiej finansjery, zwariowanych polityków, infantylnych celebrytów, sztucznych pandemii, bezkarnego ludobójstwa, nachalnej propagandy wszelkiej maści i rozbuchanego konsumpcjonizmu, nie chce się już nawet wzniecać buntów. Nauczony doświadczeniem, że rewolucja znowu wyprodukuje głównie szumowiny i męty, wybrał bierny opór i postanowił przestać się rozmnażać. Za taką rzeczywistością głosuje „brzuchem".*

*Zupełnie jak myszy w eksperymencie Calhouna, o wdzięcznej nazwie „mysia utopia".*

***Z poważaniem***
***Ewa Kowynia***

eprasa.pl 8d07af6ce2

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Kampania długiego marszu

PIOTR SEMKA

Nastroje w obozach dwóch wielkich rywali w wyścigu do prezydentury ostatnio się wyrównały. Badania mnożą się jak króliki i trudno z nich wykoncypować, kto z dwójki Trzaskowski – Nawrocki jest na krzywej wznoszącej. Ostatni sondaż IBRiS dla tygodnika „Polityka" daje w I turze Trzaskowskiemu 38,9 proc. a Nawrockiemu – 27,1 proc.

Wiedząc, jak zmienne bywają badania, obie strony skupiają się raczej na tym, aby unikać błędów. A tu każdy dzień kampanii może być pułapką. Przekonał się o tym obywatelski kandydat PiS, gdy – jak można sądzić, z szacunku dla księżowskiej sutanny – zapomniał demonstracyjnie odciąć się od propozycji wymierzenia Antoniemu Dudkowi „prawego prostego". To potknięcie wykorzystała Platforma do odgrzania wizerunku Nawrockiego jako „przemocowca".

W wypadku obywatelskiego kandydata PiS najwyraźniej kończy się już pierwsza faza, w której starał się on przebić ze swym nazwiskiem do świadomości większości Polaków. Teraz pojawią się oczekiwania na propozycje programowe i będzie to kolejny egzamin dla historyka z Gdańska.

A co poza „wielką dwójką"? Można już chyba orzec, że Szymon Hołownia nie wygrzebie się z poziomu 6–7 proc. Próba wskrzeszenia wizerunku kogoś spoza sporu PO-PiS przekonała niewielu, a przaśne bon moty pana marszałka nie bawią już prawie nikogo. Co więcej, do wyniku Hołowni zbliża się powoli Małgorzata Biejat, która w sondażu IBRiS dla tygodnika „Polityka" dostała 4,2 proc. wobec 6,4 proc. Hołowni. Ten sam sondaż IBRiS musiał zepsuć humor Sławomirowi Mentzenowi, który uzyskał w nim jedynie 8,9 proc. To chyba wskazówka, że liderowi Konfederacji wyborców podbiera duet Grzegorz Braun (1,4 proc. głosów) i Krzysztof Stanowski (2,5 proc.). Choć oczywiście stosunkowo niski wynik twórcy Kanału Zero wskazuje, że samo jego nazwisko nie winduje go na razie zbyt wysoko.

Do tego krajobrazu kandydatów dreptających w miejscu dochodzi jeszcze Adrian Zandberg, który z wynikiem 0,9 proc. ustępuje nawet prawicowemu Markowi Jakubiakowi, który może liczyć według sondażu na 1,2 proc. głosów. Jeśli partia Razem wciąż wierzy, że to kandydat Lewicy przyszłości, to czas porzucić złudzenia. Dziś duński drwal to kandydat dla prawie nikogo.

Tyle wyniki sondaży. Co pozostaje dwóm największym kandydatom? Nawrocki może się pocieszać że trendy społeczne są po jego stronie. Socjolodzy pouczają lewicowy Salon, że tzw. prawa kobiet przestały być palącym tematem, a gorączka wokół klimatu stygnie. Na dodatek rząd Tuska coraz wyraźniej staje się kulą u nogi Trzaskowskiego. Nawet tygodnik „Polityka" wypomina koalicji, że rządowi PO-Trzeciej Drogi i Lewicy brakuje programu, planu i priorytetów. A co na to obóz lewicowo-liberalny? Tutaj najwyraźniej panuje przekonanie, że godne brukowców śledztwa w sprawie „statku miłości" zgruchoczą wizerunek Karola Nawrockiego. Tyle że zwykli wyborcy mogą zadecydować w maju o wyborze kandydata po zajrzeniu w portfel. A tam miesiąc w miesiąc pieniędzy coraz mniej. ©℗

FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

## KATASTROFA W WASZYNGTONIE

Sześćdziesięciu pasażerów i czterech członków załogi znajdowało się na pokładzie samolotu Bombardier CRJ-700 linii American Airlines, który po zderzeniu ze śmigłowcem Black Hawk runął do rzeki Potomak tuż przed pasem startowym lotniska im. Ronalda Reagana. Mimo szybko rozpoczętej akcji ratunkowej nie udało się nikogo uratować. Jak podał portal Zza Oceanu, wśród ofiar jest 42-letnia Polka Justyna Magdalena Beyer, która podróżowała wraz z 12-letnią córką Brielle, utalentowaną łyżwiarką. ***(jap)*** ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

# dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dziwna sprawa. Oto sekwencja wydarzeń: znajoma wiewiórka opowiada nam, że reporter „śledczy" pewnego wiodącego medium w Polsce, o którym wszyscy wiedzą, że zblatowany jest ze służbami, rozpowiada, że kandydat Nawrocki jest skończony. Dlaczego? Bo „służby mają na niego grubszą obyczajówkę i ją odpalą". Uprzedzeni zaczynamy czujnie rozglądać się po świecie, by zobaczyć, kto będzie ten montaż spinował. Dzień czy dwa dni później okazuje się, że jako pierwszy o rzekomych miłosnych podbojach Nawrockiego zaczyna opowiadać prof. Antoni Dudek. No i co my mamy o tym myśleć?

Trzecia Droga (na którą niektórzy mówią „Ciecia Droga", choć nie ma w niej Grasia) ma potężny problem. Otóż jej immanentna część, którą jest Peezel, nie tylko nie chce płacić na kampanię Hołowni, ale w ogóle zamierza wymiksować się z tego całego układu. Chłopy czują, że Szymon Płaczliwy przerżnie wybory, uzyskując wynik zbliżony do Biejat, czyli poniżej 5 proc. Uważają więc, że lepiej zbierać już na kampanię parlamentarną. Własną, a nie Cieciej Drogi. Możemy więc chyba uznać, że Polska 2050 była primadonną jednego sezonu.

Kandydat Mentzen jest na haju ciężkiego optymizmu, przekonany, że ma szansę na wejście do drugiej tury, a wtedy wszystko może się zdarzyć. Swoje przekonanie czerpie z tego, że na jego spotkania przychodzi spora publiczność. Jest tylko jeden problem. Mentzen ich nie legitymuje. Inaczej wiedziałby, że średnia wieku na spotkaniach to jakieś 16 lat. Nie wiemy, czy mu zdradzać, że kuce w tym wieku nie mają jeszcze czynnego prawa wyborczego. Oczywiście Mentzen może sobie roić, że to dla niego świetny prognostyk na przyszłość. Ale chyba tylko dlatego, że nie zna starej zasady Panów G. – kto za młodu nie był kucem, ten na starość będzie świnią.

Jest w otoczeniu Mentzena jeden człowiek, który to doskonale rozumie. A konkretnie człowiek, który Mentzena wylansował, czyli Przemysław Wipler. Problem polega na tym, że Mentzen nie chce słuchać starszego i bardziej doświadczonego kolegi. Wobec czego obecnie obaj panowie serdecznie się nie znoszą. Znamy Przemka wystarczająco długo, by wiedzieć, że z tego starcia wyjdzie obronną ręką.

Nie mamy też najmniejszych wątpliwości, że sporą część elektoratu odbierze Mentzenowi kandydat Grzegorz Braun. Sam Grzesiek nie miał specjalnej ochoty, by startować, ale jego otoczenie przekonało go, że to ostatnia szansa, by wybić się na niepodległość, czyli wyjść z Konfederacji. Otoczenie Grześka to przede wszystkim Sebastian Pitoń. To ten gościu w góralskim kapelusiku, który przekonywał, że COVID-19 nie istnieje. Jednak ta zaraza dopadła również Pitonia. Co chyba tym bardziej przekonało Pitonia, że nie istnieje, skoro go nie zabiła.

Tymczasem w Brukseli. Zgodnie z naszymi zapowiedziami w Brukseli odbył się zjazd MEGA, czyli Make Europe Great Again. Było tłoczno, bo goście dopisali z czterech kontynentów, to znaczy obu Ameryk, Australii i Europy. Aby nie dopuścić do waśni wśród ludzi o wyrazistych poglądach, impreza odbywała się w dwóch różnych hotelach. W jednym mieszkali głównie eurorealiści, w drugim – eurosceptycy. Z ciekawostek – na imprezę dotarł nawet przewodniczący parlamentu Paragwaju.

Jeśli chodzi o wystąpienia programowe i kwestie merytoryczne – było bogato. Ale jeśli chodzi o elementy entertajmentowe, dość skromie, gdyż organizująca event frakcja Europejskich Konserwatystów i Reformatorów nie jest zbyt zasobna. Więc kiedy przyszedł czas na element luźny, czyli wieczorne EKR Party, okazało się, że każdy musi płacić za siebie, nawet za drobną kawę czy inny napój. Nas to nie dziwi. Całe życie musieliśmy płacić sami za swoje kawy. I inne napoje też.

Tak bardziej na serio, gdyby ktoś pytał, co z tego realnie wyniknie i czy Europa będzie już wkrótce Great Again. Nie wiemy, czy cała Europa, ale bardzo realne jest powstanie nowej wielkiej frakcji w europarlamencie, która zbierać będzie całą prawicę i eurorealistów, i eurosceptyków. Kiedy? Ano w styczniu 2027 r., kiedy na półmetku kadencji europarlamentu zmieniały się będą obsady wszelkich funkcji. Wtedy nowa superfrakcja ma powstać, zaatakować i zdobyć wiele niedostępnych dotąd stanowisk. Pożyjemy, zobaczymy.

Na koniec opowieść, która niech będzie pięknym epilogiem tegorocznych sporów o WOŚP. Otóż pewien sędzia Sądu Najwyższego miał nieprzyjemność podczas zakupów w Lidlu. Przy kasie, kiedy panna zaproponowała mu datek na Owsiaka, sędzia nieopatrznie zażartował: „A można na Rydzyka?". Wtedy stojący za nim staruszek odpalił i jął go wyzywać. „Katolickie ścierwo" było jednym z łagodniejszych określeń. Zawsze wiedzieliśmy, że prawdziwa dobroczynność nie boi się zdecydowanych poglądów.

Uwaga, jest ciąg dalszy. Wyzywany sędzia zachował spokój do momentu, kiedy staruszek użył sformułowania „skur..syn". Uznał, że obraża to jego matkę, więc w odpowiedzi rzucił: „Chyba praca w UB musiała panu nerwy popsuć". Musiał trafić w czuły punkt, gdyż staruszek zdzielił go laską w plecy. A następnie zachował się klasycznie po ubecku i zawołał ochroniarza, kiedy sędzia ładował zakupy do samochodu. Ochroniarz kazał się sędziemu wynosić. Sędzia odmówił. Wezwano policję. Sędzia poprosił o zabezpieczenie nagrań z monitoringu. Staruszek na wieść, że napadnięty jest jednak sędzią, nagle ozdrowiał. Chwycił łaskę pod pachę i zaczął biec, znaczy uciekać. Prawdziwa dobroczynność, widzicie, czyni cuda. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

# Auschwitz w cieniu Gazy

Jak było do przewidzenia, Polska skompromitowała się deklaracją, że nie wykona wyroku Międzynarodowego Trybunału Karnego wobec Beniamina Netanjahu, zupełnie za bezdurno – premier Izraela i tak nie przyjechał. Może i szkoda, że nie przyjechał, bo wtedy wymowa tych obchodów byłaby jeszcze bardziej dobitna.

Rzecz w tym, że słowem kluczem do wszystkiego, co powiedziano i pokazano w związku z 80. rocznicą wyzwolenia obozu, było słowo, którego wszyscy starannie unikali, żeby przypadkiem nie padło. Poza jednym Grzegorzem Braunem, który wykrzyczał je – „módlmy się za ofiary ludobójstwa w Gazie" – podczas „minuty ciszy" w europarlamencie. Niezwykle charakterystyczna była reakcja służb porządkowych, które rzuciły się na niego i natychmiast wyprowadziły z sali. Podobnie reagowali komuniści na słowo „Katyń", choć oficjalnie twierdzili, że tak, była taka zbrodnia – niemiecka. Wszyscy wiedzieli, czyja, i oni sami też.

Można powiedzieć, że Braun postąpił niewłaściwie, zakłócając swym okrzykiem powagę „minuty ciszy", ale te dzikie wrzaski o „antysemickim wybryku" bardzo demaskują strażników rocznicowej poprawności. To, że w Gazie dokonywane jest ludobójstwo, i to nie na narodzie żydowskim, a wręcz przeciwnie, jest przecież oczywistym faktem, stwierdzonym przez międzynarodowy trybunał, uznawany, teoretycznie, przez wszystkie państwa europejskie.

Ten fakt czyni całe obchody w Auschwitz, mimo wszystkich ich momentów pięknych i wzruszających, festiwalem obłudy. Młócenie tych wzniosłych frazesów „musimy o tym przypominać, żeby się nie powtórzyło" w sytuacji, kiedy się powtarza, na oczach świata, który robi wszystko, żeby zbrodni nie zauważać, przyprawia doprawdy o mdłości. „Nigdy więcej"? Ale właśnie – jest. Tylko tym razem zbrodni dokonują potomkowie ofiar, powtarzając nawet niemal te same frazy („nie ma niewinnych Palestyńczyków" – to samo przecież Himmler głosił o Żydach). Jeśli to ma być nauka z Zagłady dla następnych pokoleń, to lepiej nie. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

# Wysoka cena swawoli

Niezależnie od brutalności obecnej władzy, nieporównywalnej z niczym, co działo się przez ostatnich 35 lat, istnieje istotowa różnica między samowolą polityczną Jarosława Kaczyńskiego a nihilizmem konstytucyjnym Donalda Tuska. Kaczyński prowadził politykę zmierzającą w intencjach do realizacji wartości Konstytucji, która powinna być i pozostać „najwyższym prawem Rzeczypospolitej", do zadośćuczynienia Polakom za niesprawiedliwości „z czasów, gdy podstawowe wolności i prawa człowieka były w naszej Ojczyźnie łamane", do „ochrony i opieki" państwa nad „rodziną, macierzyństwem i rodzicielstwem". Dla Tuska KonstytucJA to tylko regulamin walki o władzę, z którą – jeśli się ją demokratycznie pochwyci – można zrobić wszystko.

I niezależnie od tego, jak PiS byłby rządził, rząd Tuska, gdyby podyktowała mu to kalkulacja, mógłby zachowywać się tak samo jak dzisiaj. W latach 2005–2007 uprawiali opozycję wrzasku, a Tusk był gotów uruchomić alternatywny Sejm w czasie sporu o budżet. Nie wiem, o czym rozmawiał w 2009 r. na sopockim molo z Putinem, nie znam utajnionych stenogramów ich późniejszych rozmów telefonicznych, ale cała Polska widziała, jak zgodził się – nie bacząc na konsternację opinii publicznej i oburzenie Prezydenta – uczynić Putina gospodarzem obchodów 70. rocznicy mordu katyńskiego. Nie oglądając się na Konstytucję, „ratyfikował" pakt fiskalny, czego w sposób konstytucyjny nie mógł zrobić bez zgody opozycji.

Jednak nawet jeśli Tusk rządziłby tak samo, to opinia publiczna reagowałaby na to inaczej, jeśliby wcześniej styl rządów PiS był inny. Niestety, w okresie rządów PiS nastąpiła nie tylko skrajna polaryzacja polityczna, lecz także destrukcja wielu społecznych standardów dotyczących pokoju społecznego, praworządności, mediów publicznych. I Tusk w swej kalkulacji politycznej mógł to spokojnie wziąć pod uwagę. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

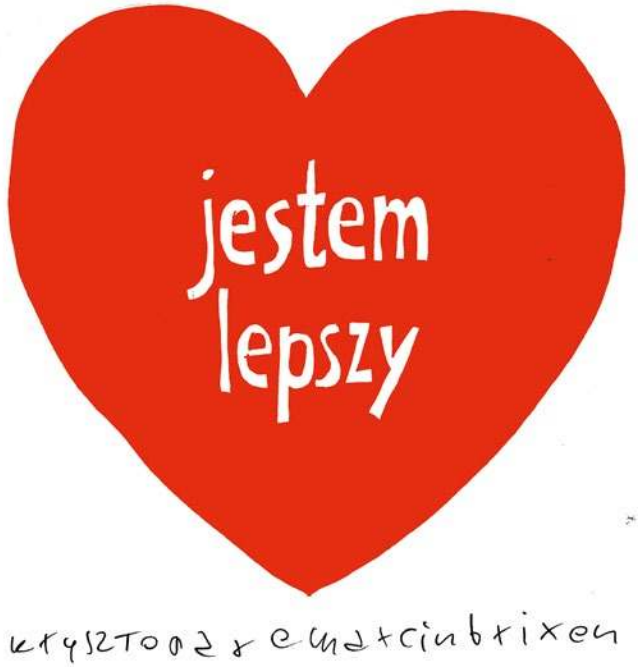

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# Bunt sędziów (włoskich)

Podczas inauguracji roku sądowego, gdy głos mieli zabrać przedstawiciele rządu, sędziowie, wymachując egzemplarzem konstytucji, opuszczali salę. Był to protest przeciwko forsowanej przez rząd reformie sądownictwa, przegłosowanej w Izbie Deputowanych. Sędziowie zapowiadają strajk. Słowem: idą na wojnę z rządem i parlamentem.

Kością niezgody jest rozdzielność karier prokuratorów i sędziów. Anomalia obecnego systemu polega na tym, że tej rozdzielności nie ma. Sędzia może być sędzią, potem prokuratorem, a potem znów sędzią. Sędziowie i prokuratorzy w jednym stoją domku. Są kolegami z pracy. To, że często może dochodzić między nimi do wymiany zawodowych przysług, jest podejrzeniem graniczącym z pewnością. Bardzo na to narzekają adwokatura oraz wielu stających przed sądem. Natomiast sędziowie z tylko sobie znanych powodów twierdzą, że to podstawa niezależności sądownictwa.

Drugim celem reformy jest ograniczenie wpływów frakcji politycznych w Narodowym Stowarzyszeniu Sędziów (ANM). Co się w normalnej głowie nie mieści, o awansach i nominacjach we włoskim sądownictwie i prokuraturze, a także o składzie Najwyższej Rady Sądowniczej (CSM) nie decydują, broń Boże, kompetencje, a układy między jawnie politycznymi frakcjami. Jest ich pięć: od szajbolewicy, przez lewicę „normalną", centrowców i niezależnych, do prawicy. Frakcje na swoich stronach internetowych politykują aż miło. Wydają cenzurki politykom i komentują wydarzenia polityczne. Wielu sędziów i prokuratorów bierze aktywny udział w demonstracjach politycznych. Co gorsza, w nacechowanych politycznie procesach wyroki często zależą od poglądów politycznych sędziów. Autorzy reformy najpewniej zdawali sobie sprawę, że tego bagna reformą nie osuszą. Proponują więc, by wybory do CSM zastąpić... losowaniem.

Najnowszy pomysł upolitycznionych sędzioprokuratorów to wytoczony właśnie nowy proces Berlusconiemu (zmarł w 2023 r.). Pewnie skażą go na męki piekielne. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



eprasa.pl 8d07af6ce2

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

# KAŻDY Z CZEGOŚ ŻYJE

Jerzego Owsiaka można tylko chwalić. Koniec kropka. Kto nie chwali, niech uważa, bo zostanie wyklęty. A że są jakieś tam wątpliwości, jakieś niejasności? Nieważne. Opadają emocje po kolejnym finale WOŚP i Katarzyna Dowbor postanowiła uciszyć krytyków „Jurasa". – W ogóle nie rozumiem nagonki na kogoś, kto zrobił tyle ważnych rzeczy, tyle dobrego [...]. W ogóle nie uważam, że nagonka na kogokolwiek jest fajna. Najwięcej piszą ludzie, którzy nie sprawdzili – ubolewa Dowbor. Weszłam na stronę orkiestry, tam są rozliczenia, więc nie wiem, o co tak naprawdę chodzi. Ludzie, którzy nie sprawdzili, nie zobaczyli, co się tam dzieje. Ten sprzęt jest kupowany, jest co roku rozliczany. Naprawdę nie wiem, o co chodzi – podkreślała w rozmowie z Pomponikiem. – Jeżeli chcesz dać na orkiestrę, to dajesz. Ci, którzy dali, nie rozliczają. Najgłośniej krzyczą ci, którzy nigdy nie dali albo nie dają, albo nigdy nie pomagali, nie współpracowali z orkiestrą. Nie chcesz dawać, nie dawaj, chcesz dać – daj, i koniec – wskazała prezenterka. Dowbor nie widzi problemu w tym, że Owsiak zarabia na swojej działalności dobroczynnej – choć nie wprost z fundacji WOŚP, ale z innych spółek. – Wiedziałam o tym, rozmawiałam kiedyś o tym z Jurkiem. On ma jakieś inne spółki, ale cały rok pracuje na rzecz Orkiestry. Z czegoś trzeba żyć [...]. Uważam, że to jest w porządku, że właśnie ta wielka akcja, która co roku jest wydarzeniem na skalę światową, [...] to jest fajne, że on to robi pro publico bono – przekonuje. „Juras" na prezydenta. Albo co tam, od razu na świętego.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

# DRAMA QUEEN

Marianna Schreiber korzysta z przeciągających się nadmiernie pięciu minut zainteresowania medialnego. Celebrytkoaktywistka pojawiła się w programie Kanału Zero prowadzonym przez raperów Tedego i WuWunia. Miało dojść do „konfrontacji", ale zamiast tego wyszła... kompromitacja? Schreiber zamiast odpowiadać na niewygodne pytania, postanowiła wygłosić oświadczenie i wyjść. – Wielokrotnie zastanawiałam się, co mi przyszło do głowy, żeby tutaj przyjść, bo przecież praktycznie co tydzień byłam tutaj obrażana, wyśmiewana, poniżana i wyzywana. Czy ktoś normalny przyszedłby po czymś takim do takiego programu? No nie. Ale pomyślałam sobie, że to jest jedyna okazja, żeby Wam, odbiorcom, uświadomić, z kim macie do czynienia, kiedy oglądacie ten program – zaczęła. Dalej Marianna zaatakowała prowadzących program. – I teraz zobaczcie. Po tej stronie macie podstarzałego satyra, niespełnionego rapera, narkomana, który wystąpił w teledysku ze Słowikiem, szefem polskiej mafii. A tutaj macie osobę, która wybiła się w Internecie na niepełnosprawnych – opisywała. Wyraziła oburzenie na standardy panujące w medium Stanowskiego. – Myślicie, że wy się z kogokolwiek śmiejecie? Wy tutaj uprawiacie hejt. Kiedy będzie informacja, że ktoś przez was próbował popełnić samobójstwo? To są właśnie standardy tego programu. Jak pan, panie Stanowski, chce rozliczać polityków, jak pan nie potrafi rozliczyć własnych pracowników? I szczerze, minister Kotula myśli, że jest magistrem, a wy myślicie, że jesteście fajni i macie cokolwiek fajnego do powiedzenia – kontynuowała celebrytka. – Z szacunku do siebie muszę opuścić ten program i bardzo was proszę, żebyście zostawili mnie w spokoju i dali mi święty spokój. Będę się za was po prostu modlić. Szczęść Boże. A wy z szacunku do siebie przestańcie oglądać tych idiotów. Dziękuję – zakończyła, po czym teatralnie odrzuciła bukiet podarowany przez prowadzących. Jest jeden prosty sposób, aby Marianna przestała nas dręczyć. Przestać ją zapraszać. To takie proste.

# ŻALE NA POLSAT

Wiadomo jednak, że czasami parcie na szkło przesłania zdrowy rozsądek. Marianna to przypadek skrajny, niektórzy przejawiają owo przesłonięcie nieco subtelniej. I tak aktor Piotr Mróz, który jest aktualnie na topie w związku z serialem „Gliniarze" oraz zwycięskim występem w „Tańcu z gwiazdami", wyżalił się mediom. Gwiazdor twierdzi, że Polsat nie korzysta wystarczająco z jego potencjału. – W żaden sposób nie monetyzuje tego sukcesu. Ja jestem stacji Polsat bardzo wdzięczny, cieszę się, że mam tam stałą pracę i że stacja mnie wypromowała – stwierdził. I przyznał, że stoi za tym wstawiennictwo Niny Terentiew. – Mam też świadomość, że nasz potencjał „gliniarzowy" nie jest w żaden sposób wykorzystywany w stacji. Wydaje mi się, że już jakiegoś dużego rozwoju w tej stacji nie mam, i to mnie smuci oraz przeraża. Bardzo się cieszę, że jestem w „Gliniarzach", i w żaden sposób nie chcę rezygnować z tego projektu, też nie chciałbym być źle zrozumiany – jestem wdzięczny tej stacji, ale z tego, co widzę, już nie jestem w stanie się tam rozwinąć – wskazał. Szykuje się „podmianka" pracodawcy? Temat „podmianek" jest przecież ostatnio na czasie. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Polacy chcieli Trumpa, no to mają Trumpa. Jak głosi stare chińskie przysłowie: Uważaj, czego sobie życzysz. No i teraz nawet kilkadziesiąt tysięcy Polaków może być deportowanych z USA do tego kraju.

Dla USA to of kors jest dobrze, iż będzie miało mniej Polaków, dla nas natomiast jest to wiadomość gorsza, iż jak wiadomo, Polonia amerykańska to społeczność raczej tradycyjna i konserwatywna, która lubi nosić góralskie ubrania, czci Puławskiego (tego od Puławskiej w Warszawie) i Kościuszkę i mimo że tak strasznie tęskni za tym krajem, to z jakiegoś powodu do niego nie wraca. No, ale teraz wróci.

Jakby tak się jednak na chwilę zatrzymać nad tematem, przeanalizować go i zastanowić się, to jednak deportowanie do Polski kilkudziesięciu tysięcy potencjalnych zwolenników PiS tuż przed wyborami prezydenckimi może wyglądać jednak na nieprzyjazny gest sabotażu ze strony władz amerykańskich oraz ich ingerencję w wybory.

Być może jest to kolejny element układu między Trumpem a pisem, a – jak wiadomo – pisowcy bardzo amerykańskiego prezydenta szanują. Liczymy jednak na to, iż rząd jakimiś swoimi sztuczkami dyplomatycznymi sprawi, iż do tych deportacji nie dojdzie, to przecież leży w jego żywotnym interesie.

Obecność dodatkowych Polaków w tym kraju z pewnością nie wpłynie korzystnie na sytuację mieszkaniową, która i tak jest już teraz opłakana. Otósh okazuje się, iż ten kraj znajduje się w europejskiej czołówce, jeśli chodzi o przeludnienie gospodarstw domowych.

Jak rozumiemy, zjawisko to ma przynajmniej kilka przyczyn. Po pierwsze, mamy do czynienia znów z tym typowo polskim podejściem „byle taniej". Nieważne więc, że w typowym mieszkaniu w powiatowej Polsce B mieszkają nie tylko dziadkowie, rodzice, dzieci i ich dzieci, lecz także jeszcze do tego kot, pies i czasem po kolędzie przyjdzie ksiądz. To tak jak z wczasami w przykładowym Biłgoraju czy kupowaniem 15-letniego passata za 500 zł – nie jest ważna jakość, ważne, że jest taniej.

Po drugie, wciąż w tym kraju widzimy takie staroświeckie przywiązanie do rodziny, w jej najgorszym przemocowym heteronormatywnym wydaniu. Podczas gdy w niektórych postępowych zachodnich krajach dzieci robią kariery zawodowe i nie zawsze wiedzą, czy ich osoby płodzące żyją bądź po prostu oddają je do domów opieki, w Polsce ciągle jak w lesie i słowiańskiej chacie – wszyscy siedzą razem na kupie i kultywują więzi.

A potem się okazuje, że mnóstwo mieszkań stoi pustych, na rynku pierwotnym zastój. Widzimy to nawet po naszej skrzynce na listy, iż od jakiegoś czasu coraz rzadziej wpadają do niej ulotki, że młode małżeństwo z psieckiem kupi mieszkanie za gotówkę w tej okolicy.

Nowy z Tarnowa rozpoczął kampanię prezydencką. Of kors nie swoją, iż się okazuje, że 35 lat skończy dopiero w czerwcu (ten wąs go bardzo postarza), ale kandydata obywatelskiego.

Zaczął więc chodzić na siłownię, pompki robi nawet na open spejsie, odkrył w sobie na nowo pasję do historii i czyta publikacje o stanie wojennym, a na wakacje chce pojechać do Gdańska.

A ta kampania ledwo się zaczęła, strach pomyśleć, co będzie dalej. ©℗

***FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO***

## PODSŁUCHANE

# Posłuchać Chopina

**Panie inspektorze, jeszcze raz. Chciał pan muzyki posłuchać, tak?**
Już tłumaczyłem, panie prokuratorze. Ja rano lubię posłuchać Chopina. A że wcześnie było, środa, człowiek już po pół tygodnia pracy zmęczony, to rozkojarzony byłem. Chciałem głośnik włączyć, a odpaliłem granatnik.

**A zdarzały się panu już kiedyś podobne pomyłki?**
Nieraz. Kiedyś np. zamiast tłuczka do mięsa użyłem pistoletu. Innym razem chciałem podpisać rozkaz, a podpisałem akt darowizny samochodu. Wie pan, jak to jest.

**Nie, nie wiem. Czy przechodził pan badania psychiatryczne?**
To jest dyskryminacja, a pan jest bodnarowskim siepaczem! Nie złamiecie mnie! ©℗

***Łukasz Warzecha***

## OD RZECZY

**„Ludzie się boją, że jak PiS wróci do władzy, to będą ich rozliczać, i to już bez oglądania się na tryb".**

***DR HAB. BARBARA BRODZIŃSKA-MIROWSKA,*** *politolog z UMK, w programie „Bez trybu" w TVP Info*



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Z LONDYNU DO NOWEGO JORKU W ZALEDWIE TRZY I PÓŁ GODZINY?

Prywatna amerykańska firma Boom z sukcesem przeprowadziła test potencjalnego następcy Concorde. 28 stycznia maszyna testowa o nazwie XB1 nad pustynią Mojave w Kalifornii pierwszy raz przekroczyła barierę dźwięku. Lot trwał zaledwie 34 minuty. W tym czasie główny pilot doświadczalny, Tristan „Geppetto" Brandenburg, zdołał osiągnąć prędkość 1,122 macha (1374 km/h). Ten sukces toruje drogę do wznowienia podróży naddźwiękowych. Docelowo samolot pasażerski Overture firmy Boom ma latać z prędkością aż 1,7 macha. Dzięki temu podróż z Londynu do Nowego Jorku ma trwać zaledwie trzy i pół godziny, a z Tokio do San Francisco tylko sześć godzin.

Samolot wykonany niemal w całości z lekkiego włókna węglowego jest wyposażony w zaawansowany system rozszerzonej rzeczywistości, który ma ułatwiać pilotom lądowanie (utrudnione m.in. przez długi nos). Overture ma zabierać na pokład od 65 do 80 pasażerów. Zasięg maszyny to 7871 km. Firma Boom ma już 130 zamówień, m.in. od takich przewoźników jak American Airlines, United Airlines czy Japan Airlines.

W dotychczasowej historii lotnictwa zaledwie dwa modele naddźwiękowych samolotów pasażerskich weszły do masowej produkcji: angielsko-francuski Concorde oraz rosyjski Tupolew Tu-144, potocznie nazywany „Konkordskij". Ten pierwszy transportował pasażerów od 1976 do 2003 r. Duża awaryjność oraz ogromne koszty podróży sprawiły, że Rosjanie wycofali swoje maszyny z eksploatacji po odbyciu zaledwie 55 rejsowych lotów pasażerskich. ***(jap)***

© ℗

FOT. BOOM SUPERSONIC

eprasa.pl 8d07af6ce2

eprasa.pl 8d07af6ce2

# Zmora światowego lewactwa

*Wojciech Golonka*

**Dziś Musk jest odbierany jako konserwatysta, a nawet skrajnie prawicowy globalny działacz i zmora lewactwa w każdym zakątku świata. Jednak wcześniej był demokratą i człowiekiem centrum lat 90. Był nawet piewcą transhumanizmu. Jaki jest klucz do zrozumienia miliardera i jak zmieni on świat?**

Jeśli należałoby podsumować jednym zdaniem spektakularne polityczne dokonania Elona Muska na przełomie ostatnich miesięcy, co siłą rzeczy byłoby uogólniające i zawężające, to z pewnością trzeba by stwierdzić, że wielce przyczynił się do przerwania medialnego kordonu sanitarnego wokół Donalda Trumpa i ideałów, które stanowią dziś w Stanach Zjednoczonych przedmiot „rewolucji zdrowego rozsądku". Musk, zostawszy z wyboru zadeklarowanym kontr-Sorosem amerykańskiej polityki, kontynuuje dzieło wyzwolenia Zachodu z wirusa woke i współtowarzyszących mu izmów, które żydowski miliarder ze swą siecią fundacji na rzecz społeczeństwa otwartego mozolnie i systematycznie wpajał państwom i narodom na przestrzeni trzech ostatnich dekad. I choć brzmiałoby to nieco pompatycznie, to aż chciałoby się sparafrazować za Churchillem tę wyjątkową stronę medalu ostatnich Muskowych dokonań: nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak dużo w tak krótkim czasie tylko jednej osobie. Kwestią otwartą natomiast pozostaje to, co Elon Musk, najbogatszy człowiek



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. CHIP SOMODEVILLA/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

na świecie, ale nieco nieformalny drugi wiceprezydent USA i wysłannik specjalny Donalda Trumpa do wszystkiego („first buddy" – pierwszy kumpel prezydenta), docelowo zrobi ze zdobytą siłą wpływów oraz jaki świat po schyłku Sorosowej dominacji wywalczy dla siebie, a zatem i dla nas, mieszając się jako globalny influencer do polityki poszczególnych państw.

Trzeba zaznaczyć, że pisząc o Elonie Musku w bieżącej polityce amerykańskiej i światowej, wchodzimy w domenę tak wielowątkową i na tyle dynamiczną, że nie sposób jednoznacznie uchwycić tego obrazu bez uproszczeń. Od strony wielowątkowości wystarczy przejrzeć wpisy z jednego dnia na jego koncie na portalu X, na dawniejszym Twitterze, którego odkupując, przywrócił forum do wymiany bieżących myśli politycznych i metapolitycznych bez lewackiej cenzury, i to w skali globalnej. Otóż w jednym momencie Musk powiela wpisy wskazujące na wyjątkowe parametry jego Tesli podbijającej rynki samochodowe, by kilka chwil później uderzyć w lewicowe rządy Wielkiej Brytanii i zmowę milczenia wobec poczynań tamtejszych gangów gwałcicieli pedofilów. Komentuje kolejne sensacyjne starty bądź lądowania jego rakiet, by potem wielokrotnie poprzeć ludzi z obozu Trumpa i pochwalić ich dokonania. Wkleja zabawne memy lub cytaty, bezpardonowo kpiące z dogmatów i apostołów wokeizmu, a potem promuje niezawodność i przydatność jego sieci Internetu satelitarnego Starlink. W tym czasie powiela kilka informacji z anglojęzycznego konta Visegrad24 (co dla nas ważne, prowadzonego przez Polaków), by potem jeszcze poprzeć niemiecką prawicę spod szyldu AfD w wyborach za naszą zachodnią granicą, pogrillować niektórych polityków (np. takiego Nigela Farage'a) za brak radykalizmu, pokrytykować swych wrogów, którym Donald Trump przedwcześnie zaplanował przychylić nieba, pogrozić palcem republikanom, którzy zamierzaliby sabotować agendę Trumpa, wrzucić kilka pronatalistycznych haseł i apeli o odwrócenie katastrofy demograficznej, podkreślić wartość merytokracji i pracowitości jako podstawy rozwoju i dobrobytu, aż w końcu okrasi tę całą swoją płodność internetowej komunikacji jakąś dobrą starą łacińską maksymą…

Mając jakieś ciągoty do myśli prawicowej czy naszego klasycznego dziedzictwa (a chyba wszyscy tu je mamy), nie sposób tego Muska trochę nie polubić, tym bardziej że ta wielowątkowość, doprawiana raz po raz nowymi wątkami, powtarza się na jego koncie dzień w dzień, a nawet noc w noc, bo nieraz zdaje się on nigdy nie kończyć komunikowania się ze światem na swym koncie o milionowych zasięgach i sam jeden zdaje się wydajniejszy od profesjonalnych firm wyspecjalizowanych w public relations.

## MUSKOWIE MOGĄ WSZYSTKO

Podobnie rzecz się ma, jeśli chodzi o jego poglądy. Elon Musk najwyraźniej ewoluuje w stronę konserwatyzmu, co można rozumieć na kilka sposobów, zresztą niewykluczających się nawzajem. Może warto tu przytoczyć pokrótce wątek biograficzny, aby zrozumieć, jak uformował się ten Elon Musk, który obok sukcesów gospodarczych najwyższych lotów święci również ewidentne i zasłużone sukcesy natury politycznej. Urodzony w Republice Południowej Afryki w 1971 r. Elon wzrastał w zamożnej rodzinie o korzeniach brytyjskich, kanadyjskich i niemieckich. Jego ojciec – Errol – był inżynierem i przedsiębiorcą w domenie kamieni szlachetnych. Pochodząca z Kanady matka – Maye – już w wieku 15 lat została modelką, a w późniejszym czasie także dietetyczką, przy czym jego rodzice rozwiedli się, kiedy miał dziewięć lat.

Trudno dziś ocenić wpływy ojca na formację syna, zważywszy na konflikty w rodzinie i nie do końca przyjemne wymiany uprzejmości, które sporadycznie mają miejsce za pośrednictwem mediów, tym bardziej że w przeciwieństwie do matki ojciec Muska kategorycznie odciął się od politycznej krucjaty swego syna i dość łatwo go publicznie krytykuje. Warto tu jednak przytoczyć jedną symboliczną anegdotę z jego udziałem. Errol Musk kilka lat temu twierdził, że on sam jako dziecko czytał książki Hermanna Obertha oraz Wernhera von Brauna o rakietach i eksploracji planet, a w jednej z nich szef kolonii ludzkiej na Marsie, skądinąd rządzonej technokratycznie, miał na imię Elon. Ojciec Muska nie sądził jednak, że takie imię w ogóle istnieje i rzeczywiście funkcjonuje wśród ludzi, ale uległo to zmianie, gdy dowiedział się, że dziadek Maye właśnie tak miał na imię…

Sama Maye pochodziła z rodziny amatorów odkrywców. Haldemanowie posiadali własny samolot, a ducha fascynacji poszukiwaniami zaszczepili swym dzieciom, które zabierali ze sobą w podróże i na eksploracje archeologiczne. Zaszczepili jednak nie tylko fascynację poszukiwaniami. W swej wydanej w 2019 r. autobiografii, opublikowanej w polskim przekładzie pt. „Kobieta z planem na życie", matka Muska pisała: „Wychowałam me dzieci tak, jak wychowali nas moi rodzice, kiedy byliśmy dziećmi: abyśmy byli samodzielni, mili, uczciwi, rozważni i uprzejmi, abyśmy ciężko pracowali i czynili dobre rzeczy". W innym miejscu dodawała: „Nie ma nic, czego



eprasa.pl 8d07af6ce2

Haldemanowie nie byliby w stanie zrobić. I w to właśnie zawsze wierzyłam, jak i moje rodzeństwo. Prawdopodobnie pokazałam to mym własnym dzieciom. I teraz nie ma nic, czego Muskowie nie byliby w stanie zrobić" (rodzeństwo Elona Muska – brat Kimbal i siostra Tosca – także z powodzeniem działają w swoich branżach i przedsięwzięciach).

Co znaczące, 76-letnia Maye, babcia wielu wnuków, nadal kontynuuje swoją pracę modelki, tak przynajmniej było dotychczas, choć część zdjęć z jej udziałem miała w ostatnich latach dość zastanawiający wyraz, a w niektórych przypadkach wręcz tchnęła elementami okultystycznymi. Również samemu Muskowi środowiska chrześcijańskie zarzucały podobne aparycje – w 2018 r. na imprezie Met Gala rzekomo poświęconej katolickiemu imaginarium w modzie, a w rzeczywistości bezbożnie go deformującej na rzecz epatowania cielesnością i wzbudzania pożądania, pośród rozbawionych tą kpiną celebrytów wystąpił on w odwróconym stroju kapłańskim – na biało z czarną koloratką. Jego ówczesna partnerka, piosenkarka Grimes, w ogóle wyglądała wówczas jak akredytowana przedstawicielka sił ciemności. Z kolei na imprezie Halloween w 2022 r. Musk pokazał się w zbroi rycerza Baphometa, na którą wydał bagatelną kwotę 7,5 tys. dol., rodząc pytania, w co wierzy i czy flirty z podobną symboliką są rzeczywiście tylko żartami. Pytania te potęgowało to, że mniej więcej w tym samym czasie troje swych dzieci zrodzonych ze związku z Grimes nazwał imionami oderwanymi od jakichkolwiek odniesień do chrześcijaństwa czy kultury zachodniej w ogóle: X Æ A-Xii, Techno Mechanicus oraz Exa Dark Sideræl. Był to zatem czas, kiedy naprawdę trudno byłoby przypuszczać, że pewnego dnia stanie on po stronie – i to w pierwszym szeregu – politycznej rewolucji będącej ewidentnym zwrotem konserwatyzmu z odczuwalnym chrześcijańskim akcentem.

## POSZUKIWANIE NORMALNOŚCI

Owszem, Musk był znany z przedsiębiorczości, niesłychanej pracowitości, wypróbowanej kryzysami niezłomności – był znany z cech (a może również potencjalnych maniakalnych wad) właściwych technicznym wizjonerom i globalnym graczom gospodarczym. Udawszy się z RPA na studia do Kanady, a następnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie ostatecznie osiadł, swe pierwsze miliony zarobił jeszcze przed trzydziestką, jako współzałożyciel i programista firmy Zip2, świadczącej dostęp on-line do danych teleadresowych, którą ówczesny gigant z branży IT, Compaq, zakupił za ponad 300 mln dol. Zarobione pieniądze Musk zainwestował w bank on-line o nazwie X (do której wciąż najwyraźniej ma sentyment, stąd też dzisiejsza nazwa dawnego Twittera), który połączył się następnie z serwisem PayPal. Sprzedawszy z kolei PayPala, Musk zainwestował swoją porcję zysku w świeżo powstałą firmę motoryzacyjną na rzecz elektrycznych samochodów sportowych, dziś osławioną już Teslę. Równolegle rzucił się w produkcję technik kosmicznych – rakiet, silników i statków – pod nazwą SpaceX. Warto też przypomnieć – kiedy Elon Musk jest obecnie najbogatszym człowiekiem świata, a Tesla i SpaceX odnoszą spektakularne sukcesy – że był okres, w którym musiał on ratować swe przedsięwzięcia resztkami własnych oszczędności, a ich bieżący sukces jest po prostu, obok jego wizji, owocem także jego niezłomności, która dziś z kolei procentuje w polityce.

Sam odniesiony sukces w skali globalnej nie tłumaczy jednak jeszcze ewolucji poglądów Muska, choć mimo wszystko jest z nią w pewnym stopniu powiązany. Albowiem ludzie zarabiający miliardy mają poniekąd tylko dwie możliwości. Albo dołączyć do kliki z Davos, dość naturalnie zwabieni jej ekskluzywnością i rozpoznawalnością, by następnie zgiąć kark przed Klausem Schwabem i zaangażować się ze swymi pieniędzmi, choćby nominalnie, w jego najbardziej szalone projekty dekonstrukcji i rekonstrukcji naszej planety, a właściwie ludzkości, zwane Wielkim Resetem. Albo, idąc nieco pod prąd, zdobyć się na autentyczną niezależność, z której można osądzać funkcjonowanie gospodarki, programy polityczne i wynikające z nich regulacje, projekty globalne i leżące u ich podstaw światopoglądowe założenia, a nadmiar swego bogactwa inwestować w projekty dobroczynne, społeczne lub nawet polityczne, co do których pożyteczności jest się naprawdę przekonanym.

**Pokonawszy lewacką cenzurę, Musk ewidentnie torował drogę do pokonania panującego w USA za prezydentury Joe Bidena paradygmatu wokeizmu**

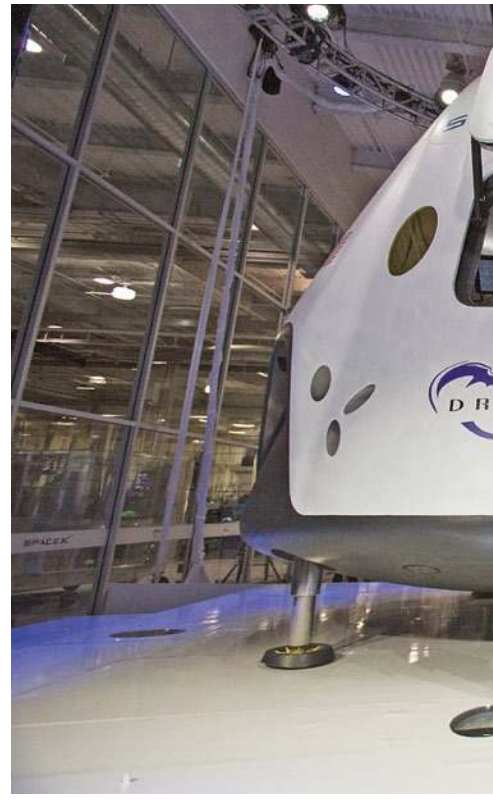

Ma się rozumieć, każdy osąd wymaga pewnych kryteriów. Dziś Musk jest odbierany jako konserwatysta, a nawet skrajnie prawicowy globalny działacz i zmora lewactwa w każdym zakątku świata. Jednak wcześniej był demokratą i człowiekiem centrum lat 90. Był nawet piewcą transhumanizmu ze swą firmą Neuralink (dziś bardziej kładącą nacisk na aspekty terapeutyczne niż transhumanistyczne) i prawdopodobnie w dużej mierze jest nim nadal, bo – jak sam słusznie zaznacza – to radykalny skręt polityki w lewą stronę narzucił etykietowanie poglądów dawnego centrum jako skrajnie prawicowych, faszystowskich etc.

Nie ma też wątpliwości, że towarzyszące temu dryfowi w lewą stronę zjawisko hiperregulacji o ewidentnym ideologicznym zabarwieniu daje się przedsiębiorcom szczególnie we znaki. Elon Musk przytaczał w swych wypowie-


eprasa.pl 8d07af6ce2

Elon Musk, jako przedsiębiorca, będzie pierwszym beneficjentem swych działań, na których musi się skupić, jeśli kiedykolwiek jego statki kosmiczne mają bezpiecznie dowieźć amerykańskich kosmonautów na Marsa

FOT. MARIO ANZUONI/REUTERS/FORUM

dziach, jak SpaceX musiała przedstawiać analizy środowiskowe, np. wpływu upadku rakiet do oceanu na wieloryby czy rekiny, a z kolei w kwestiach polityki pracy amerykański departament sprawiedliwości ścigał jego kosmiczną firmę za to, że nie zatrudniała w USA ludzi… którzy nie są obywatelami USA albo nie mają zielonej karty stałego pobytu (innymi słowy, ścigano Muska za to, że nie zatrudnia azylantów albo nielegalnych imigrantów!).

Te elementy rzeczywiście tłumaczą jego możliwą „radykalizację", która w rzeczywistości jest przede wszystkim reakcją na polityczne i ideologiczne aberracje oraz szukaniem, czasem nawet po omacku, normalności, ale jest to wytłumaczenie tylko częściowe. Wprawdzie wystarcza ono, by odpowiedzieć na pytanie, czemu np. Elon Musk podjął w administracji Donalda Trumpa Departament do spraw Efektywności Rządu, ale nie tłumaczy już, dlaczego w ogóle wypowiedział osobistą wojnę wirusowi woke i solennie zadeklarował, że go zniszczy. Otóż głównym bodźcem do tego działania była, jak wynika z jego świadectw, osobista tragedia – utrata syna w postaci jego „tranzycji" płciowej, którą Musk postrzega jako skutek ideologicznej indoktrynacji amerykańskich uniwersytetów i zaczadzenia młodzieży w USA właśnie zjawiskiem wokeizmu.

W tych szczególnych okolicznościach jego przejęcie Twittera jawi się jako wręcz kluczowy ruch ratowania wolności debaty i wyrażania poglądów w świecie, gdzie lewacka cenzura w parze z globalistycznym kneblem nie tylko narzucały swe jarzmo na media społecznościowe i internetową komunikację w ogóle (o wasalizacji mediów nie wspominając), lecz także deklarowały pragnienie ingerowania w to, co wolno pisać między sobą w prywatnych wiadomościach, a nawet na własnych komputerach! Nie ma też wątpliwości, że przez samo przywrócenie ludziom wolności komunikacji, nie tyle bezwzględnej i bez żadnych reguł gry, ile po prostu, jak ongiś, tj. bez cenzury partyjno-oligarchiczno-ideologicznej, Elon Musk stał się od razu obiektem brudnego ataku medialnego, gnębienia administracyjnego i demonizacji (jakiekolwiek byłyby jego gusta w dziedzinie angelologii).

Z perspektywy czasu dziś śmiało należy stwierdzić, że obok wybuchu wojny na Ukrainie, która siłą rzeczy zatrzymała szaleństwa pandemiczne, zakup Twittera przez Muska był drugim elementem, który powstrzymał trybiki Wielkiego Resetu, który przecież wydawał się wówczas nieuchronny i nie do powstrzymania, do tego stopnia zachodnie elity polityczne i wtórujące im oligarchiczne media odmieniały hasła „nowej normalności" i tym podobne brednie, przez wszystkie przypadki, jak wytresowane papużki, również w Polsce.

Pokonawszy lewacką cenzurę, Musk ewidentnie torował drogę do pokonania panującego w USA za prezydentury Joe Bidena paradygmatu wokeizmu, natomiast nowy etap jego zaangażowania, które równie dobrze można by określić istną erupcją, nastąpił wraz z pamiętnym dniem zamachu na Donalda Trumpa, 13 lipca 2024 r. w Butler w Pensylwanii. Musk tego dnia publicznie poparł Trumpa i de facto przerwał kordon sanitarny, który panował dotychczas względem Trumpa w amerykańskim świecie technologicznym, który to przecież ochoczo współpracował z demokratami na rzecz odsunięcia go od władzy w 2020 r. Jeśli dziś obecność prezesów głównych amerykańskich potentatów z branży IT na Kapitolu podczas inauguracji drugiej prezydentury Donalda Trumpa słusznie jawi się jako sensacja, to w rzeczywistości był to czytelny hołd lennej współpracy umożliwiony właśnie przez działania jedynego w swoim rodzaju przedsiębiorcy formatu Elona Muska.

To zatem od Butler polityczna epopeja Muska nabiera rozmachu i zdaje się wciąż przyspieszać. Bierze udział w wiecach wyborczych, czasem z Trumpem, czasem indywidualnie. Nie jest oratorem, ale jawi się jako skuteczny mówca, bo mówi krótko, ale do rzeczy. Podaje proste argumenty, ale zarazem przekonujące, jak wtedy, gdy na ponownym wiecu w Butler powiedział, że wartość człowieka można poznać najbardziej po tym, jak zachowuje się pod ostrzałem, a zatem Trump, który nie przestraszył się zamachu i ryzykuje życie dla Amerykanów, jest godzien prezydentury. Albo też na inauguracyjnej paradzie prezydentury Trumpa w waszyngtońskiej Arenie, kiedy entuzjastycznie wskazał, że ludzkość potrzebuje dokonań wlewających optymizm i nadzieję, a taką rzeczą będzie właśnie chwila, kiedy amerykańscy astronauci wbiją flagę Stanów Zjednoczonych na Marsie, co umożliwi z kolei prezydentura Donalda Trumpa.

Musk jawi się przy tym jako człowiek naturalny, tchnący inteligentnym



eprasa.pl 8d07af6ce2

poczuciem humoru i nieudawanym entuzjazmem, przystępny, a także, od historycznego listopadowego zwycięstwa, wszechobecny w otoczeniu Trumpa, kiedy dosłownie wprowadził się do Mar-a-Lago, istnego przejściowego Białego Domu i anty-Davos zarazem, gdzie przy różnych okazjach ochoczo paradował z Lilem Xem (którego nie nazywa już X Æ A-Xii!), noszonym przezeń na barana.

## PO CO TO WSZYSTKO?

Ma się rozumieć, w mediach co chwila pojawiają się informacje, że Trump na pewno ma już dosyć mieszania się Muska we wszystkie sprawy, a ostatnia z rzędu głosi, że jego biuro jest z dala od gabinetu owalnego, którego dostęp i tak jest dlań uzależniony od chłodnej szefowej personelu Białego Domu. Otóż mass media, nienawidzące Muska za to, że skutecznie kompromituje ich dotychczasową działalność dezinformacyjną i odbiera zyski z reklam, będą kreować sztuczne podziały, wyolbrzymiać i dramatyzować ewentualne poróżnienia, podczas gdy w rzeczywistości Musk dostał biuro rzut beretem od gabinetu prezydenta USA, w tym samym budynku co wiceprezydent J.D. Vance, i pozostanie do jego bezpośredniej dyspozycji.

Ponadto nawet największy geniusz i tytan pracy przy wszystkich obowiązkach Muska nie miałby zbytnio czasu na intrygi na prezydenckim dworze: zadeklarował on, że wchodzi do polityki tylko na dwa lata, a w tym czasie jego Departament do spraw Efektywności Rządu ma, oprócz usprawnienia działań rządu, przede wszystkim uratować amerykańską gospodarkę przed zaduszeniem regulacjami, a samo państwo przed bankructwem, dokonując oszczędności do poziomu 25 proc. budżetu. Zresztą Musk jako przedsiębiorca będzie pierwszym beneficjentem swych działań, na których musi się skupić, jeśli kiedykolwiek jego statki kosmiczne mają bezpiecznie dowieźć amerykańskich kosmonautów na Marsa, a Ameryka ma mieć sposobność wyasygnowania budżetu na tak kosztowne przedsięwzięcie.

Jest jeszcze kolejny powód, oprócz historycznej chwały, dla którego Musk ma o wiele więcej do ugrania z Trumpem niż budzenie jego irytacji, i dotyczy to całej tej oligarchii technologicznej, a mianowicie ochrona, którą suzeren zapewnia wasalowi. Elon Musk rzeczywiście poszedł na bezpardonową wojnę z lewactwem na świecie, gdzie prawdopodobnie powody osobiste łączą się z zamierzonymi działaniami polityki zagranicznej Donalda Trumpa, a słodycz dokonywanej wendety z interesem narodowym.

**Musk w ostatnich dniach uczynił swoją frazę rzymskiego polityka Sulli: „Nemo me impune lacessit" (Nikt mnie nie prowokuje bezkarnie), więc chyba ma świadomość, kto za nim stoi**

Pierwszym tego przykładem był frontalny, zmasowany atak na brytyjskiego premiera Keira Starmera, którego partia aktywnie działała w amerykańskich wyborach, aby uniemożliwić powrót Trumpa do władzy. W efekcie notowania laburzystów dołują, podczas gdy partia Reform Nigela Farage'a staje się najliczniejszą partią w Wielkiej Brytanii. Następnie, to etap obecny, budzące przerażenie europejskiego establishmentu budowanie poparcia dla AfD i przekonywanie Niemców, no właśnie, do wybrania alternatywy dla Niemiec. Jest w tym ewidentnie palec Donalda Trumpa, ponieważ wygrana AfD mogłaby oznaczać w praktyce rozsadzenie od środka brukselskiego molocha i zastąpienie go Europą różnorodnych ojczyzn, której piewcą stał się Musk w swym przemówieniu transmitowanym na wiecu wyborczym AfD, do czego sam zmierza Trump (z różnych powodów, ale jest to przede wszystkim cios w główny ośrodek globalizmu), stawiając na bezpośrednie kontakty z krajami europejskimi przy jednoczesnym pominięciu Komisji Europejskiej. Otóż moloch ten nie podda się bez walki, podobnie jak cały amerykański deep state – to głębokie państwo biurokratów, polityków, dziennikarzy i różnej maści oligarchów, które, choć pod ogromną presją, nie powiedziało jeszcze w USA ostatniego słowa.

Podobnie Bruksela raz po raz wysyła sygnały woli pacyfikacji portalu X w Europie, ale tu właśnie wchodzi w grę rola suzerena, który ustami J.D. Vance'a już zdążył zapowiedzieć, że jeśli Europejczycy nie chcą wolności słowa, to równie dobrze nie potrzebują parasola ochronnego NATO, skoro i tak wolą totalitaryzm. Z kolei po ostatnim blitzkriegu Trumpa w godzinę, w trakcie partyjki golfa, pacyfikującego bezczelność kolumbijskiego prezydenta odmawiającego przyjęcia deportowanych z USA obywateli Kolumbii, należy jak najbardziej się spodziewać, że ręka podniesiona na amerykański kapitał w Europie zostanie bez skrupułów odcięta. Sam zresztą Musk w ostatnich dniach uczynił swoją frazę rzymskiego polityka Sulli: „Nemo me impune lacessit" (Nikt mnie nie prowokuje bezkarnie), więc chyba ma świadomość, kto za nim stoi.

## KONSEKWENCJE DLA POLSKI

Co to wszystko oznacza dla Polski? Wprawdzie interesy amerykańskie nie były i nie będą nigdy tożsame z interesami Polski (chyba że w końcu dorośniemy do akcesu do tej właściwej i bliższej nam cywilizacyjnie Unii, zamiast być jej zwykłym bantustanem), i tak dziwnym trafem zawsze stawialiśmy interesy obcego kapitału ponad własne, zatem agresywna polityka gospodarcza spod znaku „America First" niewiele nam tu zmieni. Natomiast ewidentnie otworzyło się polityczne okienko, które jeszcze kilka miesięcy temu było nie do pomyślenia, z realnymi planami na reformę, czyli pogrzebanie unijnego superpaństwa ze wszystkimi jego bieżącymi aberracjami i odzyskanie naszej pełnej suwerenności wewnątrz europejskiej wspólnoty wolnych narodów.

Ma się rozumieć, że aby zdobyć się na podobne kroki, prawica w Polsce nie tylko musiałaby odsunąć od władzy frakcję zagorzałych unijczyków, lecz także zdobyć się na odwagę myślenia w kategoriach autentycznej niepodległości. Czyli zrobić coś, do czego na przestrzeni III RP okazywała się genetycznie niezdolna, a czego pielgrzymka dziękczynno-błagalna Andrzeja Dudy do Davos w trakcie inauguracji prezydentury Trumpa jest jedynie przykrym przykładem. Maye Musk bez wątpienia wyświadczyła wielką przysługę ludzkości, chroniąc swe dzieci przed wirusem imposybilizmu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# MEGA szansa dla Europy

*Jacek Przybylski z Brukseli*

**Po przejęciu władzy przez Donalda Trumpa konserwatyści z całego świata złapali wiatr w żagle. Podczas konferencji MEGA w Brukseli wielu z nich przekonywało, że może to być ostatnia szansa na to, aby obronić gospodarkę, religię i tradycyjną tożsamość Europy**

Trzeba wykorzystać historyczną szansę powstałą po przejęciu władzy w Ameryce przez Donalda Trumpa nie tylko do przywrócenia w Europie rządów zdrowego rozsądku, lecz także do walki z cenzurą, do obrony wolności słowa, tradycyjnej rodziny, suwerenności narodów czy przywrócenia konkurencyjności europejskich gospodarek – to główne wnioski z wielu paneli, które odbyły się w ubiegłym tygodniu podczas dwudniowej konferencji zorganizowanej w Brukseli pod hasłami „Obrona zachodnich wartości" i „Uczyńmy Europę Znowu Wielką" („Make Europe Great Again", czyli MEGA).

## WYMIERAJĄCY KONTYNENT

Pierwszego dnia świadkiem powstania nowego, na razie nieformalnego ruchu łączącego konserwatystów była siedziba Parlamentu Europejskiego w Brukseli. – Współcześnie dusza europejskiej cywilizacji, nasza wolność, jest celem ataku tzw. kultury unieważniania oraz autorytarystów z lewicowego świata. Fizycznemu bezpieczeństwu Europejczyków zagraża polityki migracyjna, a ich inteligencja jest podważana przez ideologię gender. Naszym obowiązkiem jako Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów jest obrona naszego świata i Uczynienie Europy Znowu Wielką – zauważył współprzewodniczący EKR Patryk Jaki, przypominając, że fundamenty wielkiego sukcesu Europy oparte były na religii chrześcijańskiej oraz na dorobku dwóch starożytnych cywilizacji: Grecji oraz Rzymu.

Rzeczywiście, jak publicznie podkreślają rdzenni Brukselczycy (tacy naprawdę jeszcze istnieją!), wystarczy krótki spacer od centrum stolicy UE, aby poczuć się niczym w Marrakeszu i przeżyć na żywo przygodę zwaną „safari multi-kulti" (w dzielnicach muzułmańskich imigrantów próżno jednak szukać klasycznego belgijskiego piwa i frytek, a kobiety bez zasłoniętych włosów muszą być przygotowane na dużą liczbę wyzwisk). Patrząc na dane demograficzne, trudno mieć wątpliwości, że w tym samym kierunku w szybkim tempie zmierza wiele krajów Unii Europejskiej. Dla przykładu: według oficjalnych danych w Hiszpanii dzietność wynosi 1,16 – to najgorszy wynik od ośmiu dekad, ale i tak wynika w dużej mierze z tego, że dzieci w Hiszpanii chętniej od rodowitych Hiszpanek rodzą w tym kraju imigrantki.

– Europa musi się wreszcie obudzić, ponieważ znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Najbardziej tragiczny jest spadek urodzeń, który prowadzi nie tylko do ubóstwa, lecz także wprost do wymarcia rdzennych Europejczyków. W 2023 r. pierwszy raz w historii na nasze ziemie przybyło więcej imigrantów, głównie z krajów muzułmańskich, niż urodziło się na nich dzieci. Każdego roku tylko w Nigerii przychodzi na świat więcej dzieci niż w całej Unii Europejskiej. Do tego w mojej rodzinnej Francji ponad 30 proc. urodzeń stanowią dzieci imigrantek spoza Europy. Zwłaszcza że podczas gdy nasze kołyski są puste, to łodzie płynące z Afryki wciąż są pełne. O naszej przyszłości zdecyduje demografia i nie zmienią tego tak piękne słowa jak „multikulturalizm" czy „wokeizm", ale oba te terminy oznaczają upadek naszej kultury i islamizację – mówiła wnuczka Jeana-Marie Le Pena, francuska europosłanka i wiceprzewodnicząca ECR Marion Maréchal. Przesadza? Niestety, nie. W Nigerii współczynnik dzietności wynosi bowiem 4,67, tymczasem w UE zaledwie 1,46. Imigranci z krajów islamskich ani myślą podporządkowywać się więc zasadom obowiązującym w chrześcijańskiej Europie. – Widzimy, co się stało w Szwecji. Imigranci stworzyli gangi tak brutalne, że Szwedzi boją się wracać do domów. Również doświadczenia Niemiec pokazują, że niekontrolowana migracja nie może być więc żadnym rozwiązaniem – ostrzegał litewski eurodeputowany Aurelijus Veryga, zwracając uwagę na ciągłe pranie mózgów dzieci lewicowymi ideologiami.

– Jeszcze niedawno Europa oznaczała wolność słowa, dobrobyt dla jej obywateli oraz pokój. Niestety, to już przeszłość. Obecnie padamy ofiarami biurokracji europejskiej, która coraz mocniej się rozrasta. Jeśli już jednak padną wszystkie europejskie przedsiębiorstwa, to kto będzie wprowadzał ten Zielony Ład? – pytał retorycznie rumuński eurodeputowany Gheorghe Piperea. – Unia Europejska interesuje się przestrzeganiem prawa w Wenezueli czy Iranie, a jednocześnie zamyka oczy w krajach takich jak Rumunia, gdzie bezprawnie unieważniono wyniki pierwszej rundy wyborów prezydenckich, czy takich jak Polska, gdzie prowadzone są nielegalne



eprasa.pl 8d07af6ce2

działania, lub Niemcy. Mówi się o demokracji europejskiej, o weryfikowaniu faktów, ale tak naprawdę te działania zamiast wzmacniać wolność wypowiedzi, zabijają wolność słowa, czyli podstawową europejską wartość. Tak jak obecnie zachowują się lewicowi unijni politycy, w przeszłości zachowywali się Sowieci – mówił Piperea, podkreślając, że Unia Europejska była świetnym pomysłem, ale powinna wrócić do swoich korzeni, czyli unii suwerennych państw. – Nie możemy pozwolić, by przerodziła się w nowy Związek Sowiecki – apelował.

– Nasz kontynent jest poważnie zagrożony zastąpieniem obecnych Europejczyków przez ludność napływową. To nie są żadne teorie spiskowe, ale wnioski na podstawie danych podawanych m.in. przez ONZ. Migracja uwidoczniła wiele niebezpieczeństw, negatywnie wpłynęła na gospodarkę, mieszkalnictwo i system zabezpieczeń społecznych. Jeśli chcemy, aby Europa znów była wielka, to musimy zmienić demografię, zapewnić lepszy dostęp do mieszkań i pracy. Potrzebujemy zjednoczonej wielkiej Europy, która będzie wierna swoim historycznym wartościom – przekonywał hiszpański publicysta Javier Villamor.

## OPRAH I TAYLOR SWIFT STRACIŁY WPŁYWY

Podczas dwóch dni konferencji głos zabrało kilkudziesięciu prelegentów z niemal 30 krajów, w tym z Polski, Rumunii, Francji, Chorwacji, Włoch, Hiszpanii, Gruzji, USA, Paragwaju czy Meksyku. Dysydent z Wenezueli, pisarz i politolog Alejandro Peña Esclusa, wyraził nadzieję, że mocne uderzenie Trumpa w kartele narkotykowe zaszkodzi socjalistycznemu prezydentowi Nicolásowi Maduro. Nowy prezydent USA, któremu zwycięstwo dało hasło „Make America Great Again" (MAGA), grał zresztą kluczową rolę grał w zdecydowanej większości wystąpień podczas dyskusji panelowych poświęconych wyzwaniom politycznym, gospodarczym, kulturalnym oraz kwestiom bezpieczeństwa. – MAGA plus MEGA równa się prawo do życia w wolności w Ameryce i w Europie – zauważyła amerykańska publicystka Debbie Georgatos. – To moment zwrotny w historii świata. Musimy jednak szybko stawić czoła naszym wrogom, bo Europa straciła już zbyt wiele czasu na promowanie fałszywych ideologii, zawodząc europejskich przedsiębiorców i naszych obywateli, którzy nie chcą zakładać rodzin, bo są przekonani, że Europa nie ma przyszłości – mówił w Brukseli włoski europarlamentarzysta Carlo Fidanza.

Optymistyczne prognozy dla Starego Kontynentu związane z prezydenturą Donalda Trumpa przedstawił również współtwórca i prezes zarządu Fundacji Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris. – Pozwólcie mi zapożyczyć słowa otwierające przemówienie jego inauguracyjne: przed nami złoty wiek Europy. Oczywiście, jeśli zdobędziemy się na odwagę, by bronić zachodnich wartości przed narastającą falą liberalnego autorytaryzmu – mówił w Brukseli Jerzy Kwaśniewski. – Teraz jest moment, aby bronić naszej wolności, godności, rodzin, wiary, sposobu życia i suwerenności – nie tylko w Parlamencie Europejskim, lecz także w naszych parlamentach narodowych i w naszych społeczeństwach. W ten sposób razem sprawimy, że Europa znów będzie wielka! – apelował.

Co skłania go do tak optymistycznych wniosków? – Donald Trump w ciągu zaledwie kilku dni zdołał złamać lewicową, wokeistowską dominację w biznesie i kulturze. Obserwujemy, jak wielkie korporacje przechodzą na stronę wolności słowa i porzucają wokeistowską narrację. To ma ogromne znaczenie, bo bezpośrednio wpływa na wzrost kultury społeczeństwa, a zwłaszcza młodego pokolenia – zauważył w rozmowie z „Do Rzeczy" Jerzy Kwaśniewski. – Reakcją na to liberalnych reżimów będzie oczywiście zaciśnięcie pięści i wzmocnienie rygoru. Oni doskonale wiedzą, że jeśli nie ograniczą swobody artykulacji, to ich ideologia upadnie szybciej, bo szybciej zderzy się z prawdą. Już teraz widzimy więc spór Unii Europejskiej z platformą X Elona Muska i potencjalnie z Metą w sprawie metody moderacji treści. Podejrzewam jednak, że jeśli do tego zderzenia dojdzie jednocześnie, to Unia Europejska przegra, bo obywatele UE tego po prostu nie zniosą – dodał mec. Kwaśniewski.

Inni eksperci w Brukseli podkreślali również często, że wynik wyborów w Stanach Zjednoczonych pokazał, iż lewicowe autorytety – takie jak Oprah czy Taylor Swift – mimo ogromnej sławy nie

O tym, jak uczynić Europę znowu wielką (MEGA), rozmawiali w europarlamencie m.in. George Simion, Marion Maréchal, Patryk Jaki, Gheorghe Piperea i Georgiana Teodorescu FOT. JAP

są w stanie pokonać zdrowego rozsądku większości wyborców. Nie znaczy to jednak, że lewicowi politycy nie będą próbowali zachować władzy. – Chociaż kultura unieważniania powoli znika, a dzięki Elonowi Muskowi mamy coraz więcej wolności słowa, to urzędnicy w Unii Europejskiej nadal chcą kontrolować, czego opinia publiczna może słuchać i jakie treści czytać i oglądać, oczywiście tłumacząc to chęcią obrony demokracji – mówił chorwacki europarlamentarzysta Stephen Bartulica. – Jeśli szybko nie zareagujemy, to Unia Europejska stanie się mało znaczącym kontynentem, który nie będzie w stanie konkurować ze Stanami Zjednoczonymi czy z Chinami, bo większość znaczących inwestorów ucieknie ze Starego Kontynentu.

## TRUMP WYWAŻYŁ DRZWI

– Donald Trump stał się człowiekiem, który otwiera czy wręcz z hukiem wyważa drzwi do zwycięskiego marszu konserwatystów przez Europę. W ostatnich wyborach w Belgii najwięcej głosów zdobyli eurorealiści i eurosceptycy, w Holandii zwyciężyła eurosceptyczna prawica, która tworzy rząd, w Austrii wygrała prawica eurosceptyczna, w Czechach w wyborach lokalnych zwyciężyli eurosceptyczni i eurorealiści. W tym roku przed nami jeszcze wybory w Niemczech, gdzie spodziewany jest dobry wynik AfD, a także głosowanie w Polsce i w Rumunii – w obu tych krajach prawica ma wielkie szanse na zwycięstwo. Wyraźnie


eprasa.pl 8d07af6ce2

widać więc, że w Europie następuje skręt w prawo i nie jest to tendencja jednego sezonu politycznego – powiedział „Do Rzeczy" były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego i były minister ds. europejskich Ryszard Czarnecki, podkreślając, że wcześniej prawica zwyciężyła już w Finlandii, Szwecji, we Włoszech czy czwarty raz z rzędu na Węgrzech.

## ZADBAĆ O WŁASNYCH OBYWATELI

Politycy i eksperci w Brukseli dyskutujący o tym, jak uczynić Europę znowu wielką zauważali również, że po zmianie w Białym Domu nagle, nie zważając na poprawność polityczną, znów można mówić o tym, że to obywatele danego kraju powinni być najważniejsi dla rządzących danym państwem.

– Przedstawiciele obecnego systemu mocno bronią swoich interesów. W Rumunii sędziowie unieważnili wynik wyborów, powołując się na wpływ, jaki na wyborców miała kampania na TikToku. Jednocześnie wszystkie mainstreamowe media europejskie w sposób bardzo agresywny przedstawiają ugrupowania konserwatywne, ale to już nikomu nie przeszkadza – podkreślał francuski eurodeputowany Nicolas Bay. – Tymczasem tylko konserwatyści mogą sprawić, że Europa podobnie jak Stany Zjednoczone zacznie wreszcie walczyć o swoje interesy i o przywrócenie konkurencyjności unijnym firmom. Musimy jak najszybciej położyć kres dyktaturze klimatycznej, walczyć z imigracją, obniżyć inflację. I zrobić to tak, jak zrobił to Trump w USA, czyli w okamgnieniu, a nie wieloma miesiącami. I musimy to zrobić sami, a nie ciągle czekać na to, aby wyręczyły nas w tym Stany Zjednoczone – dodał.

– Zamiast wysyłać europejskie pieniądze w różne zakątki globu, warto znów postawić na pierwszym miejscu Europejczyków i zacząć skupiać się na rozwiązywaniu naszych problemów – apelowała zaś w Parlamencie Europejskim rumuńska europarlamentarzystka Georgiana Teodorescu.

O tym, że w takim sposobie myślenia naprawdę nie ma nic złego, upewniali zaś Europejczyków obecni na konferencji Amerykanie. – Weszliśmy w erę postkissingerowską, w której nacjonalizm nie jest uważany za grzech – tłumaczył dr Robert Malone, amerykański guru antyszczepionkowców. – Tak jak Ameryka powinna być najważniejsza dla polityków w Stanach Zjednoczonych, tak samo dla polityków francuskich, włoskich czy rumuńskich najważniejsze powinny być Francja, Włochy czy Rumunia – przekonywał Europejczyków Timothy Constantine z „The Washington Times".

## PRZEŁOMOWY ROK?

– Rok 2025 jest przełomowy – podkreślał w środowym przemówieniu w Brukseli były premier Polski i nowy przewodniczący EKR Mateusz Morawiecki, zauważając, że protekcjonizm nagle przestał być brzydkim słowem, a także zwracając uwagę na zagrożenia płynące z deglobalizacji (i zwiększenia wpływów przez Chiny), na wielkie ruchy migracyjne oraz na szkodliwy Zielony Ład, który Donald Trump nazwał „wielkim zielonym oszustwem".

– Musimy się zjednoczyć i stworzyć historyczny ruch konserwatystów. Apelujemy, by zrobić to w tym roku. Jeśli przeoczymy szansę, którą stworzył nam Donald Trump, to będzie to oznaczało, że jesteśmy głupcami. Jego zwycięstwo stworzyło bowiem konserwatystom największą szansę w historii na uratowanie przyszłości naszych krajów – przekonywał w rozmowie z „Do Rzeczy" lider opozycyjnej rumuńskiej partii AUR i kandydat na prezydenta tego kraju George Simion.

Podobnie uważa europoseł Arkadiusz Mularczyk. – Nie będzie lepszego momentu na zmianę – podkreślał w Parlamencie Europejskim.

Do wielkiej zmiany potrzebna jest jednak jedność wszystkich konserwatystów. Czy to oznacza, że do prawicowych polityków z Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów dołączą również politycy tworzący Patrioci dla Europy? – Dobre pytanie. Rozmawiamy w Parlamencie Europejskim, gdzie wciąż nie doszło do sojuszu eurosceptyków z eurorealistami. Gdyby dodać wszystkie szable EKR i Patriotów dla Europy, byłaby to największa frakcja w europarlamencie. Nie doszło do tego jednak ze względu na interesy niektórych partii rządzących, które obawiały się, że sojusz z eurosceptykami utrudni im walkę o ważne stanowiska w Komisji Europejskiej i kierowanie G7 – tłumaczył „Do Rzeczy" Ryszard Czarnecki, przewidując, że taki sojusz mógłby być zawiązany już w styczniu 2027 r., gdy w połowie kadencji Parlamentu Europejskiego następuje zmiana jego prezydium, szefów komisji etc., albo po kolejnych wyborach do europarlamentu w roku 2029.

Wcześniej, bo już 8 lutego obecnego roku, w Madrycie ma się odbyć zjazd europejskiej eurosceptycznej prawicy, na czele z przewodniczącą francuskiej prawicy Marine Le Pen i węgierskim premierem Viktorem Orbánem. Hasło tego spotkania również ma brzmieć: „Make Europe Great Again". Czy przełoży się ono na konkretne działania? Zobaczymy wkrótce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

Z Grzegorzem Braunem, kandydatem na prezydenta RP, prezesem Korony Konfederacji Polskiej, posłem do Parlamentu Europejskiego
*rozmawia Ryszard Gromadzki*

# Przestrzeń niepewności

**RYSZARD GROMADZKI: Jak nazywa się przystanek, na którym wysiadł pan z tramwaju Konfederacja?**

**GRZEGORZ BRAUN:** (śmiech) Ja z żadnego tramwaju nie wysiadałem, panie redaktorze. Zresztą wydaje mi się, że to były poważniejsza konstrukcja i lepsze narzędzie działania politycznego. To chyba był nawet pociąg, może nawet pewnymi okresami pociąg pancerny, który współtworzyłem przed laty, pieczętując przystąpienie do tej inicjatywy uściskiem dłoni z prezesem Korwin-Mikkem i prezesem Winnickim. Ja nie opuszczałem tego projektu – raczej niektórzy jego uczestnicy zaczęli szukać szczęścia na scenie politycznej w rejonach, w które ja nie chcę żeglować.

**Nie żal panu Konfederacji? Wygląda na to, że ten projekt zaczyna się na dobre rozpędzać. Pan był jego wyrazistym frontmanem.**

Bardzo dziękuję za komplement, którym jest skierowanie do mnie tego pytania z takim uzasadnieniem. Polityka to nie jest bajka, to nie jest praca dla tych, którymi powodowałyby sentymenty. Kierujmy się przede wszystkim rozumem politycznym. Ten rozum podpowiedział mi i moim współpracownikom, że polska prawica – prawica podchodząca realistycznie, a nie życzeniowo do rzeczywistości – potrzebuje swojego kandydata w wyborach prezydenckich i nie znalazłszy wśród pretendentów, którzy się już ujawnili, swojego kandydata, zdecydowałem się stanąć do tych wyborów. Wywoływany zresztą do tablicy i zachęcany do tego przez środowiska znacznie szersze niż tylko komitet polityczny mojej partii, Konfederacji Korony Polskiej. Ta wielomiesięczna kampania wezwań kierowanych pod moim adresem była czymś bezprecedensowym. Momentami przybierało to postać swoistego szantażu moralnego. Ja, rzecz jasna, szantażystom nie ulegam, ale wyborców, patriotów i rodaków nie lekceważę. Jestem zatem kandydatem na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Komitet wyborczy został zarejestrowany. Tak szybko, jak tylko prawo pozwalało, dokonane zostały formalności. Trwa zbiórka podpisów, która – nie chwaląc dnia przed zachodem słońca – idzie zgodnie z planem. Jak wiadomo, do rejestracji kandydata potrzebnych jest 100 tys. podpisów, ale chyba trzeba dać posłuch tym wszystkim dookoła, którzy mówią, że akurat w moim przypadku trzeba dmuchać na zimne. Dlatego pójdziemy do rejestracji, mając tych podpisów tyle, żeby ze strony Państwowej Komisji Wyborczej nie budziło to jakichkolwiek wątpliwości.

**Spodziewa się pan sabotowania swojej kandydatury?**

Mam osobiste doświadczenia z Państwową Komisją Wyborczą sprzed 10 lat, myślę o tym długim wieczorze w siedzibie PKW jesienią 2014 r. To jedno. Trzeba mieć też na uwadze wydarzenia na scenie globalnej – zarówno przypadek amerykański sprzed czterech lat, jak i przypadek rumuński z ostatnich miesięcy. To wszystko podpowiada, że trzeba przejawiać daleko posuniętą „ostrożność procesową".

**Tak zwana ustawa incydentalna uchwalona ostatnio przez Sejm, cedująca stwierdzenie ważności wyborów na 15 najstarszych stażem sędziów Sądu Najwyższego, wpisuje się w pana obawy związane z możliwym podważeniem legalności wyborów, jeśli ich wynik będzie nie po myśli ekipy rządzącej dziś Polską?**

Mam przede wszystkim obawy polskiego państwowca wynikające z faktu praktycznego dualizmu władzy sądowniczej. Stąd nadbudowanie tego kolejnego piętra dodatkowej asekuracji w procedurze wyborczej w interesie aktualnego reżimu, co dla patriotycznej opozycji zwiększa ryzyko, ba, może nawet daje gwarancję usiłowania matactwa. To kolejny epizod demolki władzy sądowniczej, która się dokonała w ostatniej dekadzie. W tej sprawie „wart Pac pałaca, a pałac Paca", bo i zjednoczona łże-prawica i totalna opozycja – dziś obóz uśmiechniętej demokracji walczącej z Polakami – dołożyły swoje cegiełki do tego koszmaru. Bo dualizm władzy



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. ALEKSEJ WITWICKI/FORUM

sądowniczej, który mamy w Polsce, jest autentycznym koszmarem. Jak z tego wybrnąć? Myślę, że żeby uzdrowić ten układ, stosując prawo Gödla do polityki, trzeba wyjść z tego układu, co w praktyce, i to w realistycznym scenariuszu, powinno oznaczać przesunięcie w stronę rządów prezydenckich w Polsce. Problemy polityki wewnętrznej i międzynarodowej, które sięgnęły dziś stopnia śmiertelnych zagrożeń dla państwa i narodu polskiego, wymagają radykalnych rozwiązań, których nie przeprowadzi aktualny układ władzy. Trzeba zatem dopominać się o uzdrowienie państwa przez wyeliminowanie obszarów nakładania się ustawowych kompetencji i obowiązków różnych władz i różnych instancji władzy. Do tego należałoby rozstanie ze szkodliwym modelem chwiejnej równowagi między Kancelarią Prezydenta a kancelarią premiera, do czego swoje trzy grosze dorzuca jeszcze czasem kancelaria marszałka Sejmu. Z tym trzeba skończyć. Trzeba rządów prezydenckich.

**Dlaczego tego rodzaju wnioski, które mają na celu wydobycie polskiego państwa z paraliżu ustrojowego i funkcjonalnego, w którym pogrąża się ono coraz głębiej, tak trudno przebijają się do szerokiej opinii?**

Panie redaktorze, jak pan mnie zna, to dobrze pan wie, że im dłużej będę wywodzić, tym głębiej będziemy sięgać do chorych korzeni i razem możemy napisać książkę o upadku I Rzeczypospolitej, o utrwaleniu się przesądów demokratycznych, insurekcyjnych. Nieco bliżej możemy sięgnąć do II Rzeczypospolitej i jej wewnętrznego skorumpowania i upadku, który byłby nieuchronny, nawet gdyby Stalin razem z Hitlerem i Rooseveltem nie rozpętali drugiej wojny światowej. A tak zupełnie telegraficznie moglibyśmy westchnąć nad patologią III RP, czyli post-PRL, który ciągle utyka na jedną nogę i raz przejawia ambicję bycia IV Rzecząpospolitą, a innym razem pozostaje w praktyce Rzecząpospolitą Trzecią i Pół, przy czym cała transformacja sprowadza się do tego, jak to klasyk naszych czasów Aleksander Kwaśniewski konstatował: „Dawniej się mordowali, a teraz się znają". A główna zasada ustrojowa to – wedle diagnozy redaktora Michalkiewicza – „my nie ruszamy waszych, wy nie ruszacie naszych". Rzeczpospolita oparta na układach nieformalnych, niejawnych hierarchiach władzy to jest państwo, które teraz ostatecznie zbankrutowało. Dlatego, że w ostatnich latach stało się zupełnie jawne i manifestacyjne wręcz ze strony samych rządzących, że Polska nie jest rządzona z Warszawy. To kolegium ambasadorów obcych państw w najlepszym wypadku rządzi w Warszawie, a przecież ogromne sektory spraw państwowych zostały wyprowadzone do organizacji międzynarodowych. Cała gospodarka zarządzana jest przez eurokołchoz. Obronność i bezpieczeństwo przez pakt północnoatlantycki, który dalibóg od lat nie jest już sojuszem obronnym, jest za to narzędziem agresji, którą przejawia imperium amerykańskie w beznadziejnej obronie swojej hegemonii globalnej. Wreszcie organizacje takie jak WHO, której rządzący w Warszawie de facto oddali władzę nad zdrowiem i życiem Polaków. Tu można by się odwołać, tym razem w duchu optymistycznym, do przykładu amerykańskiego – nowa administracja jednym podpisem prezydenta Trumpa całe to WHO wyrzuca do kosza na śmieci.

**Dał nam przykład Donald Trump, jak zwyciężać mamy?**

Przestrzegałbym przed taką figurą, że oto teraz nadjedzie amerykańska kawaleria i uratuje nas przed rewolucją zieloną, tęczową i paktem migracyjnym. To się może nie wydarzyć z różnych przyczyn. Pan Donald Trump będzie miał przede wszystkim pełne ręce roboty u siebie i naprawdę nie wiadomo, kto kogo w tych zapasach przemoże – czy Kennedy Junior Big Pharmę czy odwrotnie. To się dopiero okaże. My powinniśmy wyciągać wnioski



eprasa.pl 8d07af6ce2

z tych powiewów wiosny prawackiej, bo to nie tylko Stany Zjednoczone – ruszyła już reakcja domina, nowe układanki polityczne mają miejsce też w Europie. Powinniśmy bardziej zdecydowanie i z pełną wiarą w możliwość odzyskania niepodległości się o nią upomnieć. Co ma to oznaczać w praktyce? Po pierwsze, zakwestionowanie wszystkich szkodliwych, niszczących uzależnień oraz zobowiązań wewnętrznych i zewnętrznych. Umowy międzynarodowe, które zostały zawarte ze stratą czy na szkodę narodu polskiego, są moim zdaniem nieważne ze swojej istoty, z mocy prawa.

**Prawacka wiosna da o sobie znać także w Niemczech?**

Zobaczymy. Ale niezależnie od wyniku tych wyborów kluczowe dla nas będzie to, czy Niemcy otrzymają od Amerykanów inwestyturę na zarządzanie Mitteleuropą, czyli Europą Środkową. Tego jeszcze nie wiemy, bo myślę, że także towarzysze amerykańscy czekają na te wybory. Oczywiście nie zasypiają gruszek w popiele i moderują procesy demokratyczne w Niemczech poprzez swoją wielopokoleniową agenturę. W każdym razie chciałbym zaznaczyć tę przestrzeń niepewności i odnieść się krytycznie do tych, którzy twierdzą, że elekcja Donalda Trumpa buduje jakikolwiek automatyzm polityczny z przełożeniem na Europę i Polskę. Nawet jeśli kontrrewolucja prawacka w Stanach Zjednoczonych powiedzie się w jakimś stopniu, to niestety jeszcze wcale nie przesądza to o rozwoju sytuacji na kontynencie europejskim. Można sobie bardzo łatwo wyobrazić, że odkręciwszy śrubę, zwłaszcza zamieniając politykę klimatyzmu na politykę „dobry klimat dla biznesu", Donald Trump i jego administracja – czy to z braku realnych możliwości, sił politycznych, czy z wyrachowania – pozostawią Europę jako teren eksperymentu na ludziach, tak jak przecież w XX w. amerykańska sprawczość w polityce przez wiele dekad przyczyniała się do podtrzymywania projektu sowieckiego. Bez względu na to, czy Ameryka pójdzie w jedną czy w drugą stronę, my musimy rozumieć, że okno możliwości, które się teraz otworzyło, musimy wykorzystać sami. To my sami musimy sięgnąć po niepodległość państwa i suwerenność narodu wolnych Polaków na własnym terytorium.

**Wróćmy do kampanii prezydenckiej i zarzutów, które kierowane są pod pana adresem. Ot, pierwszy z brzegu: Braun to cyniczny manipulant, zainteresowany wyłącznie własną autopromocją. Pański komentarz?**

Panie redaktorze, to jest stały element w moim życiu. Insynuacje i manipulacje, a przede wszystkim przemilczenie. Warto, żeby się zdecydowali ci, którzy uznają za stosowne odnosić się do mojej egzystencji politycznej, bo potrafią stawiać jednocześnie wzajemnie sprzeczne tezy. Więc niech się zdecydują, czy nie jestem w ogóle politykiem, tylko reżyserem, w sensie jakichś artystowskich, zatem nierealistycznych, niepraktycznych rozwiązań, czy może jednak reżyserem realizującym własne scenariusze, który nawet mając zero minut, zero sekund w mainstreamowych mediach, jednak od czasu do czasu ogniskuje uwagę tychże samych mediów. Proszę się zdecydować, czy jestem oderwanym od rzeczywistości groźnym szaleńcem czy skrajnie wyrachowanym manipulantem. Oświadczam, że nie jestem ani jednym, ani drugim. Notabene w wyborach parlamentarnych moja partia wykonała 400 proc. normy: z jednego mandatu poselskiego w Sejmie poprzedniej kadencji zrobiliśmy aż cztery w bieżącej. Polecam łaskawej uwadze zwłaszcza obu wiceprezesów Konfederacji Korony Polskiej, posłów Włodzimierza Skalika i Romana Fritza – w ich przypadku ciężka praca i służba publiczna to nie frazesy.

**A jest pan zajadłym antysemitą? Bo taką etykietkę próbują panu „od zawsze" przyczepić pana przeciwnicy?**

Ja zaledwie jestem judeorealistą i opieram się w moich osądach i decyzjach politycznych na rozeznaniu faktów historycznych i politycznych, bez zaciemniających obraz sentymentów czy resentymentów. Odnoszę się do rzeczywistości i na każde życzenie specjalne publiczności mogę na te tematy dość swobodnie dywagować, dzieląc się informacjami, które składają się na mroczny obraz judaizmu talmudycznego i chyba jeszcze bardziej mroczny obraz tzw. stosunków polsko-żydowskich w naszych ponadtysiącletnich politycznych dziejach.

**Spodziewał się pan takiej fali ataków w związku ze swoją akcją „Chanuka czy Boże Narodzenie? Europo wybór należy do ciebie"? Gromy pod pana adresem miotali nie tylko „Gazeta Wyborcza" czy kard. Ryś. Z ostrą krytyką pana akcji wystąpili także sygnatariusze „Deklaracji Szesnastu", opublikowanej na naszym portalu. Napisano w niej m.in., że manipuluje pan przekazem biblijnym i prokuruje niepotrzebne napięcie w relacjach polsko-żydowskich.**

Czy to mnie zaskoczyło? I tak, i nie. Nie, bo mogę zdradzić, panie redaktorze, że oczywiście zakładałem efekt „uderz w stół, a nożyce się odezwą". Więc można powiedzieć, że reakcje „Gwiazdy Śmierci", czyli „Gazety Wyborczej", czy też enuncjacje nieszczęsnego kard. Rysia w pełni zrealizowały założenia akcji „Chanuka czy Boże Narodzenie?". Z drugiej strony fakt, że list opublikowany na waszym portalu ma 16 sygnatariuszy, wśród których figurują osoby skądinąd bardzo wybitne i prawdziwie zasłużone w różnych, dobrych także sprawach, budzi zaskoczenie, bo nie sądziłem, że tak wybitni ludzie znajdują czas, żeby popisywać się własnymi deficytami. Albo intelektualnymi, albo moralnymi. Żeby sygnować taki ex cathedra wyrok śmierci cywilnej – poprzez nominowanie mnie jednocześnie na złego Polaka i złego katolika – trzeba albo mieć obsesyjnie złą wolę, albo mieć jednak ograniczone kompetencje, dalece niepełną wiedzę historyczną, o co akurat tych sygnatariuszy trudno posądzać. Ale już w pierwszym punkcie powołują się na werset z Ewangelii, który bynajmniej nie dowodzi prawdziwości ich twierdzenia, a potem jest już tylko gorzej. Nie chcę polemizować z tym tekstem, bo inni zrobili to znakomicie, polecam zwłaszcza obszerne i kompetentne komentarze redaktorów (w kolejności alfabetycznej): Holochera, Krajskiego, Lisickiego, Michalkiewicza, Mysiora czy Sommera.

**Grzegorz Braun w drugiej turze wyborów prezydenckich? To oznaczałoby spełnienie koszmaru całej sceny politycznej od lewa do prawa...**

Widzi mnie tam np. mecenas Roman Giertych, który z prawdziwie strapioną miną dywaguje o tym z młodą dziennikarką w Sejmie Rzeczypospolitej Polskiej. Proszę nie polegać w tej sprawie na moich subiektywnych opiniach. Proszę zagadnąć mecenasa Giertycha, który publicznie mówi, nie pierwszy raz zresztą, o realności zagrożenia, którym z jego punktu widzenia byłoby promowanie mojej kandydatury przez wyborców do drugiej tury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Książka, która miażdży stereotypy i zmienia życie!

**TOMASZ SZTREKER** – ekspert od relacji, twórca inicjatywy „Chrześcijańscy Single", która pomogła tysiącom osób znaleźć trwałe i szczęśliwe związki. Przedsiębiorca, mentor, mąż i ojciec, odważnie obala mity o miłości, ucząc budowania relacji opartych na prawdzie i głębokich wartościach. Właściciel centrum spotkań Agere Contra w Warszawie.

**ZAMÓWIENIA:**
**Wydawnictwo AA**
**www.religijna.pl,**
**klub@religijna.pl**
**tel. 12 345 42 00**

PATRONAT:

eprasa.pl 8d07af6ce2

**Z Beatą Szydło, byłą premier, a obecnie europoseł PiS**
*rozmawia Karol Gac*

# Rząd żywi się chaosem

**KAROL GAC: 1 stycznia Polska objęła prezydencję w Unii Europejskiej. Nasz kraj nie zorganizuje jednak nieformalnego szczytu unijnego. Wszystko z powodu premiera Donalda Tuska, który nie chciał, by jego gospodarzem był prezydent Andrzej Duda. Co pani na to?**

**BEATA SZYDŁO:** Po ludzku jest to małostkowe i wierzyć się nie chce, że poważny polityk, którym powinien być szef rządu, bierze tego typu argumenty pod uwagę. To kompletnie niepoważne, ale jest to zarazem stracona szansa dla Polski. Oczywiście można powiedzieć, że prezydencja w UE to bardziej kwestia techniczna, ale to także okazja, by pokazać swoje inicjatywy i osiągnięcia. Warto pamiętać, że Donald Tusk w kampanii wyborczej wiele mówił na temat potrzeby jedności i współpracy, także z prezydentem Andrzejem Dudą. Dziś widzimy, jak to wygląda w praktyce.

**Czego spodziewa się pani po polskiej prezydencji, która już na wstępie zaliczyła falstart?**

Uważam, że będzie to sześć miesięcy pracy czysto organizacyjnej ze strony polskiego rządu. Donald Tusk nie będzie chciał wychodzić przed szereg i iść na zwarcie z Komisją Europejską oraz jej przewodniczącą. Gdyby premier traktował tę prezydencję poważnie oraz chciał podnosić podczas jej trwania ważne tematy i proponować rewizję błędnych polityk UE, musiałby wejść w spór z Ursulą von der Leyen, a tego nie zrobi. Donald Tusk będzie więc próbował stwarzać wrażenie, że jest krytyczny wobec niektórych rozwiązań UE, ale na słowach się skończy. Pamiętamy zresztą, jakie efekty przyniosła poprzednia prezydencja, gdy także prowadziła ją Platforma Obywatelska.

**Jakie?**

No właśnie, żadne. Nie spodziewam się więc i tym razem za wiele po Donaldzie Tusku, choć mówię to z żalem, bo to kolejna szansa dla Polski, którą marnuje.

**Kolejnym tematem, o którym mówi się coraz więcej, jest umowa UE-Mercosur, o której pod koniec ubiegłego roku poinformowała nieoczekiwanie szefowa KE, sugerując de facto, że jest ona przesądzona. Jaka jest szansa, że uda się ją zatrzymać?**

Ursula von der Leyen tą deklaracją przekroczyła swoje kompetencje. Biorąc pod uwagę reakcje niektórych przywód-



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

ców, wydaje się, że szefowa KE z nikim tego nie konsultowała. Przewodnicząca KE nie ma uprawnień, by decydować za wszystkie państwa członkowskie. Ponadto na tej umowie zyskają Niemcy i to dlatego von der Leyen dąży do tego, by weszła ona w życie. Cieszę się, że zaczyna się na ten temat dyskusja oraz pojawiają się głosy krytyczne. Daje to nadzieję, że uda się zbudować koalicję państw, która zablokuje tę umowę. Warto zaznaczyć, że jej negatywne konsekwencje odczują nie tylko rolnicy, lecz także przedsiębiorcy. Potrzebna jest bardzo zdecydowana postawa polskiego rządu, w tym konkretne działania. Wiem, że wśród państw członkowskich jest silny sprzeciw, ale oby nie zakończyło się to tak, jak to często ma miejsce, a więc że politycy najpierw coś deklarują, a później wycofują swój sprzeciw. Europa musi się obudzić, a UE musi przestać brnąć w to, co doprowadziło do tego, że europejska gospodarka przestaje mieć znaczenie. To odbija się na życiu Europejczyków, którzy dają wyraz swojemu niezadowoleniu. To droga donikąd i trzeba się przebudzić z tego dziwnego snu.

**A może właśnie to obserwujemy? W Niemczech upadł rząd, Francja pogrążona jest w głębokim kryzysie politycznym, a w Austrii mamy polityczne trzęsienie ziemi.**

Poziom niezadowolenia wśród mieszkańców UE jest tak duży, że odbija się on na politykach poszczególnych państw. To oczywiście nie jest dobra wiadomość, że kolejne kraje przeżywają kryzysy polityczne, ale jeśli mówimy o UE, to trzeba wyraźnie powiedzieć, że nie ma ona przywództwa, ma osłabioną gospodarkę, a dodatkowo prowadzona jest zgubna polityka. To przelało czarę goryczy wśród wielu społeczeństw europejskich. Wydaje się, że ludzie dostrzegli także, widząc wygraną Donalda Trumpa, że zmiana jest możliwa, nawet wbrew liberalno-lewicowym elitom. Pytanie, co się wydarzy w tych państwach, które mają poważne problemy związane ze słabością swoich rządów. To zarazem moment, w którym UE potrzebuje nowego lidera. Gdybyśmy mieli w Polsce rząd, który rozumie te przemiany społeczne i to, że UE musi się zmienić, a nie podążać głównym nurtem dyktowanym przez Niemców, to mielibyśmy szansę, by stać się takim liderem. Niestety, pod rządami Donalda Tuska nie należy się tego spodziewać. Miejmy nadzieję, że pragmatyka społeczeństw doprowadzi do tego, że sytuacja się ustabilizuje, a UE pójdzie w optymalnym kierunku. Obecnie UE przeżywa kryzys i nie jest to wina ugrupowań konserwatywnych, ale elit brukselskich i polityki liberalno-lewicowej.

**Tylko czy te elity są zdolne do jakiejkolwiek refleksji, a nie taktycznych ustępstw w myśl zasady „jakoś to będzie"?**

Z ich punktu widzenia jest tak, jak pan mówi. Instytucje europejskie, które są potężnymi machinami administracyjnymi, narzucają wiele rozwiązań. Aktualnie największym zwolennikiem obecnego kursu jest Ursula von der Leyen, która prowadzi KE w kierunku, który obrano w poprzedniej kadencji. Von der Leyen zadbała o to, by wśród komisarzy nie było postaci, które mogłyby jej zagrozić. W efekcie czuje się „królową Europy" oraz uzurpuje sobie różne kompetencje. Ponadto trzeba pamiętać, że instytucje unijne cały czas próbują zagarniać kolejne kompetencje państw członkowskich.

**Znikąd nadziei?**

Pozytywnym elementem jest wzrost znaczenia grup konserwatywnych w porównaniu z poprzednim rozdaniem w PE. To daje nadzieję, że uda nam się dokonać zmian w UE. Zauważam również refleksję wśród wielu eurodeputowanych z różnych państw, którzy widzą, że obecna droga prowadzi donikąd. Szansą na zmianę są także protesty społeczne, bo jeśli ludzie będą protestować, to politycy będą musieli na to reagować. Instytucje unijne żyją bowiem swoim życiem, ale i interesami, bo kolejne kadencje pokazują, jak naprawdę wygląda ta polityka. W dużej mierze dominowały przez lata pomysły niemieckie, a Berlin ma obecnie poważne problemy. Być może otworzy się pole na zmiany w UE.

**Prezydentura Donalda Trumpa może to przyspieszyć? Jakich relacji UE ze Stanami Zjednoczonymi się pani spodziewa?**

Unia Europejska nie może sobie pozwolić na to, by nie mieć dobrych relacji ze Stanami Zjednoczonymi. W pierwszej kadencji Donald Trump był kontestowany przez wielu polityków, ale jego druga wygrana oraz zdecydowany mandat, który otrzymał od Amerykanów, zrobiły wrażenie na wielu politykach i dały im do myślenia. Nie spodziewam się oczywiście, że będą to bardzo dobre relacje, ale Ameryka to partner, z którym należy się liczyć. Dużo będzie zależało również od tego, kto będzie rządził w Niemczech. Jeśli zaś chodzi o relacje Polski ze Stanami Zjednoczonymi, to dopóki prezydentem jest Andrzej Duda, dopóty możemy być spokojni.

**Faktycznie, relacje prezydenta Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa wydają się ciepłe, ale rząd nie wycofał się z wysłania na placówkę do Waszyngtonu Bogdana Klicha, grając tym samym de facto na ochłodzenie relacji polsko-amerykańskich.**

Ma pan rację. To pokazuje, w jakim kierunku podążają Tusk i jego ekipa,



eprasa.pl 8d07af6ce2

ponieważ to gra zaczepna. Donald Tusk albo nie rozumie sytuacji, albo dąży do tego, by stanęło na jego. Do Waszyngtonu powinien udać się ktoś, kto będzie potrafił współpracować z administracją amerykańską i będzie miał silną pozycję. Wydaje mi się, że Donald Tusk nie potrafił też ocenić trafnie sytuacji w UE i Niemczech. Jeżeli premier będzie pozycjonował się wyłącznie na szefową KE, to nie wróży to dobrze polskiej polityce.

**Zatrzymajmy się zatem przy polskiej polityce. W ostatnim czasie najwięcej emocji wzbudza sprawa decyzji PKW i subwencji PiS. Jakiej decyzji ministra finansów się państwo spodziewają?**

Minister finansów powinien te pieniądze wypłacić, zresztą zgodnie z tym, co sam mówił. Widać oczywiście naciski premiera Donalda Tuska. To wybór Andrzeja Domańskiego, czy poczuwa się do odpowiedzialności za państwo czy też chce być wykonawcą fanaberii szefa rządu. Obecna ekipa rządząca tak się zagubiła w rozkładaniu instytucji państwowych, że nie potrafi ocenić sytuacji. Jej działania doprowadziły do chaosu, który się pogłębia. Obowiązkiem ministra finansów jest wypłata tej subwencji. Ale co zrobi? Trudno powiedzieć. Zwłaszcza że jedynym paliwem rządu jest chęć zniszczenia PiS. Widzimy, do czego to doprowadziło i w jakim miejscu jesteśmy.

**Drugim ważnym tematem jest ustawa budżetowa, która przewiduje rekordowy deficyt. Politycy PiS zwracają także uwagę na jej niekonstytucyjność. Jakiej decyzji prezydenta się pani spodziewa? Wydaje się, że Andrzej Duda będzie miał nad czym myśleć.**

To prawda. Przed prezydentem bardzo trudna decyzja. Z jednej strony ten budżet budzi bardzo poważne wątpliwości, ale z drugiej jesteśmy w szczególnej sytuacji – rozpoczyna się kampania wyborcza, Polska objęła prezydencję w UE i mierzymy się z wieloma kryzysami, co sprawia, że stabilizacja nam się przyda. Prezydent na pewno będzie kierował się interesami państwa, natomiast ten budżet to kolejna prowokacja ze strony obecnie rządzących. Odpowiedzialnością rządu jest zabezpieczenie funkcjonowania państwa zgodnie z obowiązującym prawem. Nie może być tak, że rząd udaje, iż jakaś instytucja nie istnieje, albo próbuje ją zmarginalizować. Najważniejsze jest ustabilizowanie sytuacji w Polsce i doprowadzenie do tego, by kolejne kryzysy nie niszczyły Polski. Problem w tym, że to jest chyba ten prawdziwy plan Donalda Tuska i ekipy 13 grudnia. Im większy chaos, tym dla nich lepiej.

**A gdzie w tym wszyscy Polacy? Nastroje są niezwykle pesymistyczne.**

Nigdy się nie spodziewałam, że po dekadzie od czasu, gdy przejęliśmy władzę w 2015 r., Polaków ponownie będą dotykać tamte problemy – brak pracy, perspektyw czy wysokie koszty życia. To właśnie dlatego na początku kładliśmy duży nacisk na programy społeczne, które rozruszały gospodarkę i pomogły ludziom. Niestety, tamten smutny czas wraca i to jest bardzo niepokojące. Sądzę, że temat bezpieczeństwa ekonomicznego będzie jedną z osi kampanii wyborczej, bo dotyka on życia każdego. Już teraz drożyzna jest jednym z głównych tematów rozmów. Mamy wysokie ceny żywności oraz serię podwyżek, a do tego serię zwolnień. Nie zwiastuje to dobrze i dziwię się Donaldowi Tuskowi, że na to nie reaguje. Chyba że już kompletnie nie potrafi rządzić.

**Część działań rządu przewidziana jest tylko na pierwszą połowę roku. Koincydencja z wyborami prezydenckimi jest zapewne zupełnie przypadkowa.**

Rząd próbuje stworzyć wrażenie, że chce pomóc Polakom, ale należy się spodziewać, że te działania znikną, jeśli Rafał Trzaskowski wygra wybory. W takim przypadku będziemy mieli „jazdę bez trzymanki". Wszystko to, co teraz jest jeszcze niemożliwe do zniszczenia, czy likwidacji, bo jest prezydent Andrzej Duda, wówczas będzie realizowane ze zdwojoną mocą. Proszę pamiętać, że rządzący już przekroczyli pewne granice. Donald Tusk się nie cofnie, bo zabrnął za daleko.

**Jeśli nie ma chleba, to muszą być igrzyska. Jak długo będą trwać?**

To strategia Donalda Tuska. Przez ostatni rok koncentrowali się wyłącznie na tym. Tyle tylko, że opinia publiczna nie akceptuje tego w takim wymiarze. Problemy, które się pojawiają, bardziej przemawiają do ludzi niż kolejne igrzyska, które funduje Tusk swoim najwierniejszym wyborcom. Ten proces będzie kontynuowany, choć wydaje się, że to już nie działa. Próba pogłębiania podziałów w społeczeństwie będzie realizowana. Donald Tusk żywi się chaosem i zamieszaniem. To fatalna droga, którą Polacy są zmęczeni. Nie mam wątpliwości, że Tusk będzie w to brnął, bo nie ma żadnego poważnego pomysłu ze strony rządu, który zajmuje się na ogół drobiazgami.

**W jaki sposób chcecie przekonać Polaków do głosowania na Karola Nawrockiego?**

Kampania musi się toczyć na kilku płaszczyznach. Z jednej strony Karol Nawrocki musi spotykać się z ludźmi, co już robi bardzo aktywnie. Ten tradycyjny sposób na kampanię, czyli obecność wśród ludzi, jest najlepszą metodą. Z drugiej strony musi być aktywna i mądra kampania w mediach społecznościowych. Należy tłumaczyć ludziom, dlaczego warto zagłosować na Karola Nawrockiego, i obnażać kłamstwa Tuska oraz Trzaskowskiego. Uważam, że ludzie mają dobrą pamięć i pomimo próby odwracania narracji przez rządzących doskonale wiedzą, co i kto mówił. Polacy pamiętają postawę Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego w wielu sprawach. Musimy mieć świadomość, że wybory prezydenckie rozstrzygną o przyszłości Polski i zdecydują, czy będziemy suwerennym państwem czy też będziemy trybikiem napędzanym z Berlina i Brukseli.

**Wydaje się, że początek prekampanii Karola Nawrockiego PiS można uznać za obiecujący. Na spotkania przychodzi dużo więcej osób niż na spotkania z politykami PiS.**

Muszę przyznać, że ten początek jest rzeczywiście obiecujący. Widać, że ludzie chcą przychodzić na spotkania, i to bardzo dobry zwiastun. Jest nadzieja, ale trzeba też pamiętać, że w kampanii nie można być hurraoptymistą i wszyscy musimy wykonać swoją pracę. Karol Nawrocki sam wyborów nie wygra i obowiązkiem polityków PiS jest zaangażowanie w jego kampanię. Polacy chcą zmiany i po roku koalicji są rozczarowani, zwłaszcza wyborcy koalicji rządzącej. Chcą czegoś nowego, a Karol Nawrocki gwarantuje zmianę oraz to, że możemy myśleć o uporządkowaniu sytuacji. Jest dobrze, ale dystans jest długi. Musimy go pokonać do końca.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

**Uwaga: nowe ceny na rok 2025**

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

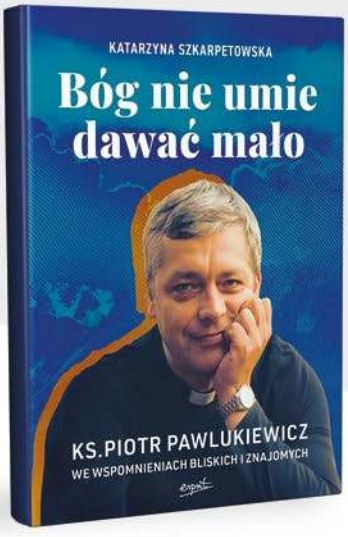


+

**W PREZENCIE**

## KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA: „BÓG NIE UMIE DAWAĆ MAŁO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~933~~ ZŁ

**467,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 466 ZŁ**

## CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. MATHIEU CUGNOT/EP/EU

# Tusk po złej stronie historii



*Rafał A. Ziemkiewicz*

**Na wystawieniu Donalda Tuska w roli głównego obrońcy „Festung Europa” przed Trumpem Niemcy i eurokraci mogą coś ugrać. Polska – i Tusk osobiście – będzie tym „złym”, oni – tymi, którzy w odpowiedniej chwili odetną się od jego „wypaczeń” i zaproponują rozsądny kompromis**

Sięgnijmy po książkę „Donald Tusk – Szczerze” dopóty, dopóki jeszcze nie została ona z powodu, o którym za chwilę, wycofana z księgarń i bibliotek. Duży format, twarda oprawa, na „skrzydełku” entuzjastyczne rekomendacje trzech sławnych redaktorów naczelnych, dobry papier i wiele kolorowych fotografii – wydawnictwo „Agora” naprawdę się postarało. Ale to przecież nie zwykła książka, jakich wiele publikują politycy na potrzeby doraźnych kampanii; to pomnik wystawiony „prezydentowi Europy” przez samego siebie, upamiętnienie sprawowania przez niego „najwyższej politycznej funkcji, jaką kiedykolwiek powierzono Polakowi”.

Pewnie dlatego mało kto ten nudny elaborat przekartkował i zauważył przy tym rozkładówkę znajdującą się na stronach 260–261. To znane skądinąd zdjęcie, na którym Tusk przykłada do pleców nieświadomemu tego „żartu” prezydentowi USA, Donaldowi Trumpowi, ułożone w kształt pistoletu palce, udając, że „strzela”. Rozkładówka opatrzona jest trzpiotkowanym komentarzem: „Nasz fotograf namówił mnie, żebym zaaranżował jakąś nietypową scenę z drugim Donaldem. Więc zaaranżowałem”.

Każdemu zdarza się palnąć głupstwo. Można by sobie powiedzieć: Cóż, może istotnie chciał Tusk ustawić fotografowi bestsellerową scenkę (dobrze, że nie strzeliło mu do głowy zahajlować – to by dopiero podbiło internety), może dopadł go jeden z tych momentów umysłowej zaćmy, w których osoby publiczne – często także sam Tusk – wysyłają na Twitterze wpisy, których, gdyby się chwilę zastanowili, raczej by nie wysyłali. Owszem, było to niesmaczne i głupie, ale machnijmy ręką.

Otóż nie. Zamieszczenie tego zdjęcia w eksponowanym miejscu takiej książki pomnika, z podpisem niepozostawiającym wątpliwości, że to właśnie Tusk osobiście zdecydował o jego publikacji, nie pozwala zbagatelizować wygłupu powyższymi stwierdzeniami. Obecny premier RP rok po swym niesmacznym żarcie wciąż był z niego dumny i chwalił się tym, jak bezceremonialnie potraktował amerykańskiego „populistę”.

## GASNĄCY ENTUZJAZM

Gdybyż to był odosobniony przypadek! Ale mamy też przecież krążące po Internecie wypowiedzi, w których ze śmiertelną powagą, powołując się na amerykańskie służby, powtarza Tusk spiskowe teorie Anne Applebaum o zwerbowaniu Trumpa przez FSB czy 10 tys. kłamstw Trumpa w ciągu pierwszego kwartału jego prezydentury. Mamy demonstrację, którą było po odwołaniu legalnego ambasadora RP w USA wysłanie na tę placówkę i trzymanie tam nadal Bogdana Klicha (skądinąd z wykształcenia psychiatrę), z lubością rozpisującego się w Internecie o Trumpie jako o niebezpiecznym paranoiku. Wszystko to jest powszechnie znane – jeśli wpiszemy w wyszukiwarkę Google hasło „Tusk Trump”, to pierwszą podsuwaną przez nią podpowiedzią jest: „Fingers”.

W tej sytuacji pytanie, jaki sens ma kreowanie się premiera RP na lidera „obrony europejskiego procesu demokratycznego” przed domniemaną amerykańską ingerencją i wystawianie jednego z jego najbliższych współpracowników, by grzmiał na prawicowych „zdrajców Europy”, jest pytaniem retorycznym. Tusk nie bardzo ma inne wyjście. Jedyną alternatywą dla niego – po wszystkich tych mniej lub bardziej żenujących zaangażowaniach jego samego, jego ministra spraw zagranicznych i prominentnej na amerykańskiej lewicy żony tego ostatniego w wojnę światowej lewicy z Trumpem – byłoby ewentualnie zejść 47. prezydentowi USA z oczu. Pomijając uniemożliwiające mu taką rejteradę kwestie ambicjonalne i inercję działań, które rozpoczął w kraju, niewiele by to w sytuacji Tuska zmieniło.

Agaton Koziński porównywał na antenie Republiki wrażenia ze swoich dwóch wizyt w Parlamencie Europej-



eprasa.pl 8d07af6ce2

skim – sądzę, że zbieżne z oceną wielu innych dziennikarzy. Rok temu, krótko po wyborach, w których Polacy zadecydowali o odsunięciu PiS, Tusk wzbudzał tam autentyczny entuzjazm. Witano go jak wyzwoliciela i zbawcę, jako przywódcę dającego przykład, jak zwyciężać wspólnego wroga światowych lewicowo-liberalnych elit – „populistów”. Podczas ostatniej wizyty nie widać było już żadnego śladu tego entuzjazmu. Przepraszam, jeden ślad był: jako zwycięzcę nad Kaczyńskim próbował nadal zachwalać Tuska jego partyjny przełożony w EPL, Manfred Weber. Sala przyjęła to wystąpienie głucho i nikt jego też nie podjął.

## BEZWARUNKOWA KAPITULACJA

Do europejskiej liberalistokracji – jak sobie tę formację nazwałem – dociera, że z Trumpem nie będzie żartów. Robią wrażenie 100 przygotowanych zawczasu ustaw podpisanych natychmiast po objęciu prezydentury, wielka energia okazana w realizowaniu obietnic, które światowe media zgodnie nazywały niemożliwymi do zrealizowania (jak wielka deportacja nielegalnych imigrantów), a zwłaszcza poglądowa lekcja, której udzielił Kolumbii, gdy ta próbowała odmówić przyjmowania swoich zawracanych do kraju obywateli – wystarczyła groźba wprowadzenia na jej towary 25-procentowego cła, a jeśli szybko nie zmądrzeje, to i 50-procentowego, i rząd Kolumbii sam wysłał po wspomnianych migrantów własny samolot.

Oczywiście Unia Europejska to nie Kolumbia. Ale też jej możliwości przeciwstawienia się planom Trumpa nie są o wiele większe. Po pierwsze, jest słaba ekonomicznie – eksperci wielkich firm doradczych prognozują, że dla Niemiec 2025 r. będzie trzecim już z kolei rokiem recesji, a w całej strefie euro spodziewać się można w najlepszym wypadku wzrostu jednoprocentowego. Po drugie, na większość europejskich przywódców, zwłaszcza tych brukselskich, są grube „haki”. Jeśli o praniu pieniędzy przez Reyndersa, „wziątkach” Jourovej czy przekupywaniu przez Timmermansa pieniędzmi europejskich podatników polityków mogących blokować jego „klimatyczne” projekty wie belgijska policja czy wiedzą holenderskie media, to amerykańskie służby wiedzą o tym co najmniej równie dużo. Parlamentowi Europejskiemu, gdy usiłował wyjaśnić, dlaczego kupiła dla 450-milionowej Unii ponad 4,5 mld dawek dwudawkowej szczepionki od koncernu zatrudniającego jej męża, mogła Ursula von der Leyen odpowiedzieć butnie, że nic mu do tego, a dokumentacja transakcji „się zgubiła”. Ale jeśli ten dobitny przykład panującej w UE korupcji i „deficytu demokracji” rzucą na stół Trump czy choćby tylko Elon Musk, to argument – skądinąd zgodny z prawdą – że nie ma w prawie wspólnotowym żadnego mechanizmu uprawniającego kogokolwiek do kontrolowania podejmowanych przez eurokratów decyzji finansowych, będzie przeciwskuteczny.

Po trzecie – i dla nas najważniejsze – Unia w obecnym stanie, zapędzona w budowaniu metodami pozatraktowanymi, całkowicie bezprawnymi, jednolitego i centralnie zarządzanego „państwa europejskiego” odsłoniła miękkie podbrzusze na sztych broni, która od czasów Kennedy'ego jest najskuteczniejsza w amerykańskim arsenale miękkiej siły: praw człowieka i obywatela. Jeszcze pół roku temu sytuacja, w której USA nakładają sankcje ekonomiczne na Unię Europejską z powodu notorycznego łamania przez nią podstawowych zasad demokracji, wydawała się majaczeniem wariata. Po otwartej zapowiedzi inkorporacji do USA Grenlandii i Kanady, nie wspominając o Kanale Panamskim – już nie.

Oferta Trumpa wobec Europy jest prosta: unconditional surrender, bezwarunkowa kapitulacja. Europa nie może się stać (czy może: pozostać) kolonią Chin i Rosji, a że wskutek wywołanego przez Niemców dla własnych, egoistycznych i w dodatku źle zdefiniowanych celów obłędu redukowania emisji $CO_2$, przy jednoczesnym szaleńczym niszczeniu energetyki jądrowej, nie ma już podstaw do odgrywania w świecie roli samodzielnej, musi się stać kolonią amerykańską. Dla uzasadnienia takiej kolonizacji musi Ameryka zbudować jakąś narrację, a stara, od dawna używana z sukcesem opowieść o braniu przez lidera światowej demokracji w obronę pozbawianych ich demokratycznych swobód i praw obywatelskich Europejczyków nadaje się do tego doskonale.

Niektórzy jeszcze tego nie rozumieją, bijąc bezmyślnie brawo Thierry'emu Bretonowi, zapowiadającemu butnie: „Zrobiliśmy to w Rumunii, zrobimy i w Niemczech”. Niektórzy zdają się czegoś domyślać i coś przeczuwać, perorując o konieczności wyłączenia Internetu zarządzanego przez amerykańskich e-oligarchów, którzy przeszli na stronę „populizmu”, oraz z góry starając się zdeprecjonować „zdrajców Europy”, choć nie wyznaczono jeszcze nawet terminu oczekiwanego wspólnego kongresu „populistycznych” partii europejskich.

## TEN ZŁY

Łatwo można się domyślić, że jednym z punktów amerykańskiego aktu oskarżenia wobec UE będzie osadzenie u władzy w Warszawie – szantażem, bezprawnym odbieraniem funduszy, różnymi szykanami dokonywanymi bez żadnych podstaw w prawie wspólnotowym – powolnego Berlinowi i Brukseli Tuska. Polityka, którego bezprawie punkt po punkcie stwierdza teraz z opóźnieniem Komisja Wenecka – i wątpliwe, by KE i Rada Europejska mogły w chwili próby dla ratowania Tuska zachować się jak polska upolityczniona PKW i podejmować decyzje całkowicie sprzeczne z rekomendacjami swojego wyspecjalizowanego ciała eksperckiego.

Tym bardziej że na wystawieniu w roli głównego obrońcy „Festung Europa” przed Trumpem właśnie premiera Polski mogą Niemcy i eurokraci coś ugrać. Polska – i Tusk osobiście – będzie tym „złym”, oni – tymi, którzy w odpowiedniej chwili odetną się od jego „wypaczeń” i zaproponują rozsądny kompromis. Bezprecedensowa w niemieckiej polityce jednomyślność CDU/CSU i FDP z AfD w głosowaniu za ograniczeniem szaleństwa migracyjnego pokazuje, że po lutowych wyborach polityka „kordonu sanitarnego” wokół „populistów” nie musi być kontynuowana.

Złośliwie mawiam, że europejscy liderzy przypomnieli sobie stereotyp – fałszywy, ale to wiemy my – przypisujący Polakom skłonności do samobójczego bohaterstwa w stylu szarżowania z szablami na czołgi, i niedwuznacznie zachęcają sprawującego akurat pierwszą w erze Trumpa unijną prezydencję do takiej szarży. Tusk zapewne przyjmie tę rolę. Nie z bohaterstwa, tylko z braku możliwości zawrócenia z drogi, na którą nieopatrznie wszedł, nie próbując w przekonaniu o pewnym zwycięstwie Kamali Harris mieć jakiegokolwiek „planu B”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Hegemonia Kaczyńskiego kruszeje?

Kacper Kita

**Ponad rok po oddaniu władzy i u progu ważnych dla przyszłości Polski wyborów prezydenckich PiS stoi w miejscu pod względem poparcia i oferty dla wyborców – niewiele traci, ale też nie zyskuje. Nie odbyła się żadna poważna dyskusja nad przyczynami porażki ani bilansem ośmiu lat rządów. Jednocześnie partia Jarosława Kaczyńskiego straciła polityczny monopol na prawicy wraz z ugruntowaniem się pozycji Konfederacji. Także debata na prawo od centrum staje się coraz bardziej różnorodna**

Po przegranych wyborach parlamentarnych PiS z dnia na dzień przeszedł z pozycji partii rządzącej – a potem przez dwa miesiące udającej, że wcale nie odda zaraz władzy – do roli opozycji totalnej, powtarzającej, że nie czas patrzeć w przeszłość, gdy Donald Tusk jako premier wyrządza Polsce tak ogromną krzywdę. Był to umiejętny sposób na ucieczkę od pogłębionej publicznej dyskusji nad bilansem dwóch kadencji. Dlaczego po ośmiu latach samodzielnych rządów partii odwołującej się do suwerenności i chrześcijaństwa Polska była mniej suwerenna i mniej chrześcijańska? Co się udało, a co nie? Co zrobiono dobrze, co źle, a co średnio? Jakie płyną z tego wnioski na przyszłość? Mogłaby to być spokojna, rzetelna analiza, bez zbędnego samobiczowania, a także bez unikania trudnych pytań.

Najpierw było rzekomo na taką debatę za wcześnie, a potem za późno. Nie czas na mędrkowanie, gdy Polska płonie pod rządami koalicji 13 grudnia! Problem w tym, że bez rachunku sumienia nie ma żadnych podstaw sądzić, że PiS w razie powrotu do władzy nie będzie popełniał tych samych błędów co w latach 2015–2023. Ba – ewentualne zwycięstwo w takich okolicznościach zapewne oznaczałoby, że treścią rządów byłaby personalna zemsta na Donaldzie Tusku, rozliczanie rozliczeń i przejmowanie przejętych instytucji, a poziom



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

arogancji i rozpasania działaczy przypominałby ten z końcówki rządów PiS.

## JEDNOŚĆ TO SIŁA CZY SŁABOŚĆ?

Prezes Kaczyński przyjął typową dla siebie taktykę wewnętrznej konsolidacji. Przywódca PiS starał się przez ostatnie 15 miesięcy przede wszystkim utrzymać jedność partii przy ograniczaniu zmian kadrowych i programowych. Jego postawa wydaje się potwierdzać tezę Roberta Krasowskiego, że dla Kaczyńskiego dobro partii i kontrola nad nią mają pierwszeństwo nad rządzeniem państwem i zmienianiem Polski. Także dlatego, że prezes nie wierzy w możliwość skutecznego sprawowania władzy bez silnej partii, gdy silną partię jak najbardziej można mieć bez władzy. Rząd PiS nie zbudował podobnych do tych na Węgrzech czy w Turcji prywatnych prawicowych uczelni, mediów czy biznesu, bo mogłyby próbować być podmiotowe wobec partii. Wydaje się, że Jarosław Kaczyński woli nie mieć, niż mieć coś, czego nie kontroluje.

Naturalnym wyborem prezesa było więc przeprowadzenie zjednoczenia PiS z Republikanami Adama Bielana, a potem z Suwerenną Polską Zbigniewa Ziobry i Patryka Jakiego. Skłócone frakcje miały zaakceptować swoich wewnętrznych wrogów, zamilknąć i skupić się na walce z PO, a nie wzajemnych oskarżeniach o błędy i afery. Jest w tym pewna racjonalność. Pod koniec rządów PiS można było odnieść wrażenie, że zdecydowana większość czasu jego czołowym politykom schodzi na walki wewnętrzne. Odgórnie zadekretowana jedność oznacza tu jednak także odsuwanie odpowiedzialności. Można wręcz odnieść wrażenie, że władza Tuska spadła na Polskę wyłącznie wskutek działań zewnętrznych sił ciemności, a nie utraty zaufania Polaków do PiS. Człowiek, który nie prowadzi rachunku sumienia i świadomej pracy nad sobą, łatwo się degeneruje – a co dopiero partia polityczna.

## CZYNY SĄ WAŻNIEJSZE NIŻ SŁOWA

Wielu polityków i oddanych zwolenników PiS zdawało się liczyć, że premierostwo Tuska będzie czymś tak strasznym, że władza szybko sama wróci im do rąk. Rzeczywiście – inaczej niż wcześniejsze rządy obecny nie ma żadnej premii za świeżość. Zdaje się też nie posiadać programu nadmiernie wykraczającego ponad rozliczanie PiS i przejęcie instytucji publicznych. Niestabilna sytuacja międzynarodowa zdecydowanie nie sprzyja redukcji polityki do demoliberalnej beztroskiej konsumpcji, a rok „rządów ekspertów" bynajmniej nie przełożył się na wzrost zamożności Polaków. Tusk A.D. 2025 bardziej przypomina Kaczyńskiego z 2007 r. straszącego mrocznym „układem" niż ówczesnego siebie samego deklarującego: „Nie róbmy polityki, budujmy drogi" i „Polska zasługuje na cud gospodarczy".

Antytuskowy tryumfalizm może być jednak przedwczesny. Sondaże pokazują stopniowe zużywanie się rządu, ale wciąż wskazują wygraną Rafała Trzaskowskiego i większość sejmową dla obecnej koalicji jako prawdopodobne, a już z pewnością wysoce możliwe. Zasadniczo poparcie dla poszczególnych partii przez te 15 miesięcy zmieniło się w ograniczonym stopniu. Trwa raczej monotonna wojna pozycyjna. Platforma trochę zjadła poparcie swoich koalicjantów, a urosła Konfederacja. Opieranie przez PiS nadziei na zwycięstwo wyłącznie na błędach przeciwnika, powierzchownych zabiegach wizerunkowych i ewentualnie interwencji zewnętrznej (a łaska Donalda Trumpa na pstrym koniu jeździ, co widzieliśmy w jego pierwszej kadencji) jest naprawdę ryzykowne. Partia Kaczyńskiego ewentualną większość mogłaby mieć zresztą wyłącznie z Konfederacją, a do takiej współpracy bardzo daleko.

Sam Tusk także cały czas gra na polaryzację, demonizowanie przeciwnika i maksymalne podkręcanie negatywnych emocji. Premierowi zdaje się pasować, by przekaz opozycji skupiał się na nim osobiście. Polityka zredukowana do ostrego personalno-plemiennego sporu jest jednak niebezpieczna – i to wcale nie z perspektywy pięknoduchowskich fantazji o kulturalnym dialogu na rzecz dobra wspólnego. Przede wszystkim dlatego, że w oczach społeczeństwa zdecydowanie ważniejsze staje się wtedy, czy rządzą „nasi" czy „oni", a nie „jak" rządzą i co robią. Nie należy przeceniać samego znaczenia tego, jaki człowiek jest ministrem. Wielkie procesy rozkładowe zachodziły w zachodnich narodach niezależnie od tego, czy akurat rządziła chadecja czy socjaldemokracja. Formalni decydenci często nie panują nawet nad podległą sobie administracją, nie mówiąc o przemianach społecznych czy sytuacji ekonomicznej.

## WALKA Z TUSKIEM JAKO CEL SAM W SOBIE

Słaba jakość rządów PO oznacza, że rzeczywiście władza może po kolejnych wyborach parlamentarnych wpaść w ręce prawicy. Tylko co z tego, jeśli jej głównym celem będą wendeta i osobiste korzyści, a nie realizacja przygotowanych wcześniejszych, przemyślanych i ambitnych planów ochrony interesu Polaków i rozwoju Polski w warunkach drugiego ćwierćwiecza



eprasa.pl 8d07af6ce2

XXI w.? Co, jeśli w praktyce „patriotyczny" rząd będzie pod płaszczykiem bogoojczyźnianych frazesów i gromkich okrzyków o gonieniu siepaczy Tuska osiedlał w Polsce muzułmańskich imigrantów, realizował niekorzystne dla interesu i dobrobytu Polaków polityki unijne, pozwalał swobodnie kształtować społeczeństwo zagranicznemu wielkiemu kapitałowi i ulegał lewicy w kwestiach cywilizacyjnych? Co, jeśli znów zostanie przyjęty model bezpośredniej kontroli wszystkiego przez państwo zamiast wsparcia rozwoju podmiotowych instytucji społecznych?

Taki scenariusz staje się tym bardziej prawdopodobny, im bardziej akceptujemy walkę z Tuskiem jako cel sam w sobie, a nie środek do celu. W 2023 r. decydenci PiS oparli kampanię wyborczą na ostrych atakach na szefa Platformy, ale już zakaz okaleczania dzieci poprzez ich „transowanie" został uznany za nadmiernie „radykalny", choć gotowy projekt ustawy leżał w Sejmie, a na jego wprowadzeniu zależało także niektórym politykom PiS. Przekaz o Tusku esesmanie jest umiarkowany i w ogóle nie odpycha wraz ze słynnymi paskami grozy z TVP przeciętnego wyborcy, natomiast uniemożliwienie odcinania członków małym chłopcom czy piersi małym dziewczynkom to już ekstremizm.

## KONIEC MONOPOLU NA PRAWICY

Dobra polityka w warunkach demokratycznych jest możliwa tylko wtedy, gdy patriotyczna i chrześcijańska opinia publiczna stawia wymagania oraz uczciwie rozlicza polityków deklarujących się jako patrioci i chrześcijanie, chwaląc ich lub ganiąc w zależności od ich działań. Taką rolę sumienia mógłby odgrywać Kościół, który jednak znajduje się w głębokim kryzysie – choć pierwsze deklaracje nowego arcybiskupa warszawskiego Adriana Galbasa na temat roli katolików w polityce budzą pewną nadzieję.

Zasadniczym powodem do optymizmu wydaje się postępująca stopniowo – zarówno na płaszczyźnie politycznej, jak i medialnej – dywersyfikacja obszaru na prawo od centrum. Zupełnie inaczej niż w latach 2007–2019 partia Jarosława Kaczyńskiego nie ma monopolu na parlamentarną prawicę. Wprowadza to zdrowy mechanizm konkurencji. Co więcej, Konfederacja wywalczyła sobie status trwałego i pełnoprawnego gracza. Początkowo była traktowana z lekceważeniem przez PiS, który liczył, że sojusz narodowo-wolnościowy będzie nietrwałym projektem, który szybko się rozpadnie, spadnie pod próg albo spełni jedynie rolę „Tymczasowego Ugrupowania Protestu", jak kiedyś Ruch Palikota. Konfederacja wyraźnie weszła jednak na wyższy poziom. Przetrwała pełen cykl wyborczy i rozpoczęła kolejny. Eurowybory pokazały, że może jednocześnie zbierać głosy różnego typu – od chcących wyrazistego przekazu sympatyków Grzegorza Brauna, przez dawnych zwolenników PiS, do rozczarowanych wyborców Hołowni i przedsiębiorców. Także pozbycie się Janusza Korwin-Mikkego, przez dekady najsilniejszej postaci na prawicy niepisowskiej, bynajmniej nie osłabiło jej poparcia. Kolejnym czynnikiem wzmacniającym perspektywy Konfederacji są wysokie wyniki wśród młodych wyborców, zwłaszcza mężczyzn – i znów idzie to znacznie dalej niż dawna moda na Korwin-Mikkego. Największym wyzwaniem dla partii Bosaka i Mentzena będzie oczywiście któregoś dnia ewentualna partycypacja we władzy – dlatego zapewne dobrze dla Konfederacji, że w 2023 r. jej wynik był poniżej oczekiwań i mogła pozostać w opozycji, komfortowo budując się przez kolejne cztery lata. Po 15 miesiącach widać, że dowolnie ostry spór PO-PiS i dowolnie mocne ataki partii Kaczyńskiego na urzędującego premiera wcale nie uniemożliwiają Konfederacji rozwoju.

**Jarosław Kaczyński nadal jest niepodważalnym decydentem w PiS, a jego partia jest stale wyraźnie najsilniejszym ośrodkiem w opozycji. Wydaje się jednak, że bezpowrotnie minął czas jego hegemonii na prawicy**

## ROZKŁAD?

Proces dywersyfikacji wzmacnia także to, że po przejęciu Telewizji Polskiej przez nową ekipę żaden pojedynczy ośrodek nie determinuje w podobnym stopniu przekazu dla prawicowego odbiorcy. Także Telewizja Republika przyjęła bardziej podmiotowy wobec PiS charakter niż TVP z lat 2016–2023, czego wyraźnym przykładem był przyjazny wywiad ze Sławomirem Mentzenem w jej flagowym programie. Czytelników „Do Rzeczy" nie trzeba przekonywać, że tym bardziej w prawicowych tygodnikach opinii pojawia się krytyka PiS, na co dowód trzymają w rękach. Ponadto jak grzyby po deszczu wyrastały przez ostatni rok nowe projekty medialne kierowane w całości lub częściowo do różnego rodzaju odbiorcy na prawo od centrum – Kanał Zero, telewizja wPolsce24, kanał Otwarta Konserwa i wiele innych. Na tej płaszczyźnie tym bardziej mamy do czynienia ze zdrowym mechanizmem konkurencji, który wpływa pozytywnie na jakość debaty. Każdy może znaleźć coś dla siebie.

Będąc u władzy, PiS mógł w znacznie większym stopniu wpływać na to, jakie informacje i komentarze docierały do jego (potencjalnych) wyborców. Dziś często to politycy potrzebują mediów jako środków komunikacji ze społeczeństwem bardziej niż w drugą stronę. Przesunięcie zależności ma także charakter materialny, czego zabawnym przykładem była sytuacja, w której poseł PiS Joanna Lichocka zwróciła się do widzów Republiki z prośbą o wsparcie finansowe jej partii zamiast telewizji i została szybko skontrowana przez dziennikarzy.

Oczywiście Jarosław Kaczyński nadal jest niepodważalnym decydentem w PiS, co wyraźnie pokazał proces wyboru kandydata na prezydenta, a jego partia jest stale wyraźnie najsilniejszym ośrodkiem w opozycji. Wydaje się jednak, że bezpowrotnie minął czas jego hegemonii na prawicy. Tym bardziej że nie ma żadnego jasnego następcy 75-letniego prezesa, który mógłby być sprawnie zaakceptowany jednocześnie przez całość aparatu i zwolenników. W powstałym jesienią Komitecie Wykonawczym PiS także znajdziemy sporo młodych i ambitnych polityków, a jego powołanie pokazuje świadomość konieczności zarządzania naturalnym konfliktem pokoleniowym. Powoli, krok po kroku zbliżamy się zatem do powtórki z roku 2001 i nowego otwarcia na polskiej prawicy. Szczera, otwarta i różnorodna debata jest zaś konieczna, jeśli czas rządów, który przyjdzie prędzej czy później, ma nie być zmarnowany.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Dama przy prezydencie

*Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska*

**Głosując na prezydenta, wybieramy też pierwszą damę. Kim są potencjalne lokatorki Pałacu Prezydenckiego?**

## MAŁGORZATA TRZASKOWSKA

Dumna Ślązaczka, oddana warszawianka. Rodzinna, niezależna, aktywna. Zaangażowana społecznie, zwłaszcza w prawa kobiet, edukację i wyrównywanie szans" – tak pisze o sobie Małgorzata Trzaskowska, żona kandydata Koalicji Obywatelskiej. Czterdziestosiedmiolatka pochodząca z Rybnika jest z wykształcenia ekonomistką. W 2020 r., gdy Rafał Trzaskowski podmienił Małgorzatę Kidawę-Błońską w wyścigu prezydenckim, jego żona postanowiła zaangażować się w kampanię. „Małgorzata Trzaskowska debiutuje w mediach społecznościowych. I błyskawicznie pokonuje Agatę Dudę" – triumfowały wtedy „Wysokie Obcasy".

Trzaskowska pracowała w warszawskim ratuszu, w biurze rozwoju gospodarczego, ale gdy jej mąż objął urząd prezydenta Warszawy, zrezygnowała ze stanowiska. Przed kampanią z 2020 r. raczej pozostawała w cieniu. – Cenię sobie swoją prywatność, a z doświadczeń mojego męża wiem, że wejście w sferę publiczną, choćby na chwilę, może wiązać się z olbrzymim kosztem – twierdziła. To się jednak zmieniło, a Trzaskowska szybko stała się idolką lifestyle'owych pism o rysie lewicowo-liberalnym, a takie wypowiedzi tylko dodawały jej „punktów słuszności": „Mam duży żal do Kościoła jako potężnej instytucji wpływającej na opinię części społeczeństwa. Uznaję otwarte powiązanie polskiego Kościoła z władzą za zaprzeczenie wartościom, których miał być wzorem: skromności, empatii, pomocy słabszym. Kościół nie zdał egzaminu, gdy PiS atakował sądy czy prawa kobiet, gdy protestowali niepełnosprawni czy mamy dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi. Dlatego nie wysłałam Stasia na komunię i nasze dzieci nie chodzą już na religię".

Pytanie, czy w obecnej kampanii Trzaskowska nie będzie musiała dostosować swoich poglądów do konserwatywnego zwrotu męża. W 2020 r. popierała m.in. pomysł „tęczowego piątku" i ostro krytykowała wpływ Kościoła na szkołę. Brała udział w protestach proaborcyjnych, co chętnie relacjonowała na Instagramie. „To wszystko się kiedyś skończy. Policja znów będzie się zachowywać normalnie. Przestanie działać pod naciskiem Jarosława Kaczyńskiego. Przestanie bić kobiety pałkami, atakować je gazem, przestanie rozbijać demonstracje, oddzielając od siebie poszczególne grupy protestujących, biorąc je w kocioł. Dziś sama zostałam zamknięta w takim kotle, byłam trzymana kilka godzin i na koniec wylegitymowana. Odmówiłam jednak przyjęcia mandatu i sprawa zakończy się w sądzie" – tak Trzaskowska relacjonowała swój udział.

Małgorzata Trzaskowska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Na konwencji KO w Gliwicach, podczas prezentacji kandydatury męża, pokazała się w nowym wydaniu. – To nie jest już postronna osoba, to jest osoba, która towarzyszy politykowi w jego drodze. To zdjęcie okularów i to, jak ona się teraz prezentuje, to jest pokazanie: „Jestem gotowa do akcji, bierzemy się do pracy. Jesteśmy godni zaufania, idziemy razem, jesteśmy jednością" – komentowała dla Onetu Ewa Rubasińska-Ianiro, ekspertka do spraw wizerunku. – To jest bardzo fajny komunikat, który świadczy o tym, że oni w tej chwili jak gdyby podwoili swój potencjał. Wcześniej każde z nich miało swój, w swoich dziedzinach, a teraz widać, że idą razem w jednym kierunku – zachwalała.

Podczas kampanii w 2020 r. Małgorzata Trzaskowska zapowiedziała przygotowanie projektu lokalnych



eprasa.pl 8d07af6ce2

centrów edukacji w mniejszych miastach i miejscowościach. – Nie ukrywam, że moja aktywność będzie teraz szersza, skierowana do kobiet i z kobietami – mówiła. Na razie podobnych deklaracji nie składa. Trudno jednak oczekiwać, aby zwolenniczka aborcji i przeciwniczka Kościoła nagle zaczęła prezentować zupełnie inne poglądy. Może wystarczyć, że „łowieniem" głosów po prawej stronie zajmie się jej mąż. Ona ma stanowić wabik dla kobiet z wielkich miast.

Trzaskowscy są razem od 1997 r. „Oglądałam zdjęcia mojego brata ze studiów i na jednym z nich zobaczyłam chłopaka, który mnie zaciekawił. Później przyjechałam do brata na zakończenie roku kolegium europejskiego na Natolinie. Zobaczyłam z daleka Rafała i w mojej głowie pojawiła się, zupełnie nie wiem skąd, myśl: »To będzie mój mąż«" – opowiadała żona polityka.

## MARTA NAWROCKA

Po drugiej stronie jest Marta Nawrocka, żona Karola Nawrockiego, czyli kandydata obywatelskiego wspieranego przez PiS. Na razie na jej temat mamy niewiele informacji. Uśmiechnięta blondynka towarzyszyła mężowi wraz z trojgiem dzieci podczas prezentacji kandydatury w Krakowie. – Jest dzisiaj ze mną moja wspaniała i kochana żona, Marta, która jest moim wielkim wsparciem – powiedział wtedy Nawrocki.

Kandydatka na pierwszą damę urodziła się w 1986 r. w Gdańsku. Jest absolwentką Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, a od kilkunastu lat pracuje w Krajowej Administracji Skarbowej, gdzie zajmuje się kontrolą przemysłu naftowego i spirytusowego oraz zwalczaniem nielegalnego hazardu. Wiadomo, że Nawrocka pasjonuje się tańcem klasycznym – w przeszłości chodziła na zajęcia do Państwowej Szkoły Baletowej w Gdańsku im. Janiny Jarzynówny-Sobczak.

Nawroccy pobrali się na początku lat 2000 i wychowują wspólnie troje dzieci: syna Antoniego i córkę Katarzynę, a także 22-letniego Daniela, który jest dzieckiem Marty Nawrockiej z jej pierwszego związku. – Jestem ojcem wspaniałego syna, Daniela, który ma 21 lat, którego bardzo kocham. Nie wyobrażam sobie bez niego życia, on kocha mnie też. Może

Marta Nawrocka
FOT. FILIP RADWAŃSKI/FORUM

część z państwa go widziała. Wychowuję go od drugiego roku życia. Nie jest moim biologicznym synem, ale zapominam czasami o tym, bo nie znam innego życia jak z Danielem, a on nie zna innego ojca jak ja – tak w ubiegłym roku mówił o nim ojciec.

Dotychczas Marta Nawrocka nie zabierała publicznie głosu. Nie wiadomo, jakie poglądy reprezentuje, choć łatwo wywnioskować, że podziela te męża. Wspólnie szli m.in. w Marszu Niepodległości.

Małżeństwo Nawrockiego szybko stało się przedmiotem ataków nieprzychylnych kandydatowi mediów. W ubiegłym tygodniu na łamach „Gazety Wyborczej" insynuowano rzekome problemy małżonków. „»Niech pan sprawdzi, co to był »statek miłości« – rzuca [anonimowy informator »GW« – przyp. red.] przez uchylone drzwi. Ta sugestia, pojawiająca się już wcześniej w rozmowach z informatorami, nie musi dotyczyć Nawrockiego. Nie był jedynym pomieszkującym w części hotelowej" – tak pisano w tekście poświęconym sprawie apartamentów wykorzystywanych przez Muzeum II Wojny Światowej. Cóż z tego, że autor, Wojciech Czuchnowski, zaasekuruje się słowami o tym, że „sugestia nie musi dotyczyć Nawrockiego", skoro taki właśnie jest wydźwięk artykułu?

## AGNIESZKA MENTZEN

Gdyby wybory prezydenckie wygrał Sławomir Mentzen, pierwszą damą zostałaby jego żona Agnieszka. Dość aktywna na Instagramie, chętnie relacjonuje wolne chwile w towarzystwie rodziny i znajomych. Jedna z najnowszych fotografii została zrobiona w Dubaju.

Para pobrała się w 2010 r., oboje pochodzą z Torunia. Mają troje dzieci: Franciszka, Helenę i Alicję. „Mam bardzo dobrą i cierpliwą żonę, skoro tyle ze mną wytrzymała i z wyrozumiałością podchodzi do tego, że ciągle nie ma mnie w domu. Z perspektywy 10 lat muszę powiedzieć, że małżeństwo to

Agnieszka Mentzen
FOT. PIOTR LAMPKOWSKI/SE/EAST NEWS



eprasa.pl 8d07af6ce2

coś wspaniałego. Jeżeli jesteście z osobą, którą kochacie, to nie ma na co czekać, żeńcie się!" – tak pisał Mentzen o żonie w 10. rocznicę ślubu.

Agnieszka Mentzen ma 38 lat i zdaje się nie odbiegać światopoglądowo od męża. Tak wynika z jednego z instagramowych wpisów, w którym zakpiła z covidowych zasad ostrożności. Sam Mentzen o żonie mówił tak: „Politycznie o tyle się różnimy, że ona jeszcze bardziej PiS nie lubi ode mnie. Jest jeszcze bardziej antypisowska niż ja".

W 2018 r. Agnieszka Mentzen próbowała swoich sił w polityce i była kandydatką na radną do sejmiku wojewódzkiego z ramienia Komitetu Wyborczego Wyborców Wolność w Samorządzie. Nie uzyskała jednak mandatu. Mentzen określa się mianem „konserwatywki".

## URSZULA BRZEZIŃSKA-HOŁOWNIA

Więcej wiadomo o Urszuli Brzezińskiej-Hołowni, żonie marszałka Sejmu i kandydata na prezydenta Szymona Hołowni. Są małżeństwem od 2016 r. i mają dwie córki: Marię oraz Elżbietę. Para poznała się na planie show „Mam talent", którego Hołownia był jednym z prowadzących. – Kręciliśmy materiał, udawaliśmy pilotów z „Top Gun", którzy chodzą w zachodzącym słońcu pasem startowym. I tak to się wszystko potoczyło, że spotkaliśmy się z moją żoną – opowiadał lider Polski 2050.

Trzeba przyznać, że jej kariera zawodowa robi wrażenie. Jest zawodowym oficerem Wojska Polskiego, pilotem myśliwca MiG-29 w 23. jednostce w Bazie Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim (według mediów jest jedną z zaledwie trzech kobiet pilotów służących w WP). W wywiadzie z 2020 r. na pytanie o to, czy jest „pilotką" czy „pilotem", odparła: „Nie mam potrzeby doszukiwać się na siłę formy żeńskiej nazwy swojego zawodu. Dla mnie pilotka to jednak czapka, którą noszą piloci […]. Jeśli o mnie chodzi, to wystarczy mi dodanie »pani« lub »kobieta«".

Pytana o podział obowiązków domowych zapewniła, że są w tym zakresie z mężem partnerami. „Ja nie widzę możliwości, żeby miało być inaczej. Ze względu na pracę, na nasze obciążenie psychiczne i fizyczne musimy siebie nawzajem wspierać. Wspieramy więc swoje pasje, marzenia, potrzeby. Wspieramy się w wychowaniu Marysi. Czasami ja jestem zmęczona, czasami Szymon. Wtedy naturalne jest, że to, które ma akurat więcej siły, przejmuje jakieś obciążenie na siebie. Dla mnie partnerstwo jest równoznaczne z szacunkiem" – mówiła.

Urszula Brzezińska-Hołownia
FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

W wypowiedziach Brzezińskiej-Hołowni wybrzmiewają wyraźne akcenty feministyczne. „Należę do kobiet wychowanych na stereotypach! Dziewczynki mają być pracowite, a chłopcy są mądrzy. Dziewczynka ma być grzeczna, nie może być małą łobuziarą, nie może być nazbyt ekspresyjna, gdy chodzi o emocje. Ma pomagać mamie w domu, a chłopiec ma pomagać tacie w ogródku. I tak dalej. To należy burzyć. Stereotypy szkodzą też chłopcom. Musimy postępować tak, żeby nasze dzieci mogły robić w swoim życiu, co chcą" – podkreślała w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów".

Trzydziestosiedmioletnia żona marszałka Sejmu jest zwolenniczką in vitro i tzw. kompromisu aborcyjnego. Pytana przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. o to, jaką pierwszą damą chciałaby być, Brzezińska-Hołownia odparła: „Chciałabym się zająć sprawami osób słabszych, wykluczanych, niedostrzeganych, być ich głosem. Na pewno zajęłabym się kwestiami związanymi z dziećmi. Na pewno sprawy kobiet dalej byłyby mi bardzo bliskie, bo sama przechodziłam w życiu trudne momenty i musiałam burzyć stereotypy i szklane sufity. Na pewno też pomyślałabym, żeby zadbać o weteranów wojskowych, o ich rodziny".

## TAJEMNICZY DŻENTELMEN

A co, gdyby niespodziewanie wybory prezydenckie wygrała kobieta? Zamiast pierwszej damy mielibyśmy wtedy pierwszego kawalera lub pierwszego dżentelmena. Według sondaży wśród pań największe szanse na zwycięstwo ma Magdalena Biejat z Lewicy, która jednak dość niechętnie dzieli się obrazkami z życia prywatnego. Ma męża i dwoje dzieci: Leę oraz Ignacego.

Kandydatka nie chce ujawniać tożsamości swojego małżonka. Pytana o niego odnosi się do podziału obowiązków domowych. „Mam męża, który nie boi się opieki nad dziećmi. Wręcz przeciwnie, uważa, że jest to tak samo jego obowiązek, jak i mój. Mam to szczęście, że pochodzę z Warszawy, więc mam tutaj na miejscu dziadków, a wiele osób nie może tego, niestety, powiedzieć, pracując w Warszawie" – powiedziała „Faktowi", dodając, że nie jest zwolenniczką ocieplania wizerunku w kampanii poprzez rodzinę. „Mam takie podejście, że ani mój mąż, ani tym bardziej moje dzieci nie wybrały kariery politycznej. Wybrałam ją ja. I na pewno wiem, że pokazywanie się z rodziną bardzo ociepla wizerunek polityka. Wiem, że to może pomóc, jak się pokażę z małymi dziećmi, ale uważam, że moje dzieci przede wszystkim mają prawo do prywatności, do normalnego dzieciństwa i to jest moje najważniejsze zadanie" – przekonywała.

Wicemarszałek Senatu podkreśla, że „równość płci oznacza dla niej dawanie przestrzeni mężczyznom do tego, by mieli dobre relacje ze swoimi dziećmi". „Właściwie to mąż wszystko ogarnia, a ja mu tylko pomagam. W domu bawimy się w Sejm, syn jest marszałkiem i uwala wszystkie moje poprawki" – żartowała Biejat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

Radość, którą wywołało u wielu kandydowanie Krzysztofa Stanowskiego, nie jest niespodziewana, a zarazem jest zrozumiała i znacząca FOT. KANAŁ ZERO/YOUTUBE

# Stanowski to nie Stańczyk

*Łukasz Warzecha*

**Jan Matejko na swoim obrazie pokazuje błazna królewskiego jako człowieka z gruntu mądrego, w najpełniejszym sensie tego określenia. Widzącego głębiej i dalej niż większość jego dworskiego otoczenia. Tego u szefa Kanału Zero nie znajdziemy**

Albo Polska będzie się skutecznie, dynamicznie rozwijała, albo nie będzie. Mnie jest w zasadzie wszystko jedno, bo mam dom w Hiszpanii, ale wam powinno zależeć. Vamos, Polska!" – wzywa Krzysztof Stanowski podczas „wiecu". Relacja z tego wydarzenia to materiał zawarty w pierwszym wydaniu „Dziennika Narodowego", parodystycznego programu „informacyjnego" na Kanale Zero, którego głównym przesłaniem jest wskazanie właściciela kanału jako najgenialniejszego kandydata na urząd prezydenta RP. Parodia to nie mniej zgrabna niż wystąpienie Stanowskiego, w którym ten ogłosił swój start w wyborach prezydenckich.

„Dziennik Narodowy" ostentacyjnie manipuluje wypowiedziami innych kandydatów, tak aby wyglądało, że zachwalają założyciela Kanału Zero. „Ja oczywiście zachęcam do tego, aby głosować na Krzysztofa Stanowskiego" – powiada na jednym ze spotkań Karol Nawrocki, przy czym pomiędzy „aby głosować na" a „Krzysztofa Stanowskiego" widoczne jest brutalne cięcie montażowe. Przypomina się jako żywo telewizja państwowa pod kierownictwem Jacka Kurskiego.

Koniunkturalizm i chwiejność kandydatów są traktowane brutalnie. Oto Rafał Trzaskowski wygłasza płomienną przemowę o tym, jakim nieszczęście dla Polski w trudnych czasach byliby rząd i prezydent z jednej partii. Tyle że to wystąpienie z jego kampanii w 2020 r.

Początek kampanii, a może raczej happeningu Stanowskiego pokazuje jego niewątpliwą biegłość w nowych mediach, błyskotliwość w szermierce obrazami i skojarzeniami (aczkolwiek nie jest to błyskotliwość erudyty, raczej ludowego trybuna) oraz to, że prawdopodobnie Stanowski ma obmyślony plan na swój udział w wyścigu prezydenckim. Tego, co ten plan zakłada, mogą jednak nie wiedzieć nawet jego bliżsi współpracownicy. Gdy brałem udział w – jak się potem okazało – ostatniej na razie „Kolacji Mellera" w Kanale Zero, nie było mowy o tym, że program ma zostać zawieszony. Nie wspomniał o tym jego gospodarz. Swoje oświadczenie o tym, że nie wystąpi w „Kolacji…" do końca kampanii właściciela kanału, wygłosiła jedynie Agata Szczęśniak, będąca gościem tamtego wydania programu. Kilka dni później Marcin Meller niespodziewanie ogłosił, że zawiesza „Kolację…" do końca kampanii.

## ZABAWA W KANDYDOWANIE

Jest to najpewniej autonomiczna decyzja samego Marcina Mellera. Czy słuszna? Można by zapytać, czy w takim razie TVN24 i TVP powinny przestać pokazywać programy publicystyczne, skoro kandyduje Trzaskowski, a Telewizja Republika oraz wPolsce24 – skoro kandyduje Nawrocki. Czym w praktyce różni się sytuacja tych stacji od sytuacji Kanału Zero? Chyba tylko tym, że wspomniani wcześniej nadawcy usiłują udawać, że nie są jednostronni i uprzedzeni, a w przypadku kanału Stanowskiego sprawa jest tak oczywista, że paradoksalnie tam właśnie zorganizowanie publicystycznej dyskusji pod tezę byłoby najtrudniejsze. Poza tym trzeba pamiętać, że Stanowski oficjalnie stwierdził, że prezydentem zostać nie chce. Chce się jedynie pobawić w kandydowanie – w imieniu tych, którzy mają dość.

To najbardziej sporny element tego happeningu (takie określenie wydaje się, przynajmniej na razie, jednak najbardziej adekwatne). Radość, którą wywołało u wielu kandydowanie Stanowskiego, nie jest niespodziewana, a zarazem jest zrozumiała i znacząca. W wielu przypadkach to po prostu uzasadniona emocja: skoro polityka jest tak beznadziejna, a politycy robią z siebie durniów i błaznów na każdym kroku, to pokażmy im zbiorowo gest Kozakiewicza za pośrednictwem Krzysztofa Stanowskiego.

Pojawiają się jednak również poważne głosy, wspierające jego happening. Takie stanowisko wyraził Konstanty Pilawa z Klubu Jagiellońskiego w tekście „Krzysztof Stanowski na prezydenta. Jego



eprasa.pl 8d07af6ce2

orędzie to liberum veto, na jakie zasługujemy". Co ujęło Pilawę?

„Stanowski w swoim groteskowym happeningu jawi się jako współczesny Stańczyk – żartujący, ale z gorzką refleksją. Jakie czasy, takie sumienie narodu. Jego wystąpienie, mimo ironicznego tonu, jest jednak na pewnym poziomie śmiertelnie poważne.

Dziennikarz używa groteski, by obnażyć absurd obecnego systemu politycznego, gdzie dominują coraz bardziej siermiężne podziały na »my« i »oni«, kuriozalne odwracanie ról (Trzaskowski gospodarczy patriota, Hołownia jako krytyk rządu) oraz niekończące się, coraz bardziej żenujące konflikty (»je.ać PiS« vs. »nie bać Tuska«) […].

Nawet jeśli happening Stanowskiego jest tylko cyniczną grą na popularność, to warto go czytać jako swoiste liberum veto naszych czasów. W dzisiejszej Polsce głos na szefa Kanału Zero może być jednym z nielicznych sposobów wyrażenia podmiotowości i sprzeciwu wobec politycznego teatrzyku dla dzieci, który na co dzień oglądamy. Co samo w sobie jest wyjątkowo ironiczne".

Na koniec publicysta KJ deklaruje: „Jeśli Elon Musk lub ktoś inny nie stanie za plecami Krzysztofa Jakuba Stanowskiego, to w pierwszej turze oddam na niego głos. Niezupełnie poważnie, ale z gorzkim uśmiechem".

Skojarzenie ze Stańczykiem pojawia się często. Czy jednak jest właściwe? Stańczyk – czyli Stanisław Gąska, błazen czterech polskich królów, od Jana Olbrachta począwszy, na Zygmuncie Auguście skończywszy, wysławiany przez rozmaitych autorów, od Łukasza Górnickiego do Józefa Ignacego Kraszewskiego – w zbiorowej wyobraźni najczęściej obecny jest w postaci, jaką nadał mu na swoim słynnym obrazie Jan Matejko: „Stańczyk wobec utraty Smoleńska". Obraz, jak to u Matejki, jest kompilacją różnych przestrzeni czasowych (np. widoczna za oknem sylweta wież wawelskiej katedry była w XVI w. inna). Ważne jest jednak przede wszystkim, że nadworny trefniś, siedzący przy stole, na którym leży list datowany na rok 1533, traktuje wiadomość o utracie grodów smoleńskich znacznie poważniej niż bawiący się za jego plecami w sali balowej członkowie dworu królewskiego.

***„Stańczyk" – wołają – „dajcie tu Stańczyka!"***
***Już im nie starcza uczta i muzyka,***
***Chcą jeszcze pośmiać się z głupca.***
***Nie jestem dobrym błaznem na te czasy,***
***Lecz wśród jedwabnych i złotych kutasów***
***Na mądrość znajdźcie mi kupca.***

Tak śpiewał Przemysław Gintrowski – tekstem Jacka Kaczmarskiego – w utworze „Stańczyk" z programu „Muzeum".

Czy Stanowski to współczesny Stańczyk? Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że tak właśnie jest. A jednak czegoś tu brakuje. Matejko na swoim obrazie – podobnie zresztą jak w „Hołdzie pruskim", gdzie błazen siedzi na krawędzi podium, wyraźnie swoim refleksyjnym nastrojem odcinając się od reszty ukazanych postaci – pokazuje błazna jako człowieka z gruntu mądrego, w najpełniejszym sensie tego określenia. Widzącego głębiej i dalej niż większość jego dworskiego otoczenia. Tego u Stanowskiego nie znajdziemy. Jego jajcarskie potraktowanie kampanii nie ma w sobie nic ze Stańczykowej mądrości. O ile zanotowane przez kronikarzy żarty błazna polskich królów czasu renesansu celnie przenikały istotę problemów Rzeczypospolitej albo syntetycznie ujmowały wady jej rządu, o tyle Stanowski niczego takiego nie oferuje. Wobec Stańczyka jest trochę jak współczesne głupawe polskie komedyjki ze stałym zestawem kasowych aktorów (Piotr Adamczyk, Julia Wieniawa i inni) wobec Kabaretu Starszych Panów. Stanowski nie daje nam żadnej zgrabnej syntezy istoty problemów dzisiejszej Polski. Ani w swoim wystąpieniu, ogłaszając kandydaturę, ani poprzez „Dziennik Narodowy" i prawdopodobnie inne materiały, które podczas kampanii mogą się ukazać, nie mówi niczego świeżego ani nowego. Mówi jedynie zgrabniej niż większość komentatorów. Jedynym walorem jego „demaskatorskich" wystąpień jest to, że jakaś grupa ludzi może pokiwać głowami i stwierdzić: „Dobrze gada to, co ja czuję, ja bym tego tak ładnie powiedzieć nie umiał". Czy to wystarczy, żeby zdobyć więcej niż 2 proc. głosów? O ile oczywiście Stanowski nie wycofa się przed głosowaniem. Trudno powiedzieć. To zapewne kandydat z największym potencjałem mobilizacji wyborców zwykle uśpionych lub zniechęconych.

**Czy start w wyborach prezydenckich z pozycji trefnisia to sprytny plan wielowariantowy?**

## ZEW ODPOWIEDZIALNOŚCI

Nie będzie też żadnego „obnażenia" kulis polityki, ponieważ do żadnych kulis szef Kanału Zero dopuszczony nie zostanie. Pokaże nam jedynie to, co sam będzie robił, a i to jedynie wycinkowo. Widać to już po pierwszych materiałach „kampanijnych". To w gruncie rzeczy odegrane skecze, nie ma tam nic prawdziwego. Nie wiemy, co Stanowski planuje, z kim się naradza, jak właściwie traktuje swoje działania ani co jest jego główną motywacją. A trudno też mieć wątpliwości, że istotne są względy marketingowe. Przywodzą one na myśl bynajmniej nie Stańczyka, ale Kazimierza Piotrowicza, pretendenta w wyborach prezydenckich w roku 1995, którego jedyną motywacją do startu była chęć uzyskania darmowego czasu reklamowego dla produkowanych przez siebie wkładek do butów. Piotrowicz ostatecznie uzyskał 0,07 proc. głosów – ponad 12,5 tys. Oczywiście Kanał Zero to inna skala. Ale czy poza tym różnica jest zasadnicza?

To pytanie otwarte, bo Stanowski dopiero zaczął. Nie wiemy, czy w planach ma ewentualne podjęcie rękawicy i przejście w tryb poważniejszy, gdyby w sondażach zaczął odnotowywać istotne poparcie. To, co ma prawo nie podobać się państwowcowi w podejściu Stanowskiego do wyborów, to potraktowanie ich jak zabawy w sytuacji, którą przecież sam Stanowski dobrze diagnozuje. Mówi nam zatem, że polska polityka to już nawet nie komedia, ale marna farsa – po czym sam tę farsę jeszcze nakręca. Czy tak naprawia się państwo?

Może jednak jego start z pozycji trefnisia to sprytny plan wielowariantowy? Jeśli nie wykręci istotnego poparcia, to zrezygnuje, stwierdzając, że wszystko przecież było happeningiem. Ale jeśli zacznie zbierać po pięć czy więcej procent, poczuje zew odpowiedzialności i jego nazwisko ostatecznie znajdzie się na karcie wyborczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Trzech jeźdźców Apokalipsy

Piotr Gociek

**Mel Gibson, Sylvester Stallone i Jon Voight. Czy wysłannicy prezydenta Trumpa są w stanie ocalić Hollywood?**

Przed czym trzeba ocalić Hollywood? Najprościej mówiąc, przed samym sobą. Światowa stolica przemysłu filmowego pełna jest ludzi, którzy nienawidzą własnego kraju, własnej kultury, własnego dziedzictwa. Decyzja prezydenta Donalda Trumpa, który wyznaczył trzech aktorów jako swoich „ambasadorów w Hollywood", nabrała ciekawego kontekstu, gdy niespełna tydzień po jej ogłoszeniu poznaliśmy listę nominacji do tegorocznych Oscarów. Wszystkie trzy najbardziej docenione filmy – „Emilia Pérez", „Brutalista" oraz „Wicked" – są dowodem na to, że Hollywood upadło nisko i celebruje samobójstwo amerykańskiej kultury.

„Emilia Pérez" to musical trans o meksykańskim narkobaronie, który wymyka się prawu, dokonując zmiany płci. „Brutalista" jest wybitnym osiągnięciem kinematografii, lecz z przesłaniem antyamerykańskim i antychrześcijańskim (jedno i drugie utożsamione jest z rasizmem, klasizmem i głupotą, przeciwstawione zaś zostaje ratującemu duszę i ciało judaizmowi tudzież syjonizmowi). „Wicked" to prequel dopisany do „Czarnoksiężnika z Oz", skupiający się na tym, jak bardzo baśniowa kraina jest nietolerancyjna i rasistowska. „Emilia Pérez" otrzymała 13 oscarowych nominacji, dwa pozostałe filmy – po 10. A przecież gdyby pogrzebać dalej, to znalazłyby się kolejne kurioza: antytrumpowska agitka „Wybraniec" czy absurdalny w swojej głupocie i nierozumieniu Kościoła film „Konklawe".

## KONTR-HOLLYWOOD

Ambasadorów wysyła się do obcych krajów – tak, Hollywood jest dziś obcym krajem nie tylko dla Trumpa, lecz także dla wielu milionów jego zwolenników, zwykłych amerykańskich widzów, którzy chcieliby dostawać dobrą rozrywkę i/lub mądre kino pozbawione ładunku nachalnej lewicowej propagandy. Owi widzowie swe niezadowolenie wyrażają od lat ustami niezależnych konserwatywnych podcasterów i vlogerów, niepozostawiających suchej nitki na postępach postępu w Hollywood. Ale – co ważniejsze – od lat głosują własnymi portfelami. Co udało im się osiągnąć? Przez lata skuteczniejsi byli w bojkotach niż w kreacji, na szczęście powoli się to zmienia i amerykańska konserwatywna kontrkultura powoli buduje swoje kontr-Hollywood.

Wszystko dzieje się na razie w niewielkiej skali, ale każda najdłuższa nawet podróż zaczyna się od pierwszego kroku. O fenomenie popularności amerykańskich „Christian movies" trochę już pisano. Problem z nimi jest taki, że częściej



eprasa.pl 8d07af6ce2

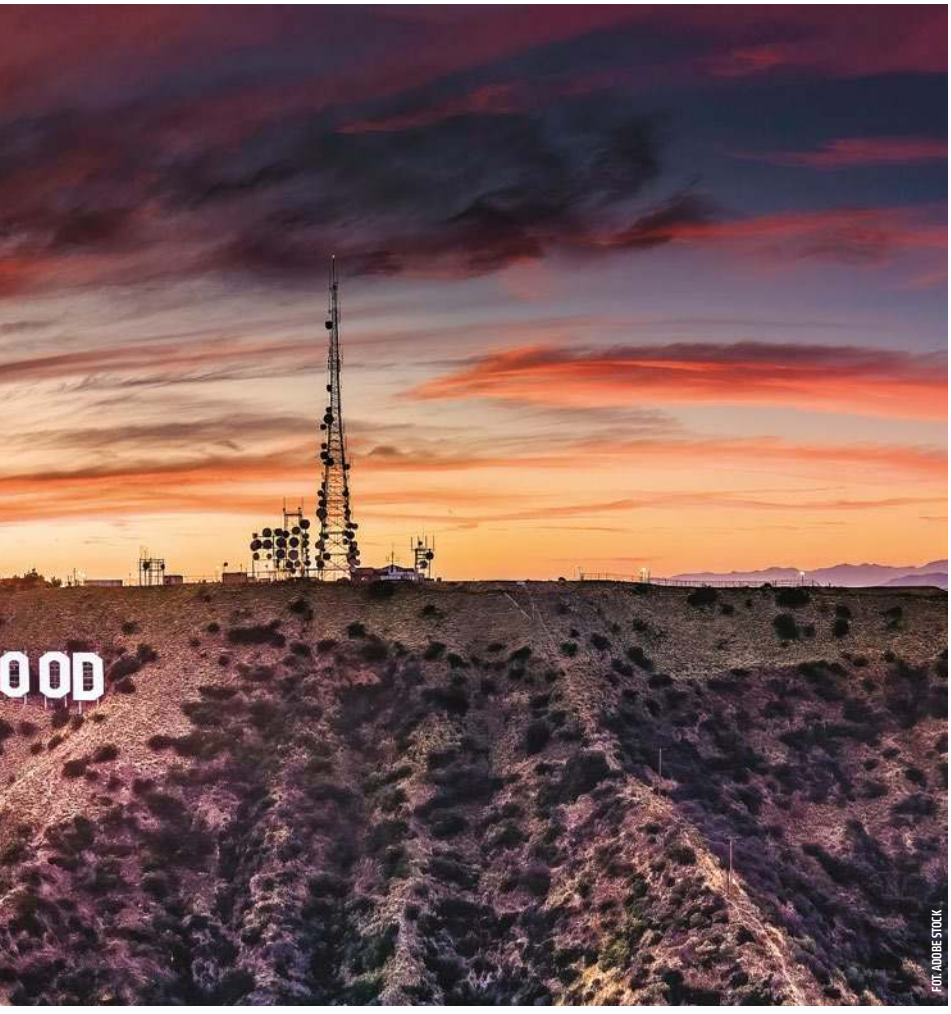


FOT. ADOBE STOCK

bywają słuszne niż dobre. Zmienia się to powoli – ale zmienia. Coraz lepsze filmy kręcą bracia Kendrick („Przemiana", „Siła modlitwy" czy świetny dokument „Pokaż ojca swego" – dostępne są w Polsce w streamingu). Ciekawą drogę wybrała konserwatywna firma medialna The Daily Wire (należąca do Bena Shapiro). Ma własne serwisy VOD, ma bardzo popularne kanały na YouTube, a od pewnego czasu inwestuje w produkcje własne. Tak powstały komedia „Lady Bollers" wykpiwająca dopuszczanie zawodników trans do wspólnych zawodów z kobietami czy niskobudżetowy western „Terror on the Prairie", w którym główną rolę zagrała Gina Carano, wyrzucona za konserwatywne poglądy z produkcji Disneya.

Przełomem w rozwoju produkcji filmowej The Daily Wire jest dokumentalny film „Am I Racist?", który nakręcony został przed konserwatywnego podcastera Matta Walsha metodą „na Borata". Walsh przebrał się za liberała cielęco zachwyconego DEI i woke, po czym przeniknął do świata entuzjastycznych zwolenników i propagatorów tych ideologii. Udzielali mu obszernych wypowiedzi, nieświadomi, że rozmawiają nie ze swoim, ale z ideowym przeciwnikiem. „Am I Racist?" powstał za nieco ponad 3 mln dol. i zarobił w 2024 r. w amerykańskich kinach ponad 12 mln dol., co oznacza, że był najbardziej kasowym dokumentem roku (Walsh nakręcił dwa lata wcześniej równie zabawny dokument „What Is A Woman?"). Firma Bena Shapiro pracuje także nad swoim pierwszym serialem – jest to ekranizacja cyklu powieści Stephena Lawheada „Pendragon" o królu Arturze.

**Gra nie idzie o to, by Oliver Stone kręcił hagiografię Donalda Trumpa, a Steven Spielberg demaskował grzechy Black Lives Matter**

## NAWRÓCENIE?

Czy Trump wysyła Gibsona, Stallone'a i Voighta do Hollywood, żeby przygotowali wrogie przejęcie fabryki snów przez producentów takich jak Daily Wire? Jasne, że nie, cała zabawa ma wymiar symboliczny. Jednak to, co symboliczne, jest bardzo ważne. Oto prezydent Stanów Zjednoczonych – zatem persona, zgódźmy się, ważna – publicznie wskazuje na problem, o którym dotąd głównie szeptano po kątach albo pisano jedynie na łamach prasy konserwatywnej. Tym problemem jest odklejenie się wielkiego biznesu filmowego od potrzeb widzów oraz fałszowanie świata poprzez pokazywanie go w krzywym, popsutym ideologią zwierciadle.

Hollywood nie przeżyje nawrócenia konserwatywnego, bo byłoby to wbrew jego naturze. Zawsze więcej było tam lewicowców i liberałów (zwłaszcza obyczajowych). „Liberal arts" nie bez powodu mają w nazwie „liberal" – zwykł mawiać konserwatywny pisarz i scenarzysta Andrew Klavan. Sam przeżył typową dla Hollywood historię: gdy odnalazł Boga i zaczął publicznie okazywać swoje konserwatywne poglądy, błyskawicznie stracił szanse na dalszą karierę w biznesie filmowym. A mówimy o człowieku, którego książki ekranizowali m.in. Clint Eastwood czy Gary Fleder. Na szczęście pisania powieści nikt nie mógł mu zabronić, więc po prostu zaczął zarabiać w inny sposób (dziś jest też komentatorem konserwatywnego kanału i portalu Daily Signal oraz autorem popularnego podcastu „Andrew Klavan Show").

## PRZYWRÓCIĆ NORMALNOŚĆ

Gra nie idzie o to, by nagle Oliver Stone zaczął kręcić hagiografię Donalda Trumpa, a Steven Spielberg demaskował grzechy Black Lives Matter. Chodzi o przywrócenie normalności, czyli równowagi, albo choć pozorów równowagi. Polityczni komentatorzy, opisując działalność Trumpa, często podkreślają jego transakcyjne



eprasa.pl 8d07af6ce2

podejście do polityki i zamiłowanie do ubijania dobrych interesów (jakże warto przeczytać jego książkę „The Art of the Deal"). Trump nie zamierza swoimi trzema jeźdźcami Apokalipsy nikogo podbijać, zastraszać ani kulturowo kolonizować. Puszcza jednak oko do ludzi, którzy obracają dużymi pieniędzmi, a jest takich w Hollywood wielu. To przekaz, który brzmi: „Naprawdę chcecie dalej tracić fortuny na kręcenie filmów, których nikt nie chce?". Nikt – oprócz rozmaitych ideologów i promotorów DEI, woke, feminizmu i antyrasizmu tak radykalnego, że zamieniającego się w nowy rasizm.

To nie Trump musi poradzić sobie z wewnętrznymi kłopotami Hollywood, ale filmowi inwestorzy i właściciele firm produkcyjnych. A jakże daleko zabrnęli już przecież w szaleństwo! Żaden film nie może ubiegać się dziś o nominację do Oscarów, jeśli nie udokumentuje, że w jego produkcji brały udział odpowiednie kwoty pracowników reprezentujących mniejszości etniczne i seksualne. Z wolnym rynkiem ma to tyle wspólnego, co wymóg towarzyszy z Biura Politycznego, żeby nie tylko pamiętać o pokazywaniu na ekranie sympatycznych milicjantów, lecz także żeby scenariusze pisali głównie posiadacze odznak „Zasłużony dla PRL".

A do zarobienia są gigantyczne pieniądze. Kto pierwszy, ten lepszy – co pokazuje nam doskonale przykład Taylora Sheridana. W nosie mam to, czy jest czy nie jest konserwatystą ani czy aby nie jest konserwatystą farbowanym. Liczy się to, że produkuje niesłychanie popularne seriale, uwielbiane przez amerykańskich widzów o normalnych poglądach i oczekiwaniach. „Yellowstone" był wielkim przebojem, ale to już przeszłość. Teraz publika szaleje na punkcie „Lioness", w którym agentki i agenci rozprawiają się z wrogami Ameryki, czyli arabskimi terrorystami, chińskimi agentami i meksykańskimi kartelami, oraz na punkcie „Landmana". W tym ostatnim bohaterami pozytywnymi są ludzie wydobywający ropę na polach Teksasu. Cóż za herezja! W dodatku zamiast marzyć o zasiłkach, reparacjach i gwarancjach zatrudnienia ze względu na płeć lub jej zmianę, wszyscy tam cenią głównie ciężką robotę i kochającą rodzinę. Skandal!

A teraz o rzeczy szczególnie ciekawej, o której nie mówi się w Polsce prawie wcale. Właśnie przy okazji produkcji nowych seriali z uniwersum Taylora Sheridana okazało się, że przed Hollywood pojawia się niespodziewana szansa na nowe otwarcie. Otóż być może siedziby agresywnych organizacji LGBTQ+ oraz ulegających ich wpływom inwestorów wciąż znajdują się w Los Angeles, ale coraz więcej aktorów, reżyserów i producentów po prostu opuszcza Kalifornię. Wybierają życie w stanach, gdzie domy są tańsze, widoki równie piękne, podatki niższe, prawo jest bardziej przyjazne, a przestępczość niższa. Emigranci z Kalifornii są zresztą częścią większego ruchu migracyjnego wewnątrz USA, który zamienił np. Florydę ze stanu wahającego się („swing state") w twierdzę Partii Republikańskiej. (Nawiasem mówiąc, prognozy nie są dobre dla Partii Demokratycznej; z trenów wynika, że w najbliższych latach dalej zyskiwać będą mieszkańców stany głosujące na republikanów, a tracić – stany głosujące na demokratów. Co oznacza, że po kolejnym spisie powszechnym zmieni się w poszczególnych stanach liczba głosów elektorskich – i to będzie prawdziwe trzęsienie ziemi).

**Gibson już rozsierdził lewicę stwierdzeniem, że powrót Trumpa do Białego Domu to jak „powrót do domu taty, który zdjął już pas"**

Wracając do świata filmu: w niektórych stanach wprowadzono już jakiś czas temu systemy grantów i zwolnień podatkowych dla produkcji filmowych (przoduje w tym Georgia). Każdy potrzebuje nowych miejsc pracy. Więc czemu nie? Ale filmowcy i bez takich bodźców szukają nowych miejsc na swoje przedsięwzięcia. Kalifornia stała się miejscem niesłychanie drogim, a system rozmaitych biurokratycznych regulacji tak skomplikowany, że wolą mieszkać i kręcić filmy w Montanie, na Florydzie, w Teksasie. Słyszałem ostatnio prywatnie od jednego z producentów organizujących plany filmowe dla Amerykanów w Europie, że bardziej opłacało się pewnej ekipie przyjechać do nas na trzy dni zdjęciowe, niż spędzić jeden dzień na zdjęciach w Stanach. Cóż, serdecznie zapraszamy, my też potrzebujemy nowych miejsc pracy.

Nie doczekamy więc zapewne końca Hollywood, ale możemy w najbliższym czasie liczyć na powstanie – zażartujmy – Yellowood w Montanie czy Teksasie. Albo wielu takich konkurencyjnych, małych ośrodków, z dala od przeregulowanej Kalifornii, którą w niewolę wzięli najbardziej radykalni z lewicowych polityków Partii Demokratycznej. Być może punktem zwrotnym będą wielkie pożary, które spustoszyły (i nadal pustoszą) Los Angeles i okoliczne hrabstwa. Setki tysięcy domów przestały istnieć. Przy obecnych przepisach, cenach gruntu i regulacjach ubezpieczeniowych ich odbudowa będzie drogą przez mękę. Wielu mieszkańców Kalifornii już deklaruje, że nie chce do niej wracać. Oby do nowych miejsc przywieźli ze sobą talent i chęć do pracy, a nie ulotki DEI i BLM.

Mel Gibson, Sylvester Stallone i Jon Voight biorą tymczasem udział w bezczelnym trollowaniu hollywoodzkich elit przez prezydenta Donalda Trumpa. Gibson już rozsierdził lewicę stwierdzeniem, że powrót Trumpa do Białego Domu to jak „powrót do domu taty, który zdjął już pas" (niby w domyśle, że też nieznośne bachory dostaną w skórę). Obserwując burzę wokół tego zdania, zaczynam coraz częściej myśleć, że restaurację Hollywood wypadałoby zacząć od powrotu ludzi, którzy posiadają poczucie humoru. Ale skoro już o Gibsonie, to na koniec łyżka dziegciu w beczce miodu. Właśnie wchodzi do kin jego najnowszy film – „3000 metrów nad ziemią". To pierwsza produkcja, jaką wyreżyserował od roku 2016, czyli premiery świetnej „Przełęczy ocalonych". Obejrzałem i żałuję, bo to filmik klasy B, który w dawnych czasach miałby szansę na dystrybucję najwyżej w podrzędnych wypożyczalniach kaset wideo. Od oficjalnego ambasadora Trumpa w Hollywood oczekuję w kinie dużo więcej. A poza kinem – niech mu dzieło doprowadzania do białej gorączki ponurych zwolenników ponurych idei idzie jak najlepiej. Dotyczy to całej trójki: Mela Gibsona, Sylvestra Stallone'a i Jona Voighta.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. NATALIA RUDENCO

# Operetkowanie Mozarta

*Grzegorz Kondrasiuk*

**Trudno odgadnąć, w jakiej sprawie wskrzeszono słynnego kochanka, o czym jest ten spektakl. Prawdopodobnie o niczym, jak podpowiada banalnie rozwiązany finał. Jest jeszcze i to pytanie: Po co grać Mozarta, kiedy się nie ma kim go zaśpiewać?**

Gdyby na poważnie brać opowieści z przedpremierowej konferencji prasowej, to bohaterem najnowszego polskiego „Don Giovanniego", wystawionego w Lublinie, jest… sama scena operowa. Znajduje się ona w gmaszysku Centrum Spotkania Kultur i jest „wspaniałą zabawką", jak wyraził się reżyser Wojciech Adamczyk. Dodał też, że lublinianie powinni być dumni, bo sceny tej mogą pozazdrościć chyba wszystkie miasta w Europie, a może i na świecie. A według dyrektorki Opery Lubelskiej, Kamili Lendzion, mieszkańcy powinni być dumni z samego zaistnienia tej instytucji. To najmłodszy w Polsce teatr operowy, przynajmniej formalnie, bo powstał w wakacje 2023 r. na mocy uchwały Zarządu Województwa Lubelskiego o zmianie szyldu Teatru Muzycznego. „Lublin zasługuje na operę" – mawia dyrektorka. Zgoda, Lublin, a zwłaszcza lubelscy operomani (do grona których należę) opery potrzebują. Można jednak zadać pytanie: Tylko jakiej?

Odpowiem, patrząc na inscenizację „Don Giovanniego", sytuującą akcję w realiach Włoch lat 20. XX w. Są liczne zmiany dekoracji, wnętrza, uliczki, historyczne kostiumy, wjeżdżający na scenę kabriolet, a oprócz posągu Komandora ożywającego w finale widzimy większe i mniejsze pomniki koni, co ma ostatecznie udowodnić, że jesteśmy w Rzymie. Założenie jest jedno: „glamour".

Efekty są dość przeraźliwe, kurtyna zjeżdża co i rusz, by można było ponownie zagracić scenę, a wtedy na wielkich projekcjach pojawia się – gdybyśmy jednak mieli wątpliwości – nocne Wieczne Miasto. Z możliwości sceny skorzystano więc na najprostszym, naiwnym poziomie: jeśli piekło, to ekranowe płomienie na kilka metrów i zjeżdżająca zapadnia; jeśli gwiazda filmowa, to szminka, czerwone róże, zalotne spojrzenia w zbliżeniu przeskalowanym na całe okno sceny itd. Do tego talerze i kieliszki się nie tłuką, bo są z tworzywa sztucznego, a „glamourem" są wystawne kostiumy oraz zalotne wygibasy pań i nadęte pozy panów.

Gdzieś zniknął – pomimo talentu śpiewaków – cały smutek tej opowieści, przemycony pod warstwą buffo, ujawniający moc kłamstwa, samooszustwa, zauroczenia złem. Wyparowały podteksty, warstwa prawdy psychologicznej napisana przez librecistę, ale przede wszystkim w nutach przez samego Mozarta – co czyni ten tytuł przekraczającym ramy gatunku, by na nowo je określić. Tymczasem lubelski „Don Giovanni" co i rusz zjeżdża w bulwarowe regiony, takie od „Wesołej wdówki" i „Hallo Szpicbródka", czemu sprzyjają stare przyzwyczajenia rodem z Teatru Muzycznego oraz reżyseria Wojciecha Adamczyka, sytuacyjna i bez głębszej wyobraźni.

Trudno odgadnąć, w jakiej sprawie wskrzeszono słynnego kochanka, o czym jest ten spektakl. Prawdopodobnie o niczym, jak podpowiada banalnie rozwiązany finał. Całe przesłanie zmieściło się w odwróceniu jego wymowy: łotrostwo nie zostało ukarane, bo piekła nie ma. To był tylko film. Don Giovanni, czyli niejaki Giovanni di Molina, producent filmowy, trafia co prawda do piekła, ale już za moment widzimy go, żywego i zdrowego, w tylnym planie. A potem, tuż przed zapadnięciem kurtyny, pokazuje widowni gest Kozakiewicza na tle słynnych liter „Hollywood".

Jest jeszcze i to pytanie: Po co grać Mozarta, kiedy się nie ma kim go zaśpiewać? Bogactwo i precyzja partytury, zawrotne tempa, sceny wielogłosowe i język włoski oryginału bezlitośnie obnażają różnice w obsadzie. Tutaj nie ma partii drugoplanowych. I tak dostaliśmy Mozarta wykonanego czasem pięknie, czasem poprawnie, a czasem kompromitująco. Różnica pomiędzy artystami zaproszonymi, Rafałem Siwkiem (Komandor), Kariną Skrzeszewską (Donna Elvira), a resztą obsady była odczuwalna, a niekiedy porażająca. Trudno o to zresztą winić lubelskich śpiewaków, przyzwyczajonych do innego repertuaru, postawionych w sytuacji ekstremalnego muzycznego wyzwania. Na drugim ze spektakli premierowych sprostali mu Patrycjusz Sokołowski w głównej roli oraz Patryk Pawlak (Leporello).

Są to spostrzeżenia subiektywne, ale słyszalne nawet niefachowym uchem były różnice w głośności, fałsze i gubienie tempa. Orkiestra przegrała gracko całą partyturę, aby do przodu, bez bawienia się w interpretację, bo skoro muzyka jest wspaniała, to sama się obroni.

Ale w dobie streamingów z najlepszych scen operowych świata samo wystawianie przez Operę Lubelską arcydzieł z udziałem kilku zaproszonych, świetnych głosów nie jest żadnym przełomem i trudno się na to złapać. Jest za to groteskowym napinaniem się, leczeniem prowincjonalnych kompleksów za pomocą światowego repertuaru. ©℗

**OPERA LUBELSKA – W.A. MOZART, „DON GIOVANNI"**
**REŻYSERIA:** WOJCIECH ADAMCZYK
**KIEROWNICTWO MUZYCZNE:** VINCENT KOZLOVSKY
**SCENOGRAFIA:** MAREK CHOWANIEC
**KOSTIUMY:** MARIA BALCEREK
**PREMIERA:** 25, 26 STYCZNIA 2025 R.



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

# Kot w podróży

Tajemniczy kataklizm zmienił oblicze Ziemi. Rozbitkowie – ekipa zwierzaków – znaleźli schronienie na łodzi, którą morskie prądy niosą nie wiadomo gdzie. Niemal cała planeta pokryta jest wodą, tu i ówdzie wystają z niej górski szczyt albo wieżowce zalanego miasta. Ludzi ani śladu. A na łodzi kot, pies, kapibara i okazjonalnie jeszcze inni pasażerowie.

Brzmi trochę jak streszczenie animacji dla dzieci, ale łotewski reżyser Gints Zilbalodis daje nam opowieść zupełnie inną: medytację dla dorosłych o końcu świata, która zresztą zachwyciła krytyków. „Flow" zdobył Złoty Glob dla najlepszego filmu animowanego, pokonując tak mocną i kasową konkurencję jak „W głowie się nie mieści 2" Pixara, „Dziki robot" studia DreamWorks czy „Wallace i Gromit: Zemsta pingwina" studia Aardman (jest i nominacja do Oscara).

Jest to film bardzo dobry, choć nie tak dobry, jak twierdzą jego najwięksi fani. Przesłanie (trzeba współpracować w trudnych czasach, światu grozi katastrofa klimatyczna) nie jest specjalnie oryginalne. „Flow" oferuje jednak ciekawe, piękne doświadczenie immersyjne, które przypomina trochę wejście w świat bardzo nastrojowej i ładnie zaprojektowanej gry wideo. Zresztą do animacji użyto właśnie software'u open source Blender, wykorzystywanego w przemyśle gier. Wcale mi to nie przeszkadzało, bo doskonale stopiono obraz z idealnie oddanymi na ekranie ruchami i zachowaniem zwierząt.

Tym, co wznosi na nowy poziom film – uroczy, aczkolwiek nieco błahy – jest króciutka scena, którą widzimy już po napisach końcowych (warto poczekać), współgrająca ciekawie przede wszystkim z ostatnią sceną filmu właściwego. Dopiero ich zestawienie otwiera pole do nowej interpretacji. Odyseja zwierzaków z odrapanej żaglowej łódki okazuje się już nie tylko przygodą z czasów nowego potopu, lecz także przypowieścią o wędrówce, którą jest życie. Przechodzimy rozmaite próby, wyrywamy się ku różnym zajęciom i celom, ale – jak to ładnie ujął David Foster Wallace – „Oczywiście w końcu stajesz się sobą" (tytuł wspomnień o pisarzu autorstwa Davida Lipsky'ego). Nie ma innego wyjścia, nie uciekniesz od tego, że jesteś tylko (albo aż) sobą. A kres podróży wszyscy mamy jednaki – taki jak w epilogu po napisach końcowych filmu „Flow". ©℗

★★★★★☆

**REŻ. GINTS ZILBALODIS**
**„FLOW" („STRAUME")**
**ŁOTWA 2024**

**GRA TYGODNIA: „NINJA GAIDEN 2 BLACK" (REMAKE)**

Czy w oczekiwaniu na czwartą pełnoprawną część serii warto rozgrzać palce, wracając do części drugiej za sprawą jej remake'u? Odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta. Gra z 2008 r. po przesiadce na silnik Unreal Engine 5 wygląda dobrze, ale już animacje kuleją. Denerwować mogą też praca kamery i kilka innych elementów, które zostały nietknięte, choć przydałoby im się odświeżenie. Niemniej dostaliśmy świetny slasher, który ma swoje wady, ale w ostatecznym rozrachunku jak najbardziej się broni. ©℗

★★★★☆☆

***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Koei Tecmo*



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Siostrzeństwo krwi

KINO

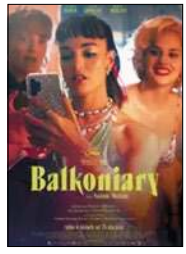


★★☆☆☆

**REŻ. NOEMIE MERLANT „BALKONIARY" FRANCJA 2024**

wyst. Sanda Codreanu, Souheila Yacoub, Noemie Merlant

Młodość musi się wyszumieć, ale potrzebuje na to coraz więcej czasu. Ruby, Nicole i Elise dobijają trzydziestki, lecz do zawodowej oraz emocjonalnej stabilizacji wciąż im daleko. Pierwsza kosi pieniądz jako camgirl, druga jest początkującą pisarką, trzecia sfrustrowaną mężatką. Akcja rozgrywa się latem w Marsylii, gdzie latem człowiek ma ochotę wejść do lodówki, a na maskach samochodów można smażyć jajecznicę. Nasze panie są tak rozpalone, że postanawiają złożyć wizytę atrakcyjnemu sąsiadowi. Zafascynowane cielesną powłoką nie myślą o jego duszy. A ta, jak to u faceta, okaże się cokolwiek robaczywa.

Gdyby „Balkoniary" były tylko czarną komedią o silnym zabarwieniu erotycznym, uznałbym ten seans za stratę czasu. Rzecz jest przerysowana i chaotyczna. Bohaterki cierpią na chorobę dwubiegunową: od euforii gładko przechodzą do histerii, rywalizując o miano francuskiej królowej krzyku. Groteska wbrew pozorom wymaga aptekarskich umiejętności. Noémie Merlant woli pójść na żywioł. Nie każda aktorka lubi obnażać się przed kamerą, więc pani reżyser, siadając w fotelu ginekologicznym, osobiście zademonstrowała, że dla wyższych celów można i należy przełamywać barierę wstydu. A jakiż to cel? Zgoła nieartystyczny. Całe to wyuzdanie, chwyty rodem z horroru służą za ornament. Clou przedstawienia jest idea siostrzeństwa. Ruby, Nicole i Elise odkrywają, że mogą być sobą tylko wtedy, gdy są razem. Co robią ze swoimi ciałami – to ich sprawa. Facetom, z natury durnym i brutalnym, nic do tego. Niech przeproszą, a zaraz potem znikną. Przekaz prosty, aczkolwiek momentami trochę niespójny. Patrząc w ekran, zastanawiałem się: Czy ekshibicjonizm jest tylko orężem w wojnie płci czy jednak celem samym w sobie?

Gdyby ten film nakręcił mężczyzna, dostałoby mu się za seksizm, a także za gruboskórność. Przemoc domowa, gwałt i aborcja: umówmy się, są tematy bardziej odpowiednie do fabularnej szarży. Madame Merlant nie zatrzymuje się jednak, w nowej wersji „Emmanuelle" zaciekle „walczy o prawo do przyjemności". Całkiem możliwe, że przejdzie do historii kina jako superbohaterka, która dopadła ducha epoki i ściągnęła mu majtki. W dodatku przez głowę. ©℗

***Wiesław Chełminiak***

## WOLNY DUCH

CANAL+

Cywilizacja amerykańska wielbi ludzi sukcesu, lecz ma również słabość do outsiderów i straceńców. James Newell Osterberg, lepiej znany jako Iggy Pop, ma przewagę nad innymi słynnymi buntownikami: nadal żyje.

Prywatnie inteligentny i uprzejmy, na scenie zmienia się w bestię. Nagrał kilkanaście przebojów i zagrał w kilku filmach, lecz nie został marionetką show-biznesu. Mieszka w Miami, tapla się w oceanie i trzyma fason. O młodzieńczych ekscesach, nałogach i zakrętach kariery mówi tyle, ile chce, a twórcy dokumentu nie naciskają. Znajomi ojca chrzestnego punk rocka (najmłodszy, Johnny Depp, ma lat 61) dawno wyczerpali zapas anegdot. Francuzi uprawiają natomiast jawne bałwochwalstwo („artysta totalny", „człowiek renesansu", „ma w sobie coś z greckiego boga"). Każdy fan chciałby zrobić film o swoim idolu. Im się udało. ©℗

★★★☆☆

**REŻ. SOPHIE BLONDY „OPOWIEDZ NAM, IGGY" („TELL ME IGGY") FRANCJA 2022**

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

# Harmonia w świecie chaosu

W świecie sztuki współczesnej, gdzie często dominują nadmiar i chaos, twórczość Toshihiro Hamano wyróżnia się szczególną czystością formy i głębią znaczeń. Jego prace, zakorzenione w japońskiej tradycji estetycznej, prowadzą dialog z historycznym dziedzictwem, szczególnie z duchem Tai-an" – pisze dr hab. Sybilla Skałuba, kurator wystawy „Beauty of Japan – Tradition and Modernity".

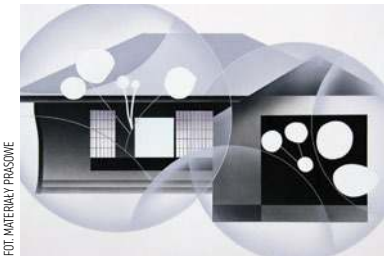

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tai-an to najstarsza japońska herbaciarnia, stworzona w XVI w. Niewielka – o powierzchni zaledwie dwóch mat tatami – i ascetyczna. Kwintesencja filozofii wabi-sabi, znajdującej piękno w prostocie, niedoskonałości i przemijaniu.

Toshihiro Hamano, mistrz estetyki wabi-sabi, łączy tradycję ze współczesnym wyrazem artystycznym, przenosi ducha Tai-an w XXI w. I przypomina, że to właśnie w momentach ciszy i pozornej pustki odnajdujemy harmonię. ©℗

**GDZIE?** Muzeum Śląskie w Katowicach
**KIEDY?** do 9 marca



eprasa.pl 8d07af6ce2

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

# Zagłada Huty Pieniackiej

Na początku zeszłego roku ukazała się książka Stanisława Srokowskiego „Zanim spłonęli żywcem" o zbrodni w Hucie Pieniackiej, gdzie 28 lutego 1944 r. Ukraińcy wymordowali niemal całą ludność tej położonej w powiecie Brody, w województwie tarnopolskim, zamieszkanej niemal wyłącznie przez Polaków miejscowości. Przed masakrą liczyła ona 172 gospodarstwa i ok. 1 tys. mieszkańców. Przebywało tam jednak znacznie więcej ludzi, gdyż w Hucie Pieniackiej schroniło się wielu uciekinierów z ogarniętego pożogą Wołynia, skąd zbiegli, chroniąc się przed zagładą.

Sprawcami zbrodni, której inaczej niż ludobójstwem nazwać niepodobna, byli Ukraińcy; Hutę Pieniacką otoczyło 500–600 żołnierzy ukraińskich formacji policyjnych SS, wspieranych przez członków UPA i ukraińskich chłopów z sąsiednich wsi.

W książce „Zanim spłonęli żywcem" oprócz obrazu zagłady Huty Pieniackiej przedstawione zostały okoliczności napadu na nią i całe tło społeczno-historyczne tej zbrodni wraz z omówieniem ideologii Dmytra Doncowa i tego, czym była zarówno Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, jak i Ukraińska Powstańcza Armia. W wydanej teraz kontynuacji książki zatytułowanej „Z kościoła do piekła" mowa jest już tylko o 28 lutego 1944 r. O ludobójstwie dokonanym wtedy w Hucie Pieniackiej opowiadają jego świadkowie, ci, którzy ocaleli z płonących we wsi stodół, i ci, którym udało się uciec i ukryć się przed grożącą zewsząd śmiercią. Zgromadzona też tutaj została dokumentacja AK-owska ukazująca przebieg działań pacyfikacyjnych i zagraniczne dokumenty, głównie niemieckie, odnoszące się do udziału w zagładzie Huty Pieniackiej 14. dywizji SS-Galizien.

Ofiary zbrodni spędzono do kościoła, skąd wyprowadzano je potem do stodół i tam żywcem palono. Zabijano i przed ołtarzem, choć oprawcy „nie chcieli od razu tworzyć popłochu i paniki". Ale nie wytrzymywali. Oto jedna z relacji: „Wśród znajomych ujrzałam ranną ciężko w brzuch Rozalię Sołtys, która podtrzymywała rękami wypływające z brzucha wnętrzności. Około godziny 13 lub 14 do kościoła, od strony zakrystii, wszedł ukraiński esesman w białym kombinezonie, wystrzelił jeden raz w kierunku grupy stłoczonych kobiet […], po tym rozległ się ogromny jęk i wrzask kobiet i dzieci". Franciszkę Michalewską, którą chwyciły bóle porodowe, esesowcy wyprowadzili z domu razem z akuszerką, a w kościele posadzili je na stopniu ołtarza: „Gdy bóle przybierały na sile, a Michalewska bardzo jęczała i zaczęła rodzić, to podszedł do niej esesowiec, wyrwał z niej siłą dziecko, rzucił na posadzkę przed ołtarzem i rozgniótł esesmańskim butem. W obronie rodzącej wystąpiła obecna przy niej położna. W odpowiedzi obydwie zostały zastrzelone […]". Po latach wnuk tej akuszerki, Sulimir Żuk, pytał: „Czyż można ten mord nazwać inaczej niż ludobójstwem? Gdy myślę o tym, bezsilność rozdziera mi piersi. Nie ma nawet grobu babci. Nie ma grobu noworodka ani jego bestialsko zamordowanej mamy. Nie ma śladu po szlachetnym człowieku, jakim była babcia, nie ma gdzie złożyć kwiatów. Można tylko zmówić modlitwę za spokój jej duszy". „Rozpoznano 94-letniego Wojciecha Alberta Szmigielskiego. Siedział przykucnięty, miał twarz zakrytą dłońmi i pochyloną głowę. Tył głowy, kark, łopatki, ramiona i palce u rąk miał spalone, klatkę piersiową, brzuch i okolice bioder przestrzelone, oczodoły były bez gałek ocznych, twarz okaleczona, a język wyciągnięty na brodę był przebity gwoździem. Jego zwłoki rozpoznał wnuk Wilhelm Kowalczykowski".

W książce Stanisława Srokowskiego, na kanwach prozy którego powstał – przypomnę – film Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń", podobnych relacji znajdziemy mnóstwo. Najważniejsze są jednak spisy nazwisk: sprawców mordu, w zdecydowanej większości nigdy nieosądzonych, ocalonych mieszkańców Huty Pieniackiej i okolic i ten najdłuższy – zamordowanych. Zakłutych, zarąbanych, zastrzelonych, spalonych.

Huty Pieniackiej próżno szukać na współczesnych mapach. Nie ma takiej wsi na Ukrainie, tam nie ma już nic. Tylko szczere pole, na którym od 2005 r. stoi pomnik. Na monumencie wyrytych jest 580 nazwisk. Sprawdzona w lutym zeszłego roku lista zamordowanych w Hucie Pieniackiej liczy już tych nazwisk 869, a uzupełnia ją wykaz 163 osób prawdopodobnie zamordowanych, bo nie udało się tego jeszcze potwierdzić ostatecznie. Trzy ostatnie pozycje w tym wykazie są takie: „161. N.N. dziecko wbite na płocie. 162. N.N. drugie dziecko wbite na płocie. 163. N.N. nieznana matka dwojga dzieci".

Tej książki nie da się czytać. Tę książkę znać trzeba. Koniecznie.

★★★★★★
**STANISŁAW SROKOWSKI „Z KOŚCIOŁA DO PIEKŁA" FRONDA, WARSZAWA 2024**



eprasa.pl 8d07af6ce2

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

# Kontrrewolucja zdrowego rozsądku

Kuchnia pełna niespodzianek. Któreż to już oblicze Ernsta Jüngera? Zacząłem przed laty od klasycznego autobiograficznego „W stalowych burzach", by potem zmagać się z filozofią „Robotnika", aż wreszcie jego fantastyka („Szklane pszczoły", „Eumeswil") wzięła mnie z zaskoczenia. Teraz dostajemy skromną objętościowo, lecz wielce ciekawą pracę wyciągającą z zapomnienia francuskiego pisarza Antoine'a de Rivarola. Sześćdziesiąt stron to esej biograficzny „Życie i dzieło"; kolejne 60 to maksymy Rivarola – lektura kapitalna. Błyskotliwy myśliciel antyrewolucyjny dawał odpór zgubnym modom epoki i jej luminarzom (takim jak Wolter czy Diderot) nie tylko na łamach wydawanego przez siebie pisma „Journal politique et national".

Prawdy, obserwacje i paradoksy sprzed 250 lat w większości ani trochę się nie zestarzały. „Właściwym mówcą w zgromadzeniu ludowym jest namiętność". „Pobożny wierzy w cudze wizje, filozof – tylko we własne". „Spiski zawiązywane są niekiedy przez inteligentne umysły – wykonywane zawsze przez bestie". „Niektórym ludziom z bogactwa pozostał tylko lęk, że mogą je utracić". I tak dalej.

Tom dopełnia kilka dodatków, w których Jünger pozwala sobie na własne komentarze, przypisy i naświetla twórczość Rivarola na tle epoki. Z kolei tłumacz książki, prof. Wojciech Kunicki, dokłada do tego wszystkiego obszerne posłowie, z którego dowiadujemy się m.in., kiedy rozpoczęła się fascynacja Jüngera myślą Rivarola i co łączyło francuskich myślicieli kontrrewolucyjnych z niemieckimi krytykami Republiki Weimarskiej. Słów pochwały braknie, by w pełni opowiedzieć, jakie to wszystko razem ciekawe i pożyteczne. A także nowe dla czytelnika, którego w szkole katowano oświeceniowymi maksymami, ale nie dopuszczano do głosu strony przeciwnej.

A słowa: „Żyjemy w epoce, kiedy nikczemność chroni lepiej niż prawa, skuteczniej zapewniając spokój sumienia niż niewinność" powinni wziąć sobie do serca nie tylko współcześni politycy. Aby tak naprawdę zrozumieć nikczemność współczesności, sięgać musimy w przeszłość; trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. ©℗

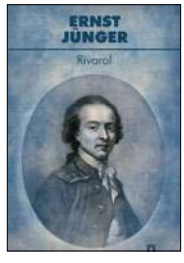


★★★★★☆
**ERNST JÜNGER „RIVAROL" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ 2024**

## NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Mroczne oblicze Wall Street: o tym, jak Ray Dalio, menedżer Bridgewater Associates, okpił wszystkich bajkami o nowatorskim systemie inwestycji. Tak naprawdę stworzył toksyczne imperium balansujące na granicy prawa.

**ROB COPELAND „THE FUND. BEZ ZASAD" PRZEŚWITY**

Obszerna, dwutomowa biografia czeskiego bohatera narodowego, wybornie napisana i pełna zaskoczeń. Bo takie było życie Žižki: raubrittera, najemnika, generała husytów i niepokonanego w bitwach wodza.

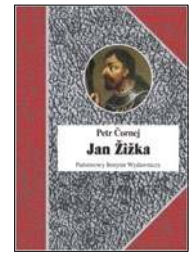


**PETR ČORNEJ „JAN ŽIŽKA" PIW**

Studia i szkice o Szekspirze i Sienkiewiczu, nie zawsze bezpośrednio o nich, lecz zawsze z ich inspiracji. Podróżujemy więc z autorem erudytą zarówno po deskach teatrów, jak i do Szkocji czy na Kresy.

**JAROSŁAW KOMOROWSKI „DWAJ PANOWIE S." INSTYTUT TEATRALNY**

Autor świątecznych bestsellerów („Chłopiec zwany Gwiazdką", „Ojciec Gwiazdka i ja") tym razem zaprasza na Ibizę i proponuje opowieść obyczajową z elementami fantastyki. Kontynuacja „Biblioteki o północy". ©℗

*recenzuje Piotr Gociek*

**MATT HAIG „NIEMOŻLIWE ŻYCIE" ZYSK I S-KA**

**KOMIKS TYGODNIA: ŚMIESZY, TUMANI, PRZESTRASZA**

Kto czytał w latach 80., ten turlał się ze śmiechu, kto nie zna, powinien czym prędzej przeczytać opowieści o Orient Menie, perłę w koronie przezabawnych opowieści Tadeusza Baranowskiego. Aż dziw, że w PRL, który nie miał żadnych tradycji komiksu o superbohaterach, ukazała się jedna z najlepszych parodii tego gatunku. Polak potrafi. ©℗

*Piotr Gociek*

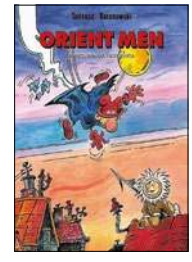


**TADEUSZ BARANOWSKI „ORIENT MEN" ONGRYS 2024**



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. ADOBE STOCK

# Kosztowna ksenofilia

*Jan Fiedorczuk*

**To, czy migracja jest legalna czy nie, to sprawa drugorzędna. Długoterminowo to jej masowy charakter, a nie prawny status jest prawdziwym zagrożeniem. Etniczne konflikty czy akty terroryzmu są niemal zawsze skutkiem działalności migrantów całkowicie legalnych albo pokoleń, które wręcz urodziły się już w Europie. Jeżeli dziś dla wzrostu PKB zgadzamy się na cichą transformację Polski w państwo multi-kulti, to musimy mieć świadomość, że ta naiwna ksenofilia w przyszłości będzie nas dużo kosztować**

Premier Donald Tusk, zapowiadając na konwencji KO twardą walkę z nielegalnymi migrantami nadchodzącymi zza wschodniej granicy, na jednym wdechu de facto zachęcał do przyjazdu do Polski migrantów zarobkowych. Szef rządu podkreślał, że jest za tym, by do Polski trafili ludzie, którzy chcą tutaj „uczciwie pracować, płacić podatki, integrować się z polskim społeczeństwem, uczyć się na prawdziwej uczelni". Podobny ogląd sprawy mają politycy PiS, za których rządów do Polski trafiły tysiące obcych kulturowo pracowników. I nawet teraz Mateusz Morawiecki obiecuje kontynuację tej linii. – Nie przeszkadza mi obcy język, kolor skóry, tradycje. Kto w Polsce chce się rozwijać, pracować i zachowywać się zgodnie z prawem i naszymi zasadami, szanować polską kulturę, jest zawsze mile widziany – mówił były premier na jednym z nagrań zamieszczonych w sieci. W mediach sporą popularnością cieszyło się również niedawne nagranie Dominika Tarczyńskiego, na którym uwieczniono, jak europoseł PiS przepytuje przypadkowo złapanego na ulicy migranta, czy jest w Polsce legalnie, a gdy ten potwierdza, to rzuca mu się w ramiona, zachęca do pozostania w kraju, a jego dziewczynę (Polkę) zaczyna wypytywać o ślub. Nie chodzi tu o tego konkretnego przybysza, który może nawet i doskonale integrować się ze społeczeństwem, tylko o mentalne podejście polskich polityków, dla których



eprasa.pl 8d07af6ce2

migracja jest problemem, wyłącznie gdy ma charakter nielegalny i jest sterowana z Brukseli bądź Moskwy.

Migracja nielegalna jest paradoksalnie o wiele mniejszym wyzwaniem, gdyż społeczeństwo w naturalny sposób traktuje ten proceder jako zagrożenie i wymusza na politykach konkretne działania. Migracja legalna, ale masowa i de facto niekontrolowana jest tymczasem „cichym zabójcą" państw narodowych, gdyż w niepostrzeżony sposób zmienia tkankę narodowościową, dokonuje transformacji etnicznej struktury społeczeństwa i szykuje grunt pod polskie multi-kulti.

## RADYKALIZACJA KOLEJNYCH POKOLEŃ

W październiku ulicami Hamburga przeszło ok. 2 tys. islamistów domagających się wprowadzenia w Niemczech kalifatu. Gdy jeden z internautów skomentował tę sytuację słowami: „Niech wracają do domu", otrzymał bardzo trafną ripostę: „Oni są w domu". Rzeczona demonstracja nie była pierwszą tego typu, w samym tylko 2024 r. w Hamburgu doszło do co najmniej jeszcze jednego podobnego wydarzenia. Tak oto demoliberalna Europa zapędziła się do ustrojowej aporii – prawa człowieka (i rynek pracy) zmuszały ją przez dekady do otwierania bram dla ludzi z obcych kręgów kulturowych („herzlich willkommen"), ale jednocześnie to ci ludzie byli rozsadnikiem właśnie tychże liberalnych zasad, które uprzednio umożliwiły masową migrację. Takich wydarzeń jak w Hamburgu można mnożyć bez końca – zaczynając od prawdziwej plagi gwałtów wśród migrantów pracujących w przewozach typu Uber, poprzez regularnie powtarzające się wybuchy wandalizmu w zachodnich stolicach, a kończąc na strefach „no go", do których reszta obywateli nie ma wstępu i nad którymi sam aparat państwa stracił kontrolę.

Obrońcy podejścia promigranckiego często podnoszą kwestię nierówności ekonomicznych, które radykalizują migrantów. To po części prawda, ale należy pamiętać, że zachodnie rządy podejmowały wiele kroków, aby włączyć przybyszy do „krwiobiegu" społeczeństwa. Dla przykładu: we Francji zrobiono naprawdę wiele, żeby migranci się zasymilowali – ułatwiono im dostęp do obywatelstwa i mieszkań, zaproponowano cały zestaw socjalnych benefitów itd. To wszystko jednak nie przyniosło zadowalających rezultatów. Paradoksalnie to właśnie pierwsze pokolenie migrantów potrafiło się, przynajmniej w jakimś podstawowym stopniu, zasymilować z autochtonami, podczas gdy dopiero ich dzieci i wnuki okazały się rozsadnikiem napięć.

Do tego dochodzi zjawisko, które w zlaicyzowanej Europie jest chyba zupełnie niezrozumiałe, czyli religijne przebudzenie najmłodszych pokoleń przybyszów (określane nieraz „desekularyzacją"). Michele Tribalat, francuska demograf zajmująca się migracją, wskazuje, że o ile religijność autochtonów regularnie spada, o tyle wśród muzułmanów zdecydowanie rośnie. Z kolei jeden z najsłynniejszych współczesnych socjologów, Anthony Giddens, pisał na przykładzie Pakistańczyków w Wielkiej Brytanii, że gdy pierwsze pokolenie migrantów doświadczało sytuacji niepewności, a w drugim pokoleniu poczucie bycia obywatelem brytyjskim zajmowało centralne miejsce w ich postrzeganiu samych siebie, to już trzecie pokolenie zaczęło tworzyć „hybrydowe formy kultury" oraz powracać do wiary przodków i radykalizować się politycznie. Giddens pisał to już 15 lat temu. Fundamentalizm religijny – jak tłumaczą socjolodzy – oferuje koherentną wizję świata tym osobom, które urodziły się już w Europie, ale nie czują się jej pełnoprawną częścią. Radykalizm pozwala im skonstruować tożsamościowy punkt oparcia, oferuje im to, czego zaoferować nie jest w stanie większość pochodzenia europejskiego.

To właśnie oni, ci młodzi radykałowie, domagają się kalifatu w Niemczech, to oni organizują albo pomagają organizować zamachy terrorystyczne. Przecież Salah Abdeslam, „bohater" największego procesu w historii Francji, człowiek współodpowiedzialny za serię zamachów z 2015 r., w których zginęło 137 osób, urodził się w Belgii i był w pełni „legalnym" obywatelem. To samo tyczy się Salmana Abediego, Brytyjczyka libańskiego pochodzenia, który w 2017 r. zabił 20 osób. W tym samym roku Khalid Masood, również urodzony w Wielkiej Brytanii, zabił cztery osoby. Idźmy dalej – Mohamed Lahouaiej Bouhlel w 2016 r. zabił 80 osób w Nicei. Również był w pełni legalnym migrantem. Terroryści odpowiedzialni za zamachy w Brukseli z 2016 r. także byli migrantami bądź potomkami migrantów legalnie przebywającymi w Belgii.

Ta wyliczanka mogłaby trwać jeszcze długo. Młode pokolenia powracają do islamu, a z każdym rokiem skłonnych do radykalizacji będzie w Europie jedynie przybywać, gdyż przyrost naturalny w rodzinach muzułmańskich jest wyraźnie większy niż w reszcie europejskich społeczeństw. Dokładnie nie wiadomo, ilu jest muzułmanów, gdyż np. we Francji podczas spisów ludności nie odnotowuje się przynależności religijnej i nie ma nawet oficjalnych danych na ten temat. Dość powiedzieć, że gdy w 2011 r. ówczesny minister spraw wewnętrznych Claude Guéant próbował oszacować liczbę muzułmanów, to udało mu się zawęzić przedział liczbowy między 5 a 10 mln osób…

Amerykański politolog Robert D. Putnam z Harvardu w pracy „Różnorodność i wspólnota w XXI wieku", w której oparł się na danych zbieranych przez kilka lat na grupie 30 tys. osób, dowodził, że etnokulturowa różnorodność wpływa negatywnie na stan wspólnoty narodowej. Tam, gdzie triumfowała wizja multi-kulti, obywatele zgłaszali spadek zaufania do sąsiadów, brak chęci udziału w wyborach, spadało zaangażowanie ludzi w życie ich lokalnych wspólnot, malał odsetek udziału w akcjach charytatywnych itd. Im większa różnorodność – wychodziło z badań Putnama – tym ludzie stają się coraz bardziej zamknięci; im większe zróżnicowanie etniczno-kulturowe, tym obywatele coraz mniej utożsamiają się ze swoją wspólnotą. I nie ma tutaj żadnego znaczenia, czy spoistość państwa rozbija się za pomocą migracji legalnej czy nielegalnej. Europejczycy, dopuszczając masową migrację, po cichu rozbrajają własne państwa narodowe. Ksenofilia jest trucizną narodów.

## PIS I PO ZA MIGRANTAMI

Przez lata konieczność migracji była przyjmowana jako swoisty aksjomat każdej dyskusji, a pytaniem pozostawał jedynie zakres tego procederu. Za całkowitym otwarciem granic opowiadała się nie tylko lewica i liberałowie. Dla przykładu: w 2018 r. Związek Polskich Przedsiębiorców oraz Warsaw Enterprise Institute wydały raport „50 milionów mieszkańców Polski", w którym opowiadano



eprasa.pl 8d07af6ce2

się, aby za pomocą masowej migracji zapełnić lukę na rynku pracy oraz ratować sytuację demograficzną. Służyć temu miały m.in. „maksymalne uproszczenie procedur związanych z legalnym zatrudnianiem cudzoziemców" czy „stworzenie warunków dla zamieszkania w Polsce rodzin imigrantów". Autorzy de facto założyli konieczność przyjęcia 10 mln migrantów (takie wezwanie nie pada wprost, ale to jedyne logiczne rozwiązanie) w ciągu trzech dekad, a prezes ZPP Cezary Kaźmierczak wprost podkreślał, że „jeżeli Polska chce być mocarstwem europejskim, to musi mieć 50 mln ludzi". Podobne hasła padały m.in. na łamach Nowej Konfederacji, gdzie propagowano hasło „100 milionów Polaków na dwusetną rocznicę odzyskania niepodległości".

Dobrym zobrazowaniem tego są oczywiście dwie kadencje Prawa i Sprawiedliwości, które w oficjalnym przekazie było partią antyimigrancką, a w rzeczywistości otworzyło granice w sposób do tej pory nieznany w III RP. W samym tylko 2021 r. wydano ponad pół miliona zezwoleń na podjęcie pracy przez cudzoziemców w Polsce. Śledząc, jak w ostatniej dekadzie gwałtownie wzrastała liczba migrantów w Polsce, trudno nie dostrzec, że przełomem były lata 2015 i 2016, bo to właśnie wtedy liczba zezwoleń na pracę dla obcokrajowców po raz pierwszy przekroczyła symboliczne 100 tys. Jeszcze w 2015 r. było to bowiem 65 tys., by rok później ta liczba wzrosła do 120 tys. W kolejnych latach te liczby drastycznie rosły, by sięgnąć rekordu w 2021 r. – ponad pół miliona zezwoleń. Jedynym ograniczeniem dla masowej migracji okazała się przepustowość polskich urzędów, a nie jakakolwiek strategia. Ta dysproporcja między praktyką rządów PiS a PO to jednak już przeszłość. Pełnych danych za 2024 r. jeszcze nie mamy, ale wiadomo, że w samym tylko pierwszym półroczu rządów Tuska urzędy wydały 173,5 tys. pozwoleń. Polityka KO dowodzi, że granice państwa jest łatwo otworzyć, ale gdy już raz wpuścimy setki tysięcy pracowników, to z oczywistych względów niezwykle trudno jest je ponownie zamknąć.

Powodem jest oczywiście sytuacja na rynku pracy. Polacy nie chcą brać posad, które są źle płatne i wymagające. W związku z tym wiele branż zostało zdominowanych przez migrantów. Pracodawcom bardziej opłaca się zatrudnić obcokrajowca za niższą stawkę, niż podwyższać płacę dla polskiego pracownika. Ta sytuacja będzie się jedynie pogłębiać, gdyż – jak wynika choćby z prognoz OECD – do 2050 r. z Polski ubędzie 7 mln ludzi w wieku produkcyjnym, co spowoduje olbrzymią lukę na wciąż rosnącym polskim rynku.

## KONSEKWENCJE PONIOSĄ POLACY

W dyskusji dotyczącej konieczności migracji kluczowe jest pytanie, czyim interesem powinny kierować się polskie władze. PKB, który jest nieustannie przywoływany przez zwolenników otwarcia granic, jest przecież tylko jednym z wielu czynników, które należy brać pod uwagę, projektując politykę gospodarczą. Ogólnie pojęty dobrobyt ma być jedynie narzędziem służącym Polakom, a nie celem samym w sobie. Ewentualne zyski, które odnosi społeczeństwo, zostaną okupione ceną, której nie da się jednocześnie wymierzyć. Takich rzeczy jak niepokój na ulicach, wandalizm, etniczne konflikty, wpływ mniejszości na politykę państwa nie sposób wpisać do tabelki w Excelu.

**Polska znajduje się obecnie na drodze, którą dekady temu podążyły Francja, Wielka Brytania czy Niemcy**

Zwłaszcza że z danych z np. 2023 r. wynika, że jedynie 6,5 proc. zezwoleń na pracę dla cudzoziemców dotyczyło zawodów wymagających wysokich kwalifikacji, a tylko 1 proc. dotyczyło zawodów jednocześnie deficytowych i wysoko wykwalifikowanych. Innymi słowy, Polska ściąga pracowników do tych sektorów gospodarki, które nie mają strategicznego znaczenia i nie zwiększają innowacyjności gospodarki. W ten sposób owoce masowej migracji konsumuje wąska grupa dominująca na rynku, podczas gdy długofalowe koszty tej polityki spadają na całe społeczeństwo. Jednocześnie sam proceder migracyjny dokonuje się poza jakąkolwiek kontrolą demokratyczną. Przez ostatnią dekadę ani razu nie spytano Polaków, czy opowiadają się, aby w nadchodzącym roku sprowadzić do kraju 200, 300 czy może 400 tys. pracowników z zagranicy. Migracja została sprywatyzowana przez biznes i polityków.

## CORAZ WIĘCEJ PRZESTĘPSTW

Tymczasem z oficjalnych danych wynika, że z roku na rok rośnie liczba przestępstw popełnianych przez migrantów. W 2016 r. odnotowano 4613 przypadków, podczas gdy w roku 2023 było to już 17 149 przestępstw. W ciągu siedmiu lat nastąpił zatem czterokrotny wzrost, a to przecież jedynie przedsmak konsekwencji, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć. Jeszcze kilka lat temu wiedzione naiwną ksenofilią lewicowo-liberalne media typu OKO.press powielały fake newsy, jakoby we współczesnej Europie nie było ani jednej strefy „no-go", a jedynie „dzielnice biedy", a wszelkie argumenty dotyczące różnic cywilizacyjnych były przejawem nacjonalistycznej i rasistowskiej retoryki prawicy. Po doświadczeniach ostatniej dekady już mało kto próbuje w ten sposób zakłamywać rzeczywistość. Obecnie widać, że konsekwentne wdrażanie liberalnych idei dotyczących tzw. społeczeństwa otwartego doprowadziło do stworzenia społeczności całkowicie „zamkniętych" i antyeuropejskich. Powód jest oczywisty – asymilować potrafią się jedynie jednostki, nigdy masy. Dlatego nawet jeżeli uznamy, że potrzebujemy migrantów na rynku, to migracja powinna być traktowana jako zło konieczne i jako taka musi być poddana restrykcyjnej, ostrożnej polityce skierowanej w konkretne sektory gospodarki. Na pewno nie zaliczają się do nich transport jedzenia, taksówki czy praca na kasie.

Polska znajduje się obecnie na drodze, którą dekady temu podążyły Francja, Wielka Brytania czy Niemcy. To te niegdyś wielkie państwa wiedzione liberalnymi hasłami praw człowieka oraz wizją taniej siły roboczej zostały rozstrojone przez masową migrację. Wcale nie nielegalną. Masowa wędrówka ludów jest fundamentalnym problemem, którego konsekwencje dopiero zaczynamy odczuwać, a który zdominuje politykę w następnych dekadach. Jest to zbyt istotne zagadnienie, aby pozostawiać je poza jakąkolwiek kontrolą społeczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Chanuka albo Boże Narodzenie

Anna Mandrela

**Czy katolik może obchodzić żydowskie święto religijne? To pytanie podzieliło polskich publicystów**

FOT. ADOBE STOCK

Czy katolik powinien obchodzić Chanukę? Czy Żydzi to starsi bracia w wierze? Skoro w Kościele obchodzi się Dzień Judaizmu, to dlaczego w synagogach nie ma Dnia Katolicyzmu? Czy rzeczywiście w Polsce mamy do czynienia z antysemityzmem? A co z antypolonizmem? Dlaczego pod adresem Polaków coraz częściej wysuwa się niesłuszne oskarżenia o współudział w zbrodniach dokonanych przez Niemców?

Coraz więcej Polaków zadaje sobie te pytania. Ostatnio wśród polskich publicystów burzliwą dyskusję wywołały billboardy sfinansowane przez Grzegorza Brauna, na których pojawiło się hasło: „Chanuka czy Boże Narodzenie? Europo! Wybór należy do Ciebie".

## ODŁAMANI OD DRZEWA OLIWNEGO

Ta nietypowa kampania reklamowa została skomentowana przed kard. Grzegorza Rysia, który stwierdził: „Nie za bardzo wiadomo, w jaki sposób mielibyśmy wybierać i przeżywać Boże Narodzenie, gdybyśmy obchodzili szerokim łukiem Chanukę, zwłaszcza jeśli chcemy być w zgodzie z tym, czego naucza dzisiejsze Magisterium Kościoła". Jednak Magisterium Kościoła nigdzie nie naucza, że katolik powinien obchodzić Chanukę, jeśli chce obchodzić Boże Narodzenie! Takie sformułowanie nie pojawia się nawet w deklaracji „Nostra aetate", na którą tak chętnie powołują się zwolennicy „dialogu międzyreligijnego". Ten dialog jest jednak jednostronny, to katolików namawia się do brania udziału w żydowskich modlitwach, natomiast podczas spotkań nie mówi się o nawracaniu Żydów. Podczas Chanuki organizowanej na KUL lub podczas Dni Judaizmu nie wspomina się o fundamentalnych różnicach między katolicyzmem a tym, w co wierzą współcześni reprezentanci judaizmu. Te zagadnienia dokładnie omówił redaktor Paweł Lisicki w swojej ostatniej książce „Mit starszych braci w wierze". Analiza wypowiedzi posoborowych hierarchów Kościoła i publicystów doprowadziła go do zaskakującego wniosku: „Okazuje się zatem, że chrześcijanie mają szanować już nie Żydów jako naszych braci i równych nam członków rodziny ludzkiej, co wprost wynika z nakazu miłości bliźniego, ale… »ich najgłębsze przekonania«. Tyle że owe »najgłębsze przekonania« oznaczają potępienie chrześcijaństwa!".



eprasa.pl 8d07af6ce2

Billboardy Grzegorza Brauna wywołały również dyskusję w środowisku prawicowych publicystów, czego wyrazem jest tzw. Deklaracja Szesnastu, którą podpisały również osoby znane ze swojego przywiązania do Mszy trydenckiej (Marek Jurek, Sławomir Cenckiewicz, Paweł Milcarek). Można by przypuszczać, że chociaż nie zgadzają się oni z formą przekazu, którą zastosował Braun, to łączy ich ta sama wiara – wszyscy są tradycyjnymi katolikami. Jednak w liście krytykującym akcję billboardową pojawiły się zaskakujące i niejasne sformułowania, np. to, że „Żydzi, praktykując swą religię, pozostają świadkami Prawdy chrześcijaństwa", przy czym słowa te odnoszą się do współczesnych Żydów, a nie do tych, którzy żyli w czasach przed narodzeniem Chrystusa.

Jest to ważne rozróżnienie, na które wskazywał św. Augustyn, m.in. podczas kazania na święto siedmiu braci machabejskich, w którym odpowiadał na zarzuty Żydów nierozumiejących, dlaczego chrześcijanie czczą tych starotestamentowych męczenników. Augustyn tłumaczy, że męczeństwo siedmiu braci machabejskich, którzy żyli w czasie oczekiwania na przyjście Chrystusa, było zapowiedzią męczeństwa pierwszych chrześcijan. Natomiast Żydzi, którzy żyli w czasach po Chrystusie, ale nie uwierzyli w nadejście Zbawiciela, zdaniem św. Augustyna zostali odłamani od drzewa oliwnego, a na ich sercach położona jest zasłona. Jak zatem można mówić, że współcześni Żydzi są „świadkami Prawdy chrześcijaństwa"? Takie podejście musi prowadzić nieuchronnie do wniosku, że nie potrzeba się modlić o ich nawrócenie. Z tej perspektywy wielkie konwersje znanych Żydów, takich jak Edyta Stein czy Alfons Ratisbonne, jawią się jako coś zupełnie niepotrzebnego!

„Deklaracja Szesnastu" wywołała liczne komentarze w sieci, o czym świadczy chociażby dyskusja pomiędzy Markiem Jurkiem a Pawłem Lisickim. Redaktor naczelny „Do Rzeczy" w wywiadzie udzielonym Piotrowi Szlachtowiczowi zwrócił uwagę na to, że publicyści broniący Chanuki nie wspominają o doktrynie wyznawanej przez Chabad Lubawicz. Jest to słuszna uwaga, gdyż to właśnie Menachem Mendel Schneerson, ostatni przywódca Chabad Lubawicz, rozpoczął akcję publicznego świętowania Chanuki. Z jego inicjatywy w 1979 r. prezydent USA Jimmy Carter wziął udział w rozpalaniu świec chanukowych na wielkim świeczniku, który został ustawiony przed Białym Domem.

**Zdaniem rabina Schneersona chanukowe światło ma sprawić, że narody świata zaczną służyć Izraelowi**

## WIARA W REINKARNACJĘ

W mojej najnowszej książce „Chanuka czy krzyż? Kulisy relacji polsko-żydowskich" starałam się podsumować główne różnice pomiędzy katolicyzmem a wierzeniami Chabad Lubawicz. Zgłębiając świat kabały i chasydyzmu, musimy dojść do wniosku, że tych różnic jest o wiele więcej. W tym ujęciu nawet wydarzenia z Księgi Rodzaju są inaczej interpretowane. Kościół katolicki mówi o grzechu pierwszych rodziców, o grzechu pierworodnym, o potrzebie pokuty za grzechy, o oczekiwaniu na Zbawiciela, o odkupieniu grzechu. W nauczaniu kabalistycznym, do którego również nawiązuje Chabad Lubawicz, nie ma pojęcia grzechu, zjedzenie zakazanego owocu zaś nie było sprzeciwieniem się woli Bożej, ale naturalnym procesem rozwoju duszy.

Członkowie Chabad Lubawicz wierzą w koncepcję reinkarnacji, która jest sprzeczna z nauczaniem Kościoła katolickiego. Największe kontrowersje budzi jednak doktryna o różnicach pomiędzy duszą żydowską a duszą goja spisana w księdze „Tanja", której autorem był rabin Szneur Zalman z Ladów, założyciel Chabad Lubawicz. W tym ujęciu dusza zmysłowa gojów stoi nawet niżej niż dusza koszernych zwierząt. Żydzi z kolei, oprócz duszy zmysłowej, posiadają jeszcze duszę, która jest bezpośrednio złączona z absolutem. Kościół katolicki naucza, że Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze. Nadzieje na wieczne niebo i strach przed wiecznym piekłem były tym, co motywowało wielu świętych i bohaterów. W nauczaniu Chabad Lubawicz nie ma zaś piekła! Według tych wierzeń każdy Żyd musi prędzej czy później zostać zbawiony, niezależnie od tego, czy oszukiwał, kradł i dokonywał mordów. W poszukiwaniu informacji o ewentualnej karze po śmierci na stronie Chabad Lubawicz znalazłam jedynie informacje o miejscu podobnym do czyśćca zwanym Gehenną, które nie trwa jednak dłużej niż rok i trwa tylko sześć dni w tygodniu, gdyż na szabat dusza odbywająca karę idzie do nieba.

We współczesnych dyskusjach wielu publicystów zdaje się zapominać o tym, na co Kościół przez lata zwracał uwagę. Religia nie jest prywatną sprawą, gdyż sposób, w jaki rozumiemy Boga, prawdę, sprawiedliwość i duszę ludzką, wpłynie na ustawodawstwo, sądownictwo oraz na sposób prowadzenia wojen. Dlatego choć Kościół głosił tolerancję wobec innych religii, to w krajach katolickich sprzeciwiał się publicznemu (nie prywatnemu!) obchodzeniu świąt innych religii. Chodziło o to, aby nie stawiać prawdy na równi z fałszem.

Rocznica pierwszego transportu Polaków do KL Auschwitz, która przypada 14 czerwca, jest zwykle obchodzona bardzo skromnie. Przypominają o niej głównie byli więźniowie i członkowie Komitetu 14 Czerwca. Polscy oficjele pojawiają się na tych obchodach rzadko, raczej wysyłają swoich przedstawicieli. Przez wiele lat była więźniarka Auschwitz, dr Barbara Wojnarowska-Gautier, walczyła o możliwość wnoszenia na teren obozowego muzeum polskich flag na drzewcach. Kilka lat temu udało się jej uzyskać zgodę na polskie flagi, ale wciąż nie ma zgody na odprawienie Mszy św. pod blokiem 11. Środowiska żydowskie sprzeciwiają się jakimkolwiek przejawom kultu katolickiego na terenie byłego obozu. Co jakiś czas słyszymy o rabinach protestujących przeciwko obecności kościoła w Brzezince. W 1993 r. pod wpływem nacisków i aktów agresji siostry karmelitanki zostały zmuszone do opuszczenia swojego domu zakonnego przy byłym obozie Auschwitz. Jeśli chcemy być obiektywni, to nie możemy zapominać również o tych wydarzeniach z czasów posoborowego „dialogu międzyreligijnego".

## ŻĄDANIE USUNIĘCIA KRZYŻA

Tegoroczne uroczystości upamiętniające 80. rocznicę wyzwolenia KL Auschwitz zgromadziły przywódców 65 krajów. Do Polski zjechali m.in. król Karol III, prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier i wielu innych. Po wystąpieniach byłych


eprasa.pl 8d07af6ce2

więźniów głos zabrał Ronald Lauder. Jest to człowiek bardzo wpływowy: przewodniczący Światowego Kongresu Żydów, członek Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, członek Rady Muzeum Polin. Prywatnie Lauder nie ukrywa, że jest członkiem Chabad Lubawicz.

Podczas swojego przemówienia w Muzeum Auschwitz-Birkenau Lauder przywołał postać nieżyjącego już Elie Wiesela, noblisty, autora obozowych wspomnień „Noc". Wiesel również był związany z Chabad Lubawicz, wśród publicystów zaś trwa spór o to, na ile jego relacje z obozu są autentyczne. Warto zaznaczyć, że to właśnie Elie Wiesel domagał się usunięcia krzyża upamiętniającego męczeństwo polskich księży na żwirowisku w KL Auschwitz i to on wypromował na Zachodzie antypolski paszkwil „Malowany ptak" autorstwa Jerzego Kosińskiego.

Lauder mówił również o rzekomej fali antysemityzmu, która szczególnie w 2025 r. wzrasta na świecie, a atak Hamasu na Izrael z 7 października 2023 r. przyrównał do mordów dokonanych przez Niemców w KL Auschwitz-Birkenau! Czy takie porównanie jest na miejscu? Wszak każdy, kto obiektywnie śledzi konflikt izraelsko-palestyński, dostrzeże, że obie strony dokonują zbrodni. Na premierze Izraela ciąży nakaz aresztowania wydany przez Międzynarodowy Trybunał Karny, a mimo to polskie władze zapowiedziały, że jeśli Beniamin Netanjahu pojawi się w Polsce 27 stycznia, to może czuć się całkowicie bezpiecznie. Premier Izraela ostatecznie nie przyjechał na obchody rocznicy wyzwolenia obozu. Chociaż podczas uroczystości mówiono o dzieciach, które ginęły w KL Auschwitz, i o współczesnych „aktach antysemityzmu", to nikt ani słowem nie wspomniał o palestyńskich dzieciach mordowanych przez izraelskie wojska. Oficjalne statystyki mówią już o co najmniej 14 tys. dzieci zabitych w Strefie Gazy.

Mamy tu do czynienia z propagandą, która każe nam być obojętnymi na cierpienia palestyńskich dzieci przy jednoczesnym nagłaśnianiu i piętnowaniu każdego napisu na murze, w którym pojawiają się rzekome antysemickie treści. Jest to podobna retoryka, którą zastosował premier Izraela Ja'akow Liwne podczas wywiadu, którego udzielił redaktorowi Robertowi Mazurkowi na Kanale Zero. W tym medialnym chaosie starajmy się zachować rzetelność i obiektywność.

Na koniec wróćmy raz jeszcze do tytułowego pytania: „Chanuka czy Boże Narodzenie?". Niezależnie od tego, czy Pan Jezus obchodził Chanukę czy też nie, katolik nie powinien obchodzić tego święta, gdyż od samego początku Kościół odszedł od obchodzenia starotestamentowych świąt takich jak Purim czy Pascha oraz zrezygnował z tradycji obrzezania. Trzeba jeszcze dodać, że Chanuka w rozumieniu Chabad Lubawicz ma niewiele wspólnego z historycznym świętem.

W książce „Chanuka czy krzyż?" cytuję książkę „Victory of Light", w której Schneerson wyjaśnia, jakie przesłanie kryje się za zapalaniem świec chanukowych. Jego zdaniem chanukowe światło ma sprawić, że wszystkie narody świata stopniowo osłabną, a następnie zaczną służyć Izraelowi! Ciekawe, jaka byłaby reakcja kard. Rysia, gdybyśmy w ramach obchodów Dnia Judaizmu zacytowali ten fragment?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 8d07af6ce2

# W polityce używa się siły, ale rządy prawa są lepsze

Piotr Semka

FOT. JAN

**Nie jest tak, że można nie liczyć się z niczym, jeśli tylko ma się siłę militarną. Owszem, agresorzy niekiedy bywają nieukarani, ale znacznie częściej tracą na polityce egoizmu**

Wydawało mi się, że moją polemikę z poglądami Marcina Skalskiego wyraziłem dość jasno w tekście „O rusofobii. Przyczyna i skutek, czyli jak nie stawiać wozu przed koniem" („DRz" nr 4/2025) podejmującym dyskusję z jego artykułem „Rusofobia – jak sterują strachem Polaków" („DRz" nr 51/2024). Uznawanie różnic wizji państwa, które dzieliły w przeszłości Polskę i Rosję, jedynie jako wyniku irracjonalnej rusofobii to kiepska metoda toczenia sporu. Wskazałem, że sprowadzanie bardzo różnych przyczyn konfliktów do irracjonalnego uprzedzenia jednej tylko strony – Polaków – jest zbytnim uproszczeniem. Odrzuciłem też tezę, że Polska nie ma zasadniczo żadnego interesu w solidarności z inicjatywami podejmowanymi wobec Białorusinów, Ukraińców i Rosjan, które zmierzają ku stworzeniu z tych państw organizmów demokratycznych, budujących swe relacje z sąsiadami na zasadzie poszanowania prawa międzynarodowego i przy wykluczeniu konfrontacji zbrojnej.

## IDEALIZM CZY REALIZM?

W odpowiedzi mój polemista argumentuje, że takie standardy to wydumany idealizm. Że w relacjach między państwami bardzo często występuje chęć wykorzystania swojej przewagi, większej sprawności militarnej i mocy woli. I aby zilustrować swoją tezę, że Rosja Putina nie poważa się w swych konfliktach na nic szczególnego, polemizuje ze mną za pomocą hasła „Polak czyli imperialista".

Marcin Skalski ironicznie wskazuje: „Jest w Europie państwo, które całkiem niedawno wprowadziło na obszar sąsiada swoje »zielone ludziki«, przeprowadzając tam następnie głosowanie wśród miejscowej ludności. W tym czasie zlikwidowało też państwowość ukraińską, wspierając także wbrew prawu międzynarodowemu rodaków wszczynających powstanie na innych terenach spornych [...], rządzone było przy tym przez dyktatora, który fałszował wybory i zamykał przeciwników politycznych w obozie pracy przymusowej".

Z braku miejsca rozkoduję aluzje pana Marcina. Mowa oczywiście o II Rzeczypospolitej. Do rajdu „zielonych ludzików" Putina na Krym przyrównuje on zarówno bunt Żeligowskiego przeciwko Litwie kowieńskiej, jak i polską pomoc dla powstańców śląskich w kolejnych zrywach – w latach 1919–1921. To wspomniane zlikwidowanie państwowości ukraińskiej to polska walka o Lwów i wyparcie wojsk Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej za Zbrucz w latach 1918–1920. A ów dyktator fałszujący wybory i zamykający przeciwników w obozach to Józef Piłsudski.

## PIÓRO MOCNIEJSZE NIŻ MIECZ

Mój polemista wykorzystuje to, że w dziejach wszystkich narodów, obok okresów trzymania się pokojowych norm współżycia między obywatelami w ramach jednego kraju i – szerzej – wśród wspólnoty różnych państw bywają okresy sięgania po brutalną siłę. Jednak w wypadku porównywania historii Polski i Rosji ta metoda, którą można określić mianem „nie oskarżaj, bo sam masz swoje za uszami", jest wyjątkowo nietrafna. Stosowana ona jest zresztą przez wielu rosyjskich historyków, którzy mieszają polskie grzechy ze swoimi, sprytnie pomijając skalę i rozmiary konsekwencji działań po obu stronach.

Marcin Skalski miesza też okresy historyczne. Polska, gdy zmagała się z zajęciem przez Ukraińców Lwowa, znajdowała się w momencie ogólnoeuropejskiej dezorganizacji granic i powstawania nowych tożsamości, które zderzały się z polskimi żądaniami na drodze zbrojnej. Pamięć o anomaliach tego okresu – wzmocniona jeszcze przez refleksje z lat drugiej wojny światowej i lat zimnej wojny – skłoniła społeczność europejską do postulatu wyrzeczenia się siły zbrojnej jako narzędzia rozwiązywania konfliktów.

Dlatego porównywanie decyzji Piłsudskiego o odbiciu Lwowa w 1918 r. czy o wykreowaniu buntu Żeligowskiego w 1920 r. trudno porównywać z sytuacją w naszym XXI w., kiedy to Putin najpierw zagarnął Krym, Ługańszczyznę



eprasa.pl 8d07af6ce2

i okręg doniecki, a następnie przeszedł do pełnoskalowej agresji przeciwko Ukrainie. Jak można porównywać działanie Rosji z jej „zielonymi ludzikami" z pomocą dla powstań śląskich, które wybuchły spontanicznie?

I jeszcze jedno. Autor przypomina, że w 1938 r. zabraliśmy Czechom nasze Zaolzie. To prawda, ale państwo polskie w osobie prezydenta Lecha Kaczyńskiego w jego historycznej przemowie na Westerplatte 1 września 2009 r. było zdolne do oficjalnego uznania, że był to polityczny błąd. A pomijam już, że czym innym był np. najazd ZSRS na Ziemie Wschodnie RP, a czym innym zajęcie Zaolzia. Polacy nie wywozili zaolziańskich Czechów do obozów, np. na Polesiu, i nie strzelali czechosłowackim oficerom w potylice tak, jak robili to Sowieci w Katyniu.

## POLAK TO NIE FRAJER

Marcin Skalski z lubością stara się odwracać znaki. Postępowanie, które – jak się wydawało w ciągu ostatnich 30 lat – zniknie z arsenału metod, które używają państwa w rozwiązywaniu sporów, stawia na piedestale. Jest zwolennikiem swoistego darwinizmu w relacjach między narodami oraz wierzy, że metoda taka jest korzystna i przynosi per saldo chlubę temu, kto jej używa. Jak pisze: „Gdy tylko Polacy rozumieją reguły rządzące stosunkami między państwami, wówczas są w stanie osiągać sukcesy. Do dziś możemy być dumni, gdy w ukraińskich czy litewskich podręcznikach do historii czytamy o »polskich okupantach« [...]. Polak nie jest frajerem, który chce zbawiać świat kosztem własnej ojczyzny, lecz bierze to, co uważa za swoje, i nie przejmuje się zdaniem innych. Rzecz jasna, braliśmy tylko to, co byłoby nasze również dziś, gdyby tylko stosunki między narodami urządzała wyłącznie zasada słuszności moralnej. Wileńszczyzna była i w wielu miejscach nadal jest zamieszkana w większości przez Polaków, stąd uroszczenia Litwinów do ustanowienia w Wilnie swej stolicy należało ukrócić zbrojnie. Lwów za przynależność do odrodzonej Rzeczypospolitej zapłacił daninę krwi i niemal każdy kamień do dziś mówi tam po polsku".

Marcin Skalski symbolicznie poklepuje mnie po plecach i mówi: „No nie bądź hipokrytą. Gdybyśmy mieli odpowiednią siłę, to tak samo jak Putin wzięlibyśmy sobie znów Lwów i Wilno. Bo przecież mamy do tego podstawy. Wokół Wilna żyją społeczności polskie, a we Lwowie niemal każdy zabytek zdradza polskie korzenie".

No, nie. Na takie propozycje odpowiadam: Nie! Nie jest tak, że można nie liczyć się z niczym, jeśli tylko ma się siłę militarną. Owszem, agresorzy niekiedy bywają bezkarni, ale znacznie częściej tracą na polityce egoizmu wskutek reakcji społeczności międzynarodowej. I oprócz emocji istnieje także w polityce coś, co akurat zwolennicy Realpolitik bardzo cenią. Poczucie rzeczywistości.

Co przyszłoby Polsce po zajęciu Litwy, skoro Polacy stanowią tam ok. 7 proc. ludności, a większość Litwinów traktowałaby taki polski najazd za nieakceptowalną okupację? Co z tego, że gdyby jakiś polski dowódca oszalał i próbował zająć Lwów pod hasłem, że „tam każdy kamień mówi po polsku" – gdyby nie tylko miało to oznaczać okupację miasta, w którym zdecydowana większość ludności to Ukraińcy, lecz także ściągnęłoby na Polskę długotrwały konflikt z wielomilionowym narodem ukraińskim?

Mądrość polityczna kazała polskim myślicielom w czasach PRL zastanawiać się, jak ułożyć sobie relacje z Białorusinami, Ukraińcami i Litwinami. Dzisiaj te relacje często bywają konfliktowe. Ale nie przelewamy krwi, walcząc z Litwinami o Wilno i z Ukraińcami o Lwów. Ja uważam to za korzyść, a nie za zmarnowaną szansę, co nie oznacza, że nie widzę trudności, które są we wzajemnych relacjach. Ale trudności dają się rozwiązywać, co wykazał np. konflikt Austriaków i Włochów o południowy Tyrol czy – jak kto woli – prowincję Górną Adygę. Owszem, dziś na Starym Kontynencie bardzo wiele sporów oblano lukrem haseł w stylu roztapiania się we wspólnej Europie czy ucieczki od nacjonalizmu poprzez budowę europejskiego superpaństwa. Ale niezależnie od tych banalizacji relacji międzynarodowych wydawało się nam do niedawna, że mimo wszystko stworzyliśmy w Europie o wiele bardziej przewidywalny sposób rozwiązywania konfliktów niż atakowanie wroga rakietami dalekiego zasięgu.

## MOSKWA ARBITREM?

A co proponuje Marcin Skalski? Oprzeć się na dobrych relacjach z Rosją, aby mieć mocną pozycję wobec Białorusinów, Ukraińców i Litwinów, ale tylko w jednej jedynej rzeczy. W celu zapewnienia sobie poparcia Rosji w kwestii obrony wszelkich praw i życzeń polskich mniejszości w krajach naszych wschodnich sąsiadów.

Wierzę, że Rosjanie z chęcią by do takiej gry przystąpili. Ale zapłacilibyśmy za to słoną cenę – w postaci uznawania Rosji za gwaranta sytuacji naszych mniejszości na linii Warszawa – Wilno, Warszawa – Mińsk i Warszawa – Kijów. Mnie taki ciężko opłacony sukces po prostu nie interesuje, bo wiem, jak tego typu uzależnienie przekładać się może na rozmaite inne aspekty istnienia państwa. Niedawno przekonali się o tym bardzo gorzko przywódcy Armenii, którzy przez dekady zakładali, że Rosja będzie ich obrońcą w sporach z Azerbejdżanem. Wystarczyło, że władze w Erywaniu spróbowały nieco wzmocnić swoje relacje z krajami Zachodu, aby Rosjanie dali Ormianom bolesną nauczkę. Z całkowitą obojętnością Putin przyjął odbicie należącego wcześniej do Armenii Górnego Karabachu przez azerbejdżańską armię.

I jeszcze jeden wątek. W swojej polemice z Marcinem Skalskim odrzuciłem sugestię, że represje rosyjskie były jedynie wynikiem zrozumiałej reakcji władz rosyjskich na polskie niedoważone powstańcze zachcianki. Zadałem wówczas pytanie: „A może po stronie rosyjskiej była też polonofobia?". Marcin Skalski wydaje się być zdumiony tym pytaniem. Argumentuje: „Niby czemu Rosjanie mieli się wówczas bać Polaków, to jest przejawiać wobec nich fobie? Przecież to klucz do spraw polskich leżał w rosyjskich rękach, a nie na odwrót". Zdumiewające myślenie jak na kogoś, kto uważa, że jak się ma siłę w ręku, to trzeba być frajerem, żeby z niej nie skorzystać.

Rosjanie w XIX w. miażdżyli nasze powstania, bo mieli do tego odpowiednie środki i nie traktowali Polaków jako równego sobie narodu. Mieliśmy być takim samym ludem cesarza jak Małorosjanie, Turkmeni czy Ujgurzy. Trudno się dziwić, że nasi przodkowie buntowali się przeciwko temu. Pomijając już to, że Rosjanie ten krótki moment, kiedy zajęliśmy Rosję i zajęliśmy Kreml na początku XVII w., rozpamiętują jak palącą ranę do dziś. Oni mogą, a my nie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

Paweł Chmielewski

FOT. ADOBE STOCK

# Barbarzyńcy u bram Kościoła

**Kulturowi barbarzyńcy przejęli dominację nie tylko nad światem polityki, lecz także w Kościele. Jak ich skutecznie przegonić? Nad tym zastanawia się warszawski teolog i duszpasterz ks. Robert Skrzypczak**

Niemal żaden ksiądz w Polsce nie podejmuje trudnych tematów kościelnych i cywilizacyjnych z taką intelektualną otwartością, z jaką robi to ks. Robert Skrzypczak. Dał temu dowód w książce „Nadchodzą barbarzyńcy", wydanej ostatnio przez Esprit. Czytelnik, który przejrzy pobieżnie spis treści, może w pierwszej chwili złapać się za głowę: trzecia wojna światowa wywołana przez żydowskich ekstremistów syjonistycznych, amerykański spisek stojący za rezygnacją Benedykta XVI, sataniści, masoneria i… synodalność. Spieszę z zapewnieniem: refleksje autora mimo pozorów są jak najdalsze od ekscentryzmu. To rzetelne i chłodne spojrzenie na sprawy, o których większość duchownych woli milczeć.

## KULISY ABDYKACJI

Przykład dotyczący papieża z Niemiec. W 2013 r. niemal niezauważony przeszedł zastanawiający fakt związany z kulisami jego abdykacji (może dlatego, że większość dziennikarzy katolickich nie ma większego rozeznania w świecie ekonomii). 1 stycznia tamtego roku Watykan został odłączony od systemu SWIFT. Papieskie finanse zostały de facto sparaliżowane. Trudności trwały ponad miesiąc. Zwykłe funkcjonowanie przywrócono… 12 lutego, dzień po tym, jak Benedykt XVI ogłosił, że zrezygnuje z urzędu. Decydenci nie czekali nawet na finalizację tego kroku. Ksiądz Robert Skrzypczak pisze, że w administracji ówczesnego prezydenta USA Baracka Obamy byli ludzie, którzy prawie otwarcie odgrażali się Benedyktowi XVI, przekonując, że doprowadzą do jego upadku. Zwykły zbieg okoliczności?

Innym niemal całkowicie przemilczanym tematem, nad którym pochylił się autor, jest wpływ masonerii na Kościół. To nie jest teoria spiskowa: w ostatnich latach współpraca katolicko-masońska odbywa się już zupełnie jawnie. Pisałem o tym dwa lata temu na łamach „Do Rzeczy". Ksiądz Robert Skrzypczak poświęca problemowi działań wolnomularzy cały rozdział. Dość przypomnieć, że od 2016 r. w Stolicy Apostolskiej obowiązuje polityka, którą nazywam „doktryną Ravasiego". Włoski kardynał Gianfranco Ravasi ogłosił wtedy w prasie (sic!), że Kościół katolicki powinien wejść na drogę głębokiego dialogu z masonami, bo razem można byłoby naprawiać wiele obszarów życia politycznego i społecznego. Od tego czasu w samej tylko Italii doszło do kilku dużych spotkań katolicko-masońskich. Jeden z najważniejszych włoskich wielkich mistrzów, Stefano Bisi, został niedawno zapytany przez konserwatywny dziennik „La Nuova Bussola Quotidiana" o to, czy jacyś wysoko postawieni ludzie Kościoła są członkami lóż. Odmówił odpowiedzi, ale polecił dziennikarzom dopytać o sprawę arcybiskupa Bolonii i przewodniczącego Konferencji Episkopatu Włoch, kard. Mattea Zuppiego. Niesmaczny żart czy raczej otwarta bezczelność? Nie wiem, ale nie jest chyba przypadkiem, że to właśnie Zuppi jako pierwszy włoski biskup oficjalnie zgodził się na pobłogosławienie pary homoseksualnej w kościele – i to zaraz po tym, jak dwaj mężczyźni zawarli „związek" w urzędzie stanu cywilnego…

## NADZIEJA DLA WIERZĄCYCH

Pomimo poruszania tak „apokaliptycznych" tematów ks. Skrzypczak nie zostawia czytelników w rozpaczy. Wierzący w Chrystusa – jak pisze – pozostają



eprasa.pl 8d07af6ce2

ludźmi nadziei. Na przestrzeni stuleci, od starożytności do wieku XX, Kościół potrafił w najczarniejszych momentach kryzysu wydać wielu świętych, a ci po prostu ratowali sytuację. Brzmi to naiwnie, ale tak rzeczywiście było. Wystarczy pomyśleć o historii Polski w XX w. i roli, jaką dla naszej tożsamości odegrali św. Maksymilian Kolbe albo bł. Jerzy Popiełuszko. Autor książki „Nadchodzą barbarzyńcy" głęboko wierzy, że tak samo będzie tym razem.

Oby miał rację, bo w najbliższym czasie czeka nas przecież naprawdę potężny „najazd barbarzyńców". Będzie tak za sprawą rozkazu budowania Kościoła synodalnego, który 26 października 2024 r. wydał papież Franciszek. Wszystko ma stać się inkluzywne, egalitarne, braterskie, otwarte, wesołkowate i w efekcie – potencjalnie zdradzieckie wobec Ewangelii. Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia prezydium Konferencji Episkopatu Polski – arcybiskupi Tadeusz Wojda, Józef Kupny i Marek Marczak – spotkało się w Watykanie z Franciszkiem. Według oficjalnych komunikatów rozmawiano m.in. o budowaniu w Polsce synodalnego Kościoła. Nie ma od tego ucieczki – papież oczekuje konkretów.

W Europie podjęto już próbę kontynentalnej konsolidacji wysiłków na rzecz synodalności. W 2023 r. odbyło się wielkie spotkanie synodalne dla całego kontynentu w Pradze. W tym roku – w mniejszym wymiarze – powtórzono je w Linzu w Austrii. Niedawno właśnie w tym mieście powołano specjalną jednostkę uniwersytecką: grono ekspertów z całej Europy ma się zająć badaniem synodalności i wypracowywaniem konkretnych rozwiązań na przyszłość. Środowiska germańskie są przekonane, że nawet jeżeli budowanie wspólnej synodalnej Europy będzie w Kościele żmudne, to jest po prostu konieczne. Przy okazji synodu w Rzymie rozmawiałem o tym z bp. Franzem-Josefem Overbeckiem z Niemiec i holenderską profesor Myriam Willjens; oboje są zaangażowani w ten proces i sądzą, że z biegiem czasu może udać się przekonać wszystkie kraje do podobnych schematów myślenia, np. gdy idzie o rolę świeckich w życiu Kościoła.

Ta rola w duchu rewolucyjnego egalitaryzmu przybiera coraz bardziej kuriozalny kształt. Podam pewien przykład. W listopadzie ubiegłego roku w Belgii prawdopodobnie po raz pierwszy w historii Kościoła w centralnym punkcie Mszy Świętej zaczęto wymieniać imię… świeckiej kobiety. Arcybiskup Luc Terlinden, metropolita archidiecezji Mechelen-Bruksela, w 2023 r. na czele jednej z jej części składowych postawił panią Rebeccę Charlier-Alsberge, matkę czworga dzieci. Została formalnie „delegatem biskupim". Charlier-Alsberge wizytuje parafie, podejmuje kluczowe decyzje. Na tym jednak nie koniec. Świecka delegatka zaczęła wygłaszać w kościołach kazania. Strona internetowa archidiecezji pisze o tym zupełnie wprost. Wreszcie imię biskupiej delegatki wprowadzono do modlitwy eucharystycznej… Podobno domagali się tego księża i wierni. W efekcie tworzy się wrażenie, że Charlier-Alsberge sprawuje w archidiecezji quasi-kapłańską władzę. Wszystko jest zgodne z duchem dokumentów Synodu o synodalności. Tego właśnie chciano: wykorzystania do maksimum już istniejących możliwości prawnych, a w razie „potrzeby" ich odważnego przekraczania zgodnie z „kontekstem lokalnym".

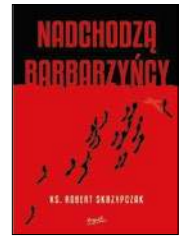


**KS. ROBERT SKRZYPCZAK „NADCHODZĄ BARBARZYŃCY" ESPRIT 2024**

Drobiazg albo niegodna uwagi historia z małego, zeświecczonego kraju? Bynajmniej, to rzeczywistość, która za chwilę – w tej czy innej formie – wkroczy również do Polski. Nie powinienem zresztą pisać w czasie przyszłym; nawet jeżeli nad Wisłą nie ma jeszcze świeckich delegatek biskupa, które głoszą kazania, to dzieją się inne absurdy. Na przykład duże środowisko kościelne na południu kraju – sięgające od Sosnowca aż do Krakowa – promuje szkolenie katolików z Pisma Świętego, które uwzględnia trzy perspektywy: katolicką, protestancką i żydowską. To nie żart: obok duchownych polskich katolików „poprawnej" lektury Biblii uczą charyzmatyczni protestanci i żydzi mesjanistyczni (na marginesie: trzeba za to dość słono zapłacić, ale najwyraźniej znajdują się chętni). Dla poprzednich pokoleń byłoby to czymś zatrważającym; po kilku dekadach liberalnego prania mózgu nikogo to już jednak nie zaskakuje, a w Kościele synodalnym tego rodzaju wielowyznaniowa mieszanka ma być prostu fundamentalnym elementem rzeczywistości.

## CHRZEŚCIJAŃSTWO I ISLAM

Łatwo jest w tym wszystkim stracić poczucie orientacji i dojść do przekonania, że Kościół katolicki przestał rozumieć, do czego tak właściwie jest powołany. Jakiś czas temu na ten problem zwracał mi uwagę słynny francuski kapłan, ks. Guy Pages, który poświęcił życie nawracaniu muzułmanów. Jego praca w samej Francji jest coraz trudniejsza – i to nie ze względu na problemy, które robią mu biskupi czy państwowi urzędnicy. Chodzi o „wizerunek" Kościoła. Według ks. Pagesa rosnąca liczba mahometan wzrusza ramionami, słysząc, że ktoś zaprasza ich do przyjęcia Chrystusa. Dołączyć do wspólnoty, której głowa – papież Franciszek – pozwala na błogosławienie par homoseksualnych? Dla nich to absurd. Od tego samego papieża słyszą też, że chrześcijaństwo oraz islam to równoważne drogi do Boga. Nie rozumieją, dlaczego jacyś katolicy próbują ich wobec tego jeszcze nawracać. Wolą zostać tam, gdzie są.

Książka ks. prof. Roberta Skrzypczaka stara się być lekarstwem na to potężne antyświadectwo progresywizmu, który zakorzenił się w Kościele katolickim. Kapłan chce pokazać, że Kościół, który zamiast Chrystusem zajmuje się sam sobą, nikogo nie zainteresuje. Jego zdaniem potrzeba w tej sytuacji przede wszystkim jednego: radykalnego skupienia na świętości, we wszystkich jej wymiarach. Jak to zrobić? O tym autor pisze bardzo szeroko. Czy w ten sposób uda się przegonić barbarzyńców – wie tylko Bóg, ale musimy próbować. Zmiany polityczne, które zachodzą na świecie – od wyborów w Stanach Zjednoczonych do wzrostu popularności prawicy w kilku dużych państwach europejskich – nie wystarczą. Racjonalna konserwatywna polityka musi mieć oparcie w zdrowym nauczaniu Kościoła. Bez tego, w ten czy inny sposób, szybko się wykolei, stając się kolejnym świeckim pseudomesjanizmem. Naprawdę trzeba zacząć od korzenia, a tym jest właśnie religia katolicka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Pałac wiecznie żywy

*Piotr Semka*
*z Berlina*

**„Blown away" – wysadzony w powietrze – tak nazwana została berlińska wystawa o Pałacu Republiki, reprezentacyjnym gmachu komunistycznych Niemiec. Kolosie, który istniał tylko 32 lata**

Szczerze mówiąc, to gmach nie tyle wysadzono, ile rozebrano w latach 2006–2008. Ale określenie „wysadzony" brzmi dramatyczniej. Jest w tym tytule rys oskarżenia i poczucia krzywdy. To nie pierwszy budynek, który mocniej tkwi w zbiorowej wyobraźni po zniknięciu niż w czasach, gdy stał w pełnej swej glorii.

Wystawa odbywa się w odbudowanym niedawno zamku królewskim Hohenzollernów, który stanął dokładnie w miejscu zdemontowanego gmachu. Tłumy byłych „dederonów" i Niemców urodzonych już po upadku muru oglądają z przejęciem nieliczne pamiątki z tej honeckerowskiej Atlantydy.

## DLA LUDU I... DLA SIEBIE

Komuniści zawsze lubili kreować własne pałace. Gdy na czele zbrojnych mas zdobywali siedziby królów i wielmożów, przemianowywali je po zwycięskiej rewolucji na pałace ludowe. Potem zaczęto budować je jako pomniki chwały nowej władzy. Zawsze znajdowały się w nich wielkie sale kongresowe, w których błyszczeć mogli pierwsi sekretarze postępowych partii.

Największy projekt takiego pałacu, czyli sowiecki Pałac Rad, nigdy w Moskwie nie powstał. Ale już Warszawę 10 lat po wojnie ozdobił Pałac Kultury i Nauki, a podobne potworki, choć na mniejszą skalę, powstały w Rydze i Pradze. Lata 70. przyniosły dwa takie obiekty: Narodowy Pałac Kultury w Sofii i właśnie bohatera berlińskiej wystawy – Palast der Republik. Był on zwiastunem nowej epoki w dziejach NRD.

W 1971 r. Erich Honecker wysadził z siodła poprzedniego szefa partii Waltera Ulbrichta, który jako stary komunista

Widok z lotu ptaka na Pałac Republiki NRD w Berlinie, który istniał w latach 1976–2006, po czym został zburzony

FOT. INTERFLUG-LUFTBILDARCHIV/BPK



eprasa.pl 8d07af6ce2

dogmatycznie rządził z ołówkiem w ręku i na wszystkim oszczędzał. Honecker, mający dość tego starczego sknerstwa, postanowił naznaczyć symbolizowaną przez siebie nową epokę czymś imponującym. Akurat w centrum wschodniego Berlina był duży wolny plac po wyburzonym tuż po wojnie przez Ulbrichta królewskim pałacu Hohenzollernów.

Władze NRD ogłosiły program budowy reprezentacyjnego gmachu „nowych Niemiec" zadaniem dla całego narodu. To dlatego nową inwestycję zwykli NRD-owcy nazywali „Ballast der Republik" – obciążenie republiki. Ten wykwit honeckerowskiej megalomanii pożerał spore sumy. Pałac musiał mieć wszystko, co najlepsze. Sporą część mebli do jego wnętrz zamawiano nie tylko w krajowych zakładach, lecz także w zaprzyjaźnionej wtedy z NRD Szwecji. Marmury na pałacowe posadzki kupowano za tzw. cenne dewizy we Włoszech. Ale nadzorcy budowy pałacu nie byli jakimiś zapóźnionymi miłośnikami socrealizmu. Pałac powstał według projektu grupy zdolnych architektów pod wodzą Heinza Graffundera. Zaprojektowali dość nowoczesną bryłę obiektu, krytą modnym wówczas szkłem solarnym. Pałac Republiki porównywano do sztokholmskiego Kulturhuset – innej ówczesnej nowinki europejskiej architektury.

Budynek, jak na priorytetową inwestycję przystało, zbudowano w ekspresowym tempie – zajęło to 32 miesiące. Budowę zaczęto w 1973 r., a 23 kwietnia 1976 r. Erich Honecker osobiście otworzył podwoje pałacu. Nazwał gmach „Pałacem zwycięzców historii – klasy robotniczej".

Monopartia SED wreszcie znalazła odpowiednio godne miejsce na swoje zjazdy. Tu odbywały się posiedzenia Volkskammer – Izby Ludowej NRD. Państwo Honeckera było wtedy u szczytu swoich ambicji bycia czołowym organizatorem najróżniejszym kongresów solidarności z narodami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Palast der Republik miał swoim przepychem udowadniać gościom z Trzeciego Świata, że wschodni Niemcy nie są gorsi czy biedniejsi od swoich zachodnich, kapitalistycznych sąsiadów.

Ściany foyer przylegające do sali posiedzeń wypełniono obrazami i płaskorzeźbami o tematyce rewolucyjnej. Ale znów ekipa Honeckera wykazała się pragmatyzmem. Prośbą lub groźbą do dekorowania ścian zaprzęgnięto najlepszych artystów. Zapłacono nawet ideologiczną cenę. Pozwolono, by część dzieł była na tyle abstrakcyjna, by zadowolić ego plastyków. Starsi komuniści, którzy przybywali na zjazdy i kongresy w Pałacu Republiki, byli nieco zakłopotani, bo nie bardzo wiązali modernistyczne bohomazy z efektownymi tytułami typu „Czerwony sztandar" lub „Budowa jutra".

„Szklany kwiat" – dzieło dwóch plastyków: Reginalda Richtera i Richarda Wilhelma. U sufitu setki lamp – z tego powodu złośliwi berlińczycy nazywali pałac sklepem z lampami Erysia (Honeckera) FOT. GERHARD KIESLING/BPK

Ważniejsze jednak było przekupienie malarzy sowitymi honorariami za liczne obrazy i rzeźby.

**Honecker trafnie wyczuł, że NRD-owcom, którym nie pozwalano wyjeżdżać na Zachód, potrzeba trochę zagranicznego blichtru**

Było więc światowo i nowocześnie. Błądzących po nowym gmachu gości oprowadzały specjalne hostessy w pomarańczowych mundurach. Ruchome schody lśniły kosztowną nierdzewną blachą. Elektroniczne wskaźniki informowały, czy pałacowe lokale gastronomiczne mają jeszcze wolne miejsca. Wielkie foyer pałacu oświetlało ponad tysiąc abażurów na suficie. Ten element wystroju wnętrza zainspirował kpiarskich berlińczyków do stworzenia nowej obiegowej nazwy dla gmachu – „Erichs Lampenladen", czyli sklep z lampami Erysia (Honeckera).

Honecker trafnie wyczuł, że NRD-owcom, którym nie pozwalano wyjeżdżać na Zachód, potrzeba trochę zagranicznego blichtru. Przypominał on pod tym względem naszego Edwarda Gierka, który także chciał zafundować Polakom takie elementy dobrego samopoczucia jak małe fiaty czy wyposażony



eprasa.pl 8d07af6ce2

Demonstrancja opozycji antysystemowej przed Pałacem Republiki, 4 listopada 1989 r.

FOT. KLAUS MEHNER/BPK

w zachodnie akcenty Dworzec Centralny w Warszawie.

Pałac stał się niezwykle popularny, bo oprócz wielkiej sali posiedzeń, która służyła NRD-owskiemu quasi-parlamentowi, tzw. Izbie Ludowej, cała reszta była cały tydzień dostępna dla zwykłej publiczności. Na tle wcześniejszych oficjalnych gmachów strzeżonych przez ponurych strażników i jeszcze bardziej ponurych tajniaków pałac kusił 13 lokalami gastronomiczno-rozrywkowymi. Były tu i winiarnia, i piwny szynk, i trzy ogromne restauracje, i bar espresso, i spora podziemna dyskoteka Jugendtreffen, i wreszcie prawdziwy dotyk Zachodu: wielka kręgielnia.

Dlatego do pałacu walili jak w dym zwykli berlińczycy. Nowe cudo przyjeżdżały oglądać pielgrzymki z NRD-owskiej prowincji. Notable z Erfurtu w Turyngii czy meklemburskiego Rostocku pakowali swe rodziny do wartburgów i przyjeżdżali obejrzeć pałac, aby skosztować zachodnich trunków oraz wszystkiego najlepszego, co oferowały bratnie kraje socjalistyczne.

Na wystawie poświęconej Pałacowi Republiki zgromadzono wszystkie rzeczy uratowane w czasie rozbiórki gmachu. Najważniejszy eksponat to „Szklany kwiat" – dzieło dwóch plastyków: Reginalda Richtera i Richarda Wilhelma. Są również meble, starannie zaprojektowane na potrzeby pałacu. Autorzy wystawy dotarli też do resztek po ogromnym studiu telewizyjnej inwigilacji Stasi. Cały skomplikowany system setek kamer uważnie obserwował każdy kąt pałacu, zachowanie każdego gościa. Jeden z monitorów, na których bezpieczniacy śledzili podglądy z kamer, obejrzeć można na wystawie. Bardzo pouczające są wideorelacje byłych pracowników gmachu, opowiadające, z czym kojarzył się im złocisty budynek. Jedni wspominają najlepszą soliankę w całej NRD, rosyjsko-ukraińską zupę, którą wcielono do wschodnioniemieckiej kuchni jako dowód przyjaźni z „wielkim bratem". Inni tęsknią za dyskotekami z lat 80., na których puszczano zachodnie hity trudne do usłyszenia w innych miejscach. Jeszcze inni ze łzami w oczach wspominali występ gwiazdora z RFN Udo Lindenberga, który dał koncert w pałacu i na dodatek jeszcze okpił NRD-owskich nadzorców, śpiewając zakazany protest song „Sonderzug nach Pankow".

**Po upadku NRD rozpoczęła się wielka debata, co zrobić z niepotrzebnym już gmaszyskiem. Przypominała ona nieco polską debatę, czy zetrzeć z powierzchni ziemi warszawski Pałac Kultury**

## KONIEC RAJU

Przez kolejne lata agenci Stasi tak bardzo uważnie wpatrywali się w pracę kamer wewnątrz pałacu, że któregoś dnia w październiku 1989 r. z zaskoczeniem zobaczyli za oknami dziesiątki tysięcy demonstrantów, którzy pod siedzibą Izby Ludowej NRD żądali demokratycznych swobód. Przez kolejne tygodnie jesieni 1989 r. i pierwszej połowy 1990 r. pałac oblepiony był transparentami opozycji. W Volkskammer pojawili się brodacze i rewolucjonistki z opozycji. Ale ten krótki okres jego rewolucyjnej sławy był też początkiem końca chwały pałacu. Przestała istnieć Izba Ludowa NRD, bo jej obowiązki przejął Bundestag, a na tle wybuchu gospodarki komercyjnej pseudozachodnie wdzięki pałacu nagle zbladły i spowszedniały.

Rozpoczęła się wielka debata, co zrobić z niepotrzebnym już gmaszyskiem. Przypominała ona nieco polską debatę, czy zetrzeć z powierzchni ziemi warszawski Pałac Kultury. Zwolennicy likwidacji pałacu wykorzystali to, że budynek wypchano szkodliwym dla zdrowia azbestem, którego ilości łamały nawet liberalne NRD-owskie normy. Postkomuniści i Zieloni walczyli, jak potrafili, o zachowanie gmachu. Lider postkomunistów Gregor Gysi próbował nawet okupować budynek na jego dachu, ale długo nie wytrzymał zimna.

## KTO TU JEST LEGALNIE?

Niemcy uwielbiają symbolicznie egzorcyzmować miejsca, które im się źle kojarzą historycznie. Po rozebraniu Pałacu Republiki na jego miejscu zaczęto na mocy uchwały Bundestagu odbudowę zamku królewskiego władców Prus. Jego barbarzyńskie wysadzenie w powietrze w 1950 r. zawsze bolało konserwatystów berlińskich. Z pałacu ocalał jedynie jeden portal, który uczczono wbudowaniem w gmach Rady Ministrów NRD tylko dlatego, że właśnie z balkonu w tym portalu 9 listopada 1918 r. komunista Karl Liebknecht proklamował powstanie Niemieckiej Republiki Rad.



eprasa.pl 8d07af6ce2

W 2013 r. rozpoczęto odbudowę zamku. Ale od początku na skutek obaw przed oskarżeniami o wskrzeszenie pruskich demonów podkreślano wyrazisty dystans wobec przeszłości. Uzgodniono, że nowy gmach będzie nazwany Forum Humboldtów i będzie mieścił muzea skupiające się na pozaeuropejskich kulturach, a w szczególności na kulturach krajów, które podlegały kolonialnej władzy kajzerowskich Niemiec. W kwestii kształtu odbudowanego zamku wybrano dość nieszczęśliwy kompromis. Trzy czwarte fasady miały być repliką zniszczonego pałacu, a jedna czwarta miała być bardzo nowoczesna. Także wnętrza planowano jako wyłącznie nowoczesne. Odrzucono postulaty konserwatystów, którzy jako wzór odbudowy przedstawiali Zamek Królewski w Warszawie. I – co ciekawe – niemal natychmiast po powstaniu repliki dawnego zamku zaczęła odżywać nostalgia wobec zburzonego Pałacu Republiki.

13 czerwca 2024 r. grupa ok. 50 intelektualistów lewicowych i artystów ogłosiła list wzywający wręcz do zburzenia repliki zamku. Oświadczenie mówiło:

**Niemcy uwielbiają symbolicznie egzorcyzmować miejsca, które im się źle kojarzą historycznie**

„Forum Humboldta wybudowane w latach 2013–2020 tkwi w skorupie zamku monarchii pruskiej i Cesarstwa Niemieckiego. Ta wyidealizowana pamięć maskuje i przyćmiewa złożoną historię miejsca w wiekach XIX i XX – imperializm, ucisk mniejszości, rewolucję, okres Weimaru, nazizmu, drugiej wojny światowej i podziału Niemiec. Do historii tego miejsca należy też rola środowisk radykalnej prawicy w akcji na rzecz wiernej oryginałowi rekonstrukcji zamku. Projekt odbudowy wykroczył poza uchwałę Bundestagu z 2002 r. i objął działania z dziedziny chrześcijańskiego fundamentalizmu, czego znakiem były napisy na kopule". Ten ostatni zarzut to krytyka odtworzenia cytatów z Nowego Testamentu, które przed wojną otaczały kopułę znajdującą się nad kaplicą królewską.

Oczywiście radykalne żądanie wyburzenia repliki zamku nie jest traktowane serio przez żadną poważną siłę polityczną. Ale jest to bardzo dobra ilustracja niemieckiej schizofrenii, w której najpierw po wojnie komuniści wysadzają zabytkowy barokowy pałac, potem budują na jego miejscu Pałac Republiki, który z kolei po kompromitacji NRD zostaje rozmontowany. A gdy już dawny pałac zostanie odbudowany, to rozkwita nostalgia za dawnym komunistycznym molochem. I tak jak byli dysydenci niepokoją się postenerdowską nostalgią jako zarodkiem idealizacji epoki Honeckera, tak jednocześnie lewicowcy nie mogą znieść zamku jako zarodnika pruskiego militaryzmu i nacjonalizmu. Swoisty chocholi taniec dookoła niemieckiej historii trwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Wystawa „Wysadzony w powietrze. Pałac Republiki" w berlińskim Forum Humboldtów potrwa do 16 lutego. Szczegóły na www.humboldtforum.org.***

REKLAMA

WNUCZKA FABERGÉ

Bestsellerowa,
pełna tajemnic i namiętności
powieść historyczna
o upadku carskiej Rosji

Nowa książka autorki
„CZARTORYSKIEJ"!

JUŻ W KSIĘGARNIACH!

Replika
www.replika.eu

ODWIEDŹ NAS NA

Tel. 515 339 679



eprasa.pl 8d07af6ce2

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

# Zachował się jak trzeba

W natłoku sztucznie kreowanych bohaterów powstania warszawskiego w ramach postsanacyjnej polityki historycznej uchodzą naszej uwadze ci, którzy na takie miano zasłużyli szczególnie. Należy do nich ppłk Antoni Żurowski „Andrzej", „Bober", komendant Obwodu VI AK Warszawa Praga. Wywodził się z I Korpusu Polskiego gen. J. Dowbor-Muśnickiego, skąd trafił do odradzającego się Wojska Polskiego.

W listopadzie 1918 r. aktywnie uczestniczył w odzyskiwaniu niepodległości przez Polskę, rozbrajając Niemców i Austriaków w Radomiu. Brał udział w obronie polskiego Lwowa przed Ukraińcami, następnie w wojnie polsko-bolszewickiej. Podczas obrony Warszawy w sierpniu 1920 r. został ranny. Po wojnie pozostał w wojsku, w służbie zawodowej. We wrześniu 1939 r. służył w Korpusie Ochrony Pogranicza, walcząc z Armią Czerwoną. Epopeję wojenną zakończył dopiero w ostatnich walkach pod Kockiem, w Samodzielnej Grupie Operacyjnej „Polesie".

Po kapitulacji nie poszedł do niewoli i natychmiast podjął służbę w konspiracji, cały czas w Obwodzie Praga. Tam przygotowywał swych podkomendnych do powstania. Na skutek przygniatającej przewagi Niemców (był to teren przyfrontowy), nie chcąc gubić swych żołnierzy i przede wszystkim ludności cywilnej, 6 sierpnia 1944 r. nakazał zaprzestanie walk i ponowne przejście do konspiracji. Należy pamiętać, że Praga na ogół nie miała zwartej zabudowy, wiele budynków było drewnianych, nawet barykad nie było gdzie i jak stawiać. Na tym polegała rozwaga dowódcy, którego nie nęciło hasło: „Poszli nasi w bój bez broni".

Po wejściu Sowietów na Pragę próbował unormować sytuację i nawiązał kontakty z „ludowym" Wojskiem Polskim. Szybko jednak doszło do aresztowań żołnierzy AK i ich prześladowań. Podpułkownik Żurowski wraz z podkomendnymi wrócił do konspiracji. Jednak już w listopadzie 1944 r. został aresztowany przez NKWD. Propozycję współpracy z komunistami kategorycznie odrzucił. Szybko doszło do „rozprawy sądowej", otrzymał dwie kary śmierci ostatecznie zamienione na 10 lat więzienia. Miał dodatkowe szczęście – podczas transportu do więzień sowieckich w lipcu 1945 r. został odbity przez żołnierzy poakowskiego podziemia (ze zgrupowania mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika"), udał się do Warszawy i skorzystał z tzw. amnestii. Wiedział jednak, co go czeka, więc natychmiast zaczął się ukrywać. Trwało to aż 13 lat.

W polityce historycznej po 1989 r. więcej miejsca było dla „bohaterów" bardzo wątpliwych niż dla niezłomnych jego pokroju. Tym bardziej musimy doceniać i pamiętać takie postaci jak ppłk Żurowski. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Wieniawa i Adria

W międzywojennej Warszawie nie brakowało eleganckich lokali z wyszynkiem, ale za najlepszy z nich uchodziła Adria przy ulicy Moniuszki 10 (inauguracja działalności: 7 lutego 1931 r.). W podziemiach zlokalizowano salę dansingową na 1,5 tys. osób z obrotowym parkietem i dwoma barami. Popołudniami i w nocy do tańca grała Orkiestra Golda i Petersburskiego, a zamożnych klientów nigdy nie brakowało. Stałym bywalcem lokalu był Bolesław Wieniawa-Długoszowski, często restaurację (przynamniej do czasu) odwiedzał Józef Beck. Kiedy w lutym 1939 r. do Polski przyjechał z oficjalną wizytą minister spraw zagranicznych Włoch, hrabia Ciano, Długoszowski (wówczas ambasador w Rzymie) zajął się stroną towarzyską pobytu. Jako przewodnik towarzyszył gościom w zwiedzaniu Warszawy, dbał, aby wieczorami Włosi się nudzili. Wziął nawet udział w polowaniu w Puszczy Białowieskiej, czego zresztą nie znosił. Nie mógł oczywiście nie zaprosić Włochów na dansing do Adrii, gdzie ku zdumieniu obsługi bawił się doskonale bez pomocy alkoholu.

Wieniawa zawsze był czuły na punkcie honoru kobiety. Pewnego wieczoru na dancingu w Adrii był świadkiem brutalnego zajścia – jeden z gości siłą przyciągnął do swojego stolika miejscową tancerkę. Kelnerzy nie reagowali na wydarzenia (klient miał do zapłacenia wysoki rachunek), nie chcąc stracić okazji do zarobku. Przed napastnikiem pojawił się Wieniawa i bez słowa uderzył awanturnika. Kiedy ten upadł na podłogę, Bolesław stojąc na baczność przed ofiarą napaści, powiedział po rycersku: „Piękna pani, przejście wolne". Goście nagrodzili ułana owacją, a historia stała się głośna w całej Warszawie.

Inna sprawa, że gdyby chociaż połowa anegdot o Długoszowskim była prawdziwa, to ten człowiek ze zmęczenia nie utrzymałby się w siodle. Nie zdarzyło się również, że Wieniawa wjechał konno do Adrii. Zapewne gdyby była taka możliwość, to uczyniłby to bez wahania, ale wejście do lokalu było tak wąskie i niskie, że nie zmieściłby się tam nawet Pigmej na kucyku. Wieniawa nie był również autorem przypisywanego mu zdania wypowiedzianego rzekomo w drzwiach Adrii po suto zakrapianym bankiecie: „Panowie, żarty się skończyły, zaczynają się schody". Autorem tej wypowiedzi był aktor Józef Węgrzyn i dotyczyła ona zupełnie innego miejsca (aczkolwiek okoliczności się zgadzały). Ale nie ma dymu bez ognia, tryb życia Długoszowskiego upoważniał do powstawania najrozmaitszych opowieści na jego temat. Wiadomo bowiem, że przez większość życia był wielbicielem trzech K: koniaku, koni i kobiet. W tej właśnie kolejności. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

FOT. ADOBE STOCK

## TWARZ TO NIE STOPY

Brytyjska tiktokerka Natalia Armstrong spędziła 20 minut w solarium. To wystarczyło, żeby jej twarz uległa poparzeniu. Mało tego, kobieta omal nie straciła palca. Cała przygoda skończyła się w szpitalu. Jak się okazuje, ktoś tiktokerce poradził, żeby podczas seansu w solarium położyła głowę w miejscu, gdzie opalane są stopy. A tam promieniowanie UV jest silniejsze niż w miejscu przeznaczonym na opalanie twarzy.

## „INKLUZYWNE" WC

W jednej ze szkół publicznych w Denver damska toaleta została przekształcona w toaletę „dla wszystkich płci". W rezultacie uczennice w tej szkole nie miały przez jakiś czas swojej toalety. Departament Edukacji w amerykańskim rządzie federalnym uznał, że postawienie ich w takiej sytuacji było dla nich dyskryminujące. Organ prowadzący szkołę jednak odpowiedział, że chodziło o „inkluzywne" potraktowanie uczniów, którzy czują się niekomfortowo w obiektach dla określonej płci.

## KARA ZA DOCIEKLIWOŚĆ

W Anglii 18-letnia piłkarka otrzymała zakaz gry w sześciu meczach za to, że pytała sędziów, czy wśród osób grających w drużynie przeciwnej są mężczyźni. Media podają, że zawodniczka ma trudności w uczeniu się i dolega jej ADHD. Oprócz odsunięcia od gry będzie ona musiała odbyć odpowiedni „kurs edukacyjny on-line". Klub zaś, w którym występuje, otrzymał siedem punktów dyscyplinarnych.

## SŁONIE NIE SĄ LUDŹMI

Nonhuman Rights Project – organizacja zajmująca się prawami zwierząt – podjął inicjatywę uwolnienia pięciu słoni z ogrodu zoologicznego w Colorado Springs. Padł argument, że w zoo zostały one de facto uwięzione, więc należy je przetransportować tam, gdzie będą wolne, czyli... do specjalnego słoniowego sanktuarium. Sąd Najwyższy stanu Kolorado jednak nie przychylił się do tej opinii, orzekając, że słonie to nie ludzie.

## FAŁSZYWY ALARM

Singapurska influencerka z branży kosmetycznej, Amyra Laila Ho, obwieściła w Internecie, że w malezyjskim mieście Johor Bahru pewna para podjęła próbę porwania jej, zmuszając ją do wąchania fusów herbaty, co spowodowało, iż kobieta zasłabła. Policja malezyjska wszczęła śledztwo. Wydarzenie okazało się jednak nieprawdą, a influencerka za fałszywy alarm została przez malezyjski sąd skazana na karę blisko 300 dol. grzywny. ©℗

***Filip Memches***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

# Nowy rekord hipokryzji

Europejskim przedsiębiorcom coraz trudniej konkurować na globalnym rynku. Jednym z tego powodów są potwornie wysokie ceny energii wynikające z unijnych regulacji.

– Jak wy chcecie konkurować z gospodarką amerykańską czy chińską, jeśli będziemy mieli trzykrotnie droższą energię? – pytał retorycznie w Parlamencie Europejskim premier Donald Tusk, podkreślając, że Europa nie może się stać „kontynentem ludzi naiwnych", i słusznie przestrzegając przed wprowadzeniem systemu ETS2. Kłopot w tym, że Europa od dawna jest „kontynentem ludzi naiwnych". Kolejne regulacje z zakresu polityki klimatycznej (czy jak to mówi Trump „zielonego oszustwa") już mocno osłabiły nasz przemysł. W ciągu najbliższych lat mogą też wykończyć transport, budownictwo, a także sprawić, że wielu Polaków nie będzie stać na ogrzanie domów i mieszkań. Nie bez powodu nawet posiadacze ekologicznych kominków mają mieć zakaz ich używania. Właściciele coraz większej liczby samochodów nie mogą zaś wjeżdżać do centrów kolejnych polskich miast.

W szybkim tempie rosną i będą rosnąć nie tylko ceny energii, lecz także ceny w sklepach, bo przedsiębiorcy koszty przerzucą na konsumentów albo zaczną masowo redukować zatrudnienie, albo zbankrutują. Wszystko to w imię „dbałości o środowisko naturalne".

Walka z „kryzysem klimatycznym" była też tematem dyskusji przywódców w Davos. Jednocześnie pobili oni rekord i masowo przybyli na konferencję na pokładach prywatnych odrzutowców (wzrost o 15 proc. w porównaniu z 2024 r.). I to mimo że uczestnicy Światowego Forum Ekonomicznego mogli bezpłatnie podróżować pociągiem... ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Irańska nuklearna niewiadoma

Robert Bogdański

**Oficjele irańscy twierdzą, że obowiązuje ich fatwa ajatollaha Alego Chamenei. Ogłosił on, że w świetle nauki islamu broń jądrowa jest zła. Trzeba jednak pamiętać, że w islamie ważniejsze są intencje niż czyny. Muzułmanin, będąc zagrożony, może nawet wyrzec się wiary lub dokonywać czynów zabronionych, a nie będzie mu to poczytane za złe**

Obchody 44. rocznicy wybuchu wojny Iranu z Irakiem. Na sztandarze wizerunek Alego Chamenei, Teheran, 25 września 2024 r. FOT. FATEMEH BAHRAMI/ANADOLU/GETTY IMAGES

A tak na irańskie instalacje nuklearne może się właściwie wydarzyć w każdej chwili i nie będzie stanowił żadnego poważnego odstępstwa od praktyki, do której przyzwyczailiśmy się w świecie ostatnio.

Skoro tak, to dlaczego właściwie to się jeszcze nie stało? Od październikowego ataku Izraela, podczas którego zlikwidowana została większość nowoczesnych systemów przeciwlotniczych, i po poważnym osłabieniu stacjonującego w Libanie i Syrii Hezbollahu, którego mnogość rakiet stanowiła do tej pory realne niebezpieczeństwo odwetu na Izraelu, otworzyło się coś, co zachodni eksperci nazywają wdzięcznie „oknem możliwości". Izrael może zaatakować bez obawy o poważniejsze straty, a także minimalizując niebezpieczeństwo strat cywilnych w wyniku ewentualnego rakietowego odwetu z północy. Można także spodziewać się większego zrozumienia ze strony Amerykanów pod przywództwem nowego prezydenta (choć nie oznacza to, rzecz jasna, natychmiastowego wsparcia, bo Donald Trump będzie jednak najpierw wolał spróbować rozwiązań dyplomatycznych).

## FATWA AJATOLLAHA

Wolno sądzić, że przyczyny, dla których Beniamin Netanjahu zwleka z atakiem, są dwojakiej natury. Po pierwsze, chodzi o to, aby taki atak dobrze wytłumaczyć światu. Sam Izrael zapewne dba o to o wiele mniej, ale jego niezbędny sojusznik jest na to wrażliwy. Zwłaszcza że Trump pootwierał wiele frontów już w pierwszych dniach swojej prezydentury i będzie chciał zadbać o to, żeby po pierwsze kontrolować ich liczbę oraz po drugie – aby odnosić sukcesy. Amerykanie już raz skompromitowali się, gdy udowadniali światu, że Saddam Husajn prawie wyprodukował broń nuklearną i trzeba w związku z tym dokonać inwazji na Irak, a potem okazało się, że twardych dowodów na to nie znaleziono. Nie chcą więc powtórki takiej sytuacji. Tym razem potrzeba dowodów niepodważalnych.

Tymczasem jest tak, że co prawda każdy, kto chce patrzeć, widzi, że od dłuższego czasu Iran zmierza do wyprodukowania broni jądrowej i pozyskania odpowiednich do jej przenoszenia rakiet, jednakże irańscy oficjele twierdzą stanowczo, że obowiązuje ich fatwa najwyższego przywódcy ajatollaha Alego Chamenei, który w roku 2003 ogłosił, że w świetle nauki islamu broń jądrowa jest „haram", czyli zła. Tak więc jako dobrzy muzułmanie nie mogą łamać religijnego zakazu. Od czasu ogłoszenia fatwy Chamenei wielokrotnie ponawiał ją, a przedstawiciele Iranu regularnie się na nią powoływali, gdy byli pytani o zamiary swojego kraju związane ze wzbogacaniem uranu. Był to koronny dowód na pokojowe zamiary Iranu, m.in. w czasie negocjowania porozumienia JCPOA z roku 2015.

Z jednej więc strony mamy informacje, że Iran posiada ponad 220 kg uranu wzbogaconego do 60 proc. (gdy porozumienie JCPOA limitowało wzbogacenie do zaledwie 3,67 proc.) i jest w stanie wzbogacić go w ciągu tygodnia lub dwóch do wartości pozwalającej na wyprodukowanie kilku ładunków, a z drugiej – stanowcze zaprzeczenia, że przecież „religia nam nie pozwala". W dodatku Iran utrudnia, jak umie, wszelkie kontrole i istnieją uzasadnione podejrzenia, że uran wzbogacany jest i przechowywany w większej liczbie miejsc niż oficjalnie zgłoszone, więc może być go zdecydowanie więcej. Wszystko to są jednak przypuszczenia, a dla uzasadnienia ataku na suwerenny kraj, wobec świata, który generalnie jest nastawiony negatywnie do Izraela i USA, potrzeba pewności. Fatwa ajatollaha Chamenei jest



eprasa.pl 8d07af6ce2

nadspodziewanie skutecznym środkiem, aby tę pewność podważać.

W dodatku irańscy oficjele, znakomicie zdając sobie sprawę z wagi dyplomacji, ostatnio zaczęli suflować opinii publicznej informację, że gdyby nastąpił atak na ich instalacje nuklearne, wówczas dopiero byliby zmuszeni do zrewidowania swojej polityki i być może zdecydowaliby się jednak na wyprodukowanie broni jądrowej. Postawili tym samym kolejną przeszkodę, bo gdyby Izrael zaatakował, a Iran mimo wszystko wyprodukował bombę, wówczas w oczach Globalnego Południa, a zwłaszcza jego islamskich krajów, odium za ten czyn spadałoby oczywiście na Jerozolimę. Doprawdy nie byłoby trudno dołączyć ten czyn do listy wielu grzechów, którymi obarczany jest Izrael.

Co wówczas z fatwą? Trzeba pamiętać, że w islamie ważniejsze są intencje niż czyny. Takie pojęcia jak „ketman" (wykorzystane przez Czesława Miłosza w „Zniewolonym umyśle") czy „takija" odnoszą się do sytuacji, w których muzułmanin, będąc zagrożony, może nawet wyrzec się wiary lub dokonywać czynów zabronionych, a nie będzie mu to poczytane za złe. Koran i komentarze do niego potrafią bardzo precyzyjnie oddzielić intencje, które muzułmanin skrywa w sercu, od czynów, które mogą służyć jedynie zwiedzeniu zagrażających mu niewiernych.

Fatwa może więc ukrywać prawdziwe zamiary, a ponieważ celem islamskiego prawa jest służenie interesom muzułmanów, nie jest wykluczone, że tak właśnie jest traktowane orzeczenie w sprawie broni jądrowej. Być może jest też tak, jak piszą niektórzy komentatorzy, że wejście w posiadanie broni jądrowej może być postrzegane przez reżim w Teheranie jako najlepsza, a może i jedyna obecnie droga do zachowania swojej władzy. Ideologizacja życia, inflacja i bezrobocie, przy jednoczesnym inwestowaniu w zbrojenia, nie są popularne i powodują protesty społeczne, które są brutalnie tłumione. Reżim może się obawiać, że w połączeniu z osłabieniem kraju w regionie każe to zadać wielu ludziom pytanie, po co właściwie to wszystko, skoro nie ma z tego żadnych korzyści, nawet wynikających z ekspansji międzynarodowej. A takie pytania bywają zgubne dla autorytarnych władz. Pozyskanie broni ostatecznej może wydawać się na nie dobrą odpowiedzią. Być może dlatego pojawiły się ostatnio dane, że większość Irańczyków chce uzyskania statusu państwa nuklearnego. W roku 2024 w badaniu IranPoll opowiedziało się za tym aż 70 proc. pytanych. I jedno z dwojga: albo dane są prawdziwe, albo władze polityczne chcą, aby tak właśnie było, i pokazują dane fałszywe. W każdym przypadku oznacza to przygotowanie do zmiany.

Może się więc okazać, że gdy Iran będzie już miał gotową do użycia broń jądrową i środki jej przenoszenia, wówczas fatwa zostanie odwołana. I Zachód zostanie oszukany, podobnie jak to było w przypadku Korei Północnej, która w 1993 r. nie wpuściła inspektorów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej i zagroziła wycofaniem się z układu o nieproliferacji, administracja Billa Clintona zaś, aby ją skłonić do pozostania, przekazała jej pół miliona ton ropy i obiecała zbudować dwie elektrownie jądrowe. Oczywiście prace nad bombą trwały i Kim Dzong Il wycofał się z układu o nieproliferacji w roku 2003, a trzy lata później przeprowadził pierwszą próbną eksplozję. Obecnie ocenia się, że północni Koreańczycy posiadają ok. 50 głowic, a ich rakiety są w stanie osiągnąć terytorium Stanów Zjednoczonych.

## ATAK MUSI BYĆ SKUTECZNY

Jest więcej niż prawdopodobne, że Iran podąża taką właśnie ścieżką, tylko zwyczajnie nie jest jeszcze gotowy na próbną eksplozję, a poza tym ma obok siebie państwo, które bardzo aktywnie mu w tym przeszkadza, czyli Izrael. W roku 2020 zginął w zamachu fizyk jądrowy, który był prawdopodobnie szefem irańskiego programu jądrowego, dr Mohsen Fakhrizadeh, rok później do sabotażu wirówek doszło w zakładzie w Natanz, a dekadę wcześniej zakłady zaatakował słynny trojan Stuxnet. Izrael, który oczywiście nie przyznał się do żadnego z tych działań, jest też w każdej chwili gotów przeprowadzić atak zbrojny pod swoją flagą. Komentatorzy w tym kraju nie ukrywają, że kwestia „czy" jest drugorzędna, a prawdziwym problemem są „kiedy" i „jak".

I tu pojawia się poważny problem, bo wspomniane na początku „okno możliwości" to nie wszystko. Chodzi o to, aby atak był skuteczny. Tu współdziałanie USA jest niezbędne. Oczywiście wszystkie znane zakłady zajmujące się produkcją nuklearną w Iranie nie znajdują się na powierzchni, tylko pod ziemią. I to dość głęboko pod ziemią, a w dodatku nie jest to miękka ziemia, a skaliste góry. W Natanz budowane są obecnie nowe tunele na głębokości nawet 90 m. Nie da się ich sięgnąć żadną z posiadanych przez Izrael bomb przeznaczonych do burzenia schronów, nawet gdyby zastosować taktykę zrzucania dwóch bomb zaraz po sobie, z których pierwsza ma za zadanie wyrzucić materiał skalny, a dopiero druga ma szansę zniszczyć podziemne instalacje. Zbliżyć się do nich jest w stanie jedynie amerykańska superbomba kierowana o symbolu GBU-57A/B. Tylko że ta bomba waży prawie 15 ton i może być przenoszona jedynie przez bombowce strategiczne, a takich Izrael nie posiada. W izraelskiej prasie pojawiły się nawet rozważania, czy by nie dało się jakoś przebudować posiadanych samolotów F-15, ale to świadczy raczej o desperacji, a nie o realistycznym podejściu. Bez Białego Domu niczego się nie da zrobić. Po pierwsze, musi udostępnić tę superbombę, a po drugie, musi udostępnić bombowiec. I nawet wówczas nie będzie gwarancji, że zniszczenie instalacji nuklearnych nastąpi.

Jest też oczywiście opcja, o której nikt nie mówi, i dlatego warto o niej wspomnieć: użyć pocisku jądrowego, który wbije się na dużą głębokość i zniszczy wszystko w dużym promieniu. Opad radioaktywny będzie stosunkowo nieduży, a ponieważ zakłady położone są na uboczu, zagrożenie ludności cywilnej będzie ograniczone, co nie znaczy oczywiście, że żadne. Tylko czy złamanie tabu nuklearnego po to, aby uniemożliwić innemu krajowi wyprodukowanie broni, której się samemu użyło, nie byłoby w istocie sprzeniewierzeniem się powszechnie uznawanym zasadom? Byłoby.

Izrael i USA stoją wobec czegoś, co kiedyś Frederick Forsyth określił w swojej powieści mianem „diabelskiej alternatywy". Iran konsekwentnie zmierza ku zbudowaniu bomby. Gdy ją będzie miał, zagrozi Izraelowi atakiem nuklearnym, a wtedy niedokładność jego rakiet nie będzie miała znaczenia. Powstrzymanie go przed tym przy pomocy dyplomacji jest iluzoryczne. Czy trzeba będzie sięgnąć po broń ostateczną, aby mu to uniemożliwić? Pozostaje mieć nadzieję, że społeczeństwo Iranu pozbędzie się wcześniej reżimu ajatollahów. To jednak jest kolejną wielką niewiadomą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Dlaczego Białorusini nie chcą Cichanouskiej

Maciej Pieczyński

**Donald Trump jako pragmatyk może uznać, że tak skutecznego dyktatora jak prezydent Białorusi należy traktować poważniej niż bezzębną emigracyjną opozycję. Może też skłonić europejskich partnerów do podobnego podejścia**

FOT. PRESIDENT.GOV.BY

Alaksandr Łukaszenka trzyma się mocno nie tylko dzięki represjom politycznym, fałszerstwom wyborczym i pomocy Władimira Putina. Wielu Białorusinów popiera dyktatora ze strachu, ale nie przed nim, tylko przed wojną. Istotną rolę odgrywa też słabość opozycji.

To były chyba najnudniejsze wybory w historii Białorusi. Jeszcze przed wyznaczeniem ich dokładnego terminu dla wszystkich było oczywiste, że Łukaszenka nie tylko odniesie miażdżące zwycięstwo, lecz także nie spotka się z choćby minimalnym sprzeciwem społeczeństwa. Co prawda, teoretycznie o prezydenturę, poza urzędującą głową państwa, ubiegało się jeszcze czworo kandydatów. Nie tylko jednak nie mieli szans nawiązać walki o urząd, lecz także nie było to nawet ich celem. Byli jedynie tłem dla „Baćki", potrzebnym, aby nadać głosowaniu pozory demokratycznej rywalizacji.

Celem Łukaszenki było wygrać najwyżej, a także jak najszybciej. Wybory musiały się odbyć nie później niż 20 lipca, tymczasem zostały przeprowadzone 26 stycznia. Tym samym dyktator skrócił swoją kadencję o pół roku. Po co? Po pierwsze, zimą protesty są jeszcze mniej prawdopodobne niż wiosną czy latem. Po drugie, Łukaszence zależało na tym, aby wzmocnić swoją legitymację w oczach świata przed nadciągającymi zmianami na arenie międzynarodowej, w których chciałby czynnie uczestniczyć. Jego ambicją jest, jak dawniej, pełnić rolę mediatora w rosyjsko-ukraińskim procesie pokojowym. Wiadomo, że proces ten będzie inicjował Donald Trump. Łukaszenka chciał więc zdążyć z wyborczym zwycięstwem na sam początek jego kadencji. Trump jako pragmatyk może uznać, że tak skutecznego dyktatora należy traktować poważniej niż bezzębną emigracyjną opozycję. Może też skłonić europejskich partnerów do podobnego podejścia. „Pretekst" jest – w końcu tym razem Białorusini nie wyszli na ulicę, nie zostali spałowani, teoretycznie mieli wybór między Łukaszenką a jego rywalami. Więc w czym problem?

Łukaszenka „wygrał" wybory po raz siódmy z rzędu. W chwili, gdy piszę te słowa, nie ma jeszcze oficjalnych wyników, wiadomo jednak, że rekord z 2015 r. (83,47 proc.) został pobity. Pierwsze niepełne dane Centralnej Komisji Wyborczej dawały zwycięzcy 86,82 proc. głosów. Kilka godzin później podano kolejny wstępny wynik – tym razem 87,6 proc. To tylko z pozoru niewielka różnica. Niecały rok temu Władimir Putin wygrał wybory prezydenckie z rezultatem 87,3 proc. Pierwsza wersja dawała powody do kpin, jakoby Łukaszenka bał się wygrać wyżej niż jego pryncypał. Być może dlatego dyktator zdecydował się skorygować wyniki. W końcu choć jest – szczególnie po 2020 r. – politykiem w pełni zdanym na łaskę i niełaskę Putina, to jednak lubi stwarzać pozory niezależnej, wielowektorowej polityki.

## DOGADAĆ SIĘ I Z MOSKWĄ, I Z ZACHODEM

Łukaszence zależało również na tym, aby świat ostatecznie zapomniał o wydarzeniach z 2020 r. Wtedy jego realne poparcie było wyraźnie mniejsze niż oficjalnie ogłoszony wynik wyborów. Wielotysięczne pokojowe demonstracje opozycji pokazały ogromną skalę niezadowolenia społecznego. Co gorsza, trudno było zaszufladkować protest jako zdradziecką „kolorową rewolucję" z inspiracji Zachodu. Białorusini wyszli na ulice przeciwko dyktaturze, wściekli na ordynarne fałszerstwa wyborcze. Nie głosili natomiast haseł pronatowskich, prounijnych czy antyrosyjskich. Jeden z niedoszłych kandydatów poprosił nawet Putina o pomoc w walce z Łukaszenką, a Swiatłana Cichanouska długo jeszcze w wywiadach podkreślała, że chce, by jej kraj dogadywał się zarówno z Zachodem, jak i z Moskwą. Jednoznaczne stanowisko wobec Rosji działacze opozycji zajęli dopiero po 24 lutego 2022 r. A jednak „Baćka" – ze wsparciem Putina – brutalnie i skutecznie stłumił protesty. Jego przeciwnicy znaleźli się w więzieniach albo na emigracji. Cichanouska brylowała na zachodnich salonach, ale jej apele o wsparcie dla Białorusinów w walce z dyktaturą coraz bardziej



eprasa.pl 8d07af6ce2

stawały się pustymi hasłami, rodzajem medialno-politycznego rytuału, który wypada odprawiać, ale w którego zbawcze działanie nikt nie wierzy. Wiosny nie czynią również pojedyncze działania dywersyjne wymierzone w rosyjską infrastrukturę wojskową na Białorusi, inicjowane najprawdopodobniej przez zbrojne ramię emigracyjnej opozycji, czyli byłych oficerów służb Łukaszenki zrzeszonych w organizacji BYPOL. Na froncie ukraińskim po stronie Kijowa walczą pułki Pahonia i Kalinowskiego. Współtwórca pierwszego z nich proponował swego czasu, by z białoruskich ochotników utworzyć coś na kształt armii Władysława Andersa do walki z Łukaszenką. Tyle że to mrzonki, bo – po pierwsze – mowa o żołnierzach walczących pod rozkazami Kijowa, a nie antyłukaszenkowskiej opozycji. A po drugie – to oczywiste, że białoruscy ochotnicy nie byliby w stanie przejąć władzy w Mińsku (podobnie naiwna była wiara w „Andersa na białym koniu"). Do tego wszystkiego dochodzą podziały w łonie samej opozycji.

Teoretycznie na emigracji toczy się alternatywne białoruskie życie polityczne. Funkcjonują Biuro Swiatłany Cichanouskiej (kancelaria prezydenta), Zjednoczony Gabinet Tymczasowy (rząd) i Rada Koordynacyjna (parlament). Tyle że te struktury nie mają żadnego wpływu na sytuację w kraju, a poza tym nie brakuje konfliktów wewnętrznych. Część liderów opozycji wzywała Cichanouską, by zrzekła się stanowiska na rzecz „silnego premiera". Ponadto w Berlinie powstała polityczna konkurencja dla głównego nurtu opozycyjnego – Forum Sił Demokratycznych Białorusi pod kierownictwem małżeństwa Cepkałów (Waleryj nie został dopuszczony do wyborów w 2020 r., a jego żona, Weranika, dołączyła wtedy do sztabu Cichanouskiej), które zaczęło ostro krytykować niedoszłą prezydent za nieskuteczność, unikanie jasnego potępienia inwazji na Ukrainę, nadmierną koncentrację na wizytach zagranicznych, zaniedbywanie pracy z działaczami społecznymi w kraju oraz niechęć do współpracy z innymi ośrodkami emigracyjnymi. Ciekawostką jest to, że Waleryj Cepkała nie zawsze był tak jednoznacznym krytykiem Moskwy. To on w 2020 r. prosił Putina o pomoc w walce z Łukaszenką. „Białorusini (w 2020 r.) głosowali po to, by odsunąć od władzy Łukaszenkę, a nie po to, żeby Cichanouska przez cztery kolejne lata jeździła po krajach zachodnich i spotykała się nie wiadomo po co, nie wiadomo z kim" – tak jeszcze w maju ubiegłego roku stwierdził białoruski politolog Pawieł Usau podczas dyskusji na antenie opozycyjnej rozgłośni Euroradio. A Usau nie jest propagandystą Łukaszenki.

Oficjalnie frekwencja wyborcza wynosiła 85 proc. Z pewnością została mocno zawyżona. Z sondażu przeprowadzonego pod koniec 2024 r. przez niezależną od Mińska pracownię Chattam House wynika, że zagłosować planowało jedynie 36 proc. Białorusinów. Faktycznie jednak frekwencja najpewniej nie była tak tragiczna, bo władze skutecznie zmuszały do udziału w wyborach studentów, żołnierzy czy pracowników dużych zakładów przemysłowych. Nie ma jednak większego znaczenia, ilu Białorusinów naprawdę zagłosowało i na kogo. Ważny jest efekt – miażdżące zwycięstwo i praktycznie zero sprzeciwu. Czy to oznacza, że połowa głosów na Łukaszenkę oddana została pod przymusem i ze strachu, a druga połowa – sfałszowana? Wątpliwe. Trzeba być naiwnym, żeby twierdzić, że dyktator naprawdę zyskał prawie 90 proc. poparcia. Ale trzeba być równie naiwnym, żeby twierdzić, że jego realne poparcie jest bliskie zeru. Zdaniem niezależnych ekspertów elektorat Łukaszenki od dłuższego czasu oscyluje wokół 30 proc. To dużo mniej niż oficjalne wyniki, ale i tak sporo. Więcej niż w wypadku Cichanouskiej, której poparcie jakiś czas temu szacowano na trzykrotnie niższe.

## OCIEPLANIE WIZERUNKU

Łukaszenka najpierw brutalnie spacyfikował największy w dziejach społeczny bunt. Potem rozpętał wojnę hybrydową z Polską, wysyłając na jej granice agresywnych nielegalnych migrantów. Wystawił się na sankcje zachodnie, zamykając (albo przynajmniej przymykając) sobie drzwi do wielowektorowej polityki zagranicznej, która w przeszłości pozwalała mu lewarować swoją pozycję w relacjach z Kremlem. Aż w końcu, odrzucony przez Zachód, tak bardzo uzależnił się od Putina, że musiał mu udostępnić terytorium do inwazji na Ukrainę. A jednak paradoksalnie wielu Białorusinów uwierzyło, że jest gwarantem pokoju. Narracja Łukaszenki w sprawie inwazji na Ukrainę, kierowana do wewnątrz, brzmiała i brzmi mniej więcej następująco: „Rosja ma rację, pacyfikując nazizm na Ukrainie. Ukraińcy to nasi bracia i sąsiedzi, ale trzeba ich wyzwolić spod brunatnej okupacji. I niech to robią Rosjanie – my, Białorusini, jesteśmy pokojowym narodem i nigdy nie wejdziemy do tej wojny!". „Baćka" słowa dotrzymał. Nieważne, czy z własnej woli czy dlatego, że Putin nawet go o to nie prosił. Fakty są takie, że Mińsk stoi z boku i „tylko" kibicuje. Białorusini, inaczej niż Rosjanie, są szczerymi pacyfistami. Małe, pozbawione silnych tradycji państwo w środku Europy, wciśnięte między mocarstwa. Tradycyjna trasa przemarszów kolejnych armii, które w kolejnych wojnach rujnowały i wyludniały te ziemie. Dziesięciolecia sowieckiej inżynierii społecznej, wychowującej do bierności i niesamodzielności. To wszystko sprawia, że Białorusini w swej masie najbardziej pragną pokoju. A kto im ten pokój może zapewnić? Cichanouska? Paweł Łatuszka? A może Pułk Kalinowskiego? Nie – tylko dyktator Łukaszenka. Kolejna rewolucja mogłaby zakończyć się tragicznie – interwencją Rosji lub krwawym chaosem i wojną domową (działacze emigracyjnej opozycji już dawno przyznali, że tylko siłą można zdobyć władzę w kraju). Pokój jest „Baćce" na rękę, bo pozwala się skupić na pilnowaniu swojej władzy. Niepisana zasada brzmi następująco: „Łukaszenka nie idzie na wojnę, a Białorusini w zamian nie protestują". Siedzą cicho, zgodnie ze starą białoruską zasadą: „Moja chata z kraja".

To, jaki stosunek do państwa i jego procedur ma Łukaszenka, symbolicznie pokazał pewien zabawny incydent. Dyktator przyszedł zagłosować w towarzystwie swojego pieska. Umka, śnieżnobiały szpic miniaturowy, obsikał ścianę w lokalu wyborczym. Opozycyjne media, krytykując Łukaszenkę za nieupilnowanie pieska (który przecież naruszył przepisy), wystawiły się na śmieszność. Umka skutecznie ociepla wizerunek dyktatora, który jest bezwzględny i brutalny, ale potrafi być też (nie zawsze zamierzenie) zabawny. A do tego od lat chętnie przyznaje, że jest dyktatorem. Ostatnio stwierdził nawet (w nawiązaniu do Cichanouskiej), że Białorusią nie może rządzić kobieta. Bo dyktatorem powinien być facet.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

Piotr Włoczyk

**Amerykanie prężą muskuły wokół Kanału Panamskiego. Czy Panamczycy i Chińczycy faktycznie zagrażają ich bezpieczeństwu?**

FOT. ADOBESTOCK

# Kto kogo wpuszcza w kanał

Republikański kandydat na prezydenta nie mógł tego ująć jaśniej: amerykański naród jest właścicielem Kanału Panamskiego. „To my zapłaciliśmy za niego, to my go zbudowaliśmy" – ogłosił kandydat, wzbudzając ogromne kontrowersje, również wśród samych republikanów. Polityk, pielęgnujący swój kowbojski wizerunek, doskonale wiedział jednak, jakie są w tej sprawie nastroje wśród społeczeństwa – według większości Amerykanów kanał łączący Pacyfik z Atlantykiem to ich skarb.

Powyższe słowa wypowiedział oczywiście nie Donald Trump, tylko Ronald Reagan. Doszło do tego w trakcie republikańskich prawyborów w 1976 r. Już od dekady toczyły się negocjacje między USA i Panamą w sprawie przekazania zwierzchności nad kanałem. Zapoczątkował je demokratyczny prezydent Lyndon B. Johnson po tym, gdy w 1964 r. doszło w Panamie do potężnych zamieszek – Panamczycy domagali się oddania im strefy kanału i establishment w Waszyngtonie rozumiał, że trzeba rozpocząć negocjacje w tej sprawie. Zwiększanie liczebności amerykańskich wojsk strzegących kanału wydawało się mieć coraz mniejszy sens, skoro można się było po prostu dogadać z tym maleńkim latynoskim krajem i zagwarantować sobie wieczyste prawo korzystania z tej strategicznie ważnej drogi morskiej, dzięki której nie trzeba było okrążać Ameryki Południowej.

Po Johnsonie rozmowy z Panamą kontynuowali republikańscy prezydenci – Richard Nixon i Gerald Ford. I właśnie w 1976 r. Ronald Reagan postanowił nabić sobie politycznych punktów, odwołując się do poczucia dumy narodowej republikańskich wyborców. Niewiele mu to jednak dało i to Ford zdobył nominację (choć przegrał kilka miesięcy później z Jimmym Carterem). Gdy cztery lata później Reagan znów stanął do wyścigu prezydenckiego, nie poruszał już tematu Panamy. Również w trakcie swojej prezydentury Reagan nie sygnalizował chęci odwrócenia układu zawartego przez swojego poprzednika w 1978 r., mającego przekazać do 2000 r. kanał Panamie.

Niemal pół wieku po prawyborach w 1976 r. temat przynależności kanału powraca, ale tym razem z o wiele większym hukiem. Teraz to już amerykański prezydent, a nie kandydat na kandydata, porusza ten temat i do tego stawia go – przynajmniej retorycznie – na ostrzu noża.

„Zostaliśmy potraktowani bardzo źle z powodu tego głupiego prezentu [przekazania w 1999 r. kanału Panamie – przyp. red.], który nigdy nie powinien mieć miejsca – podkreślał Donald Trump w trakcie przemówienia inaugurującego drugą kadencję. – A obietnice dane nam przez Panamę zostały złamane. Cele naszej umowy i duch naszego traktatu [o przekazaniu kanału – przyp. red.] zostały totalnie pogwałcone. Amerykańskie statki są obciążane olbrzymimi kosztami i nie są traktowane sprawiedliwie, i obejmuje to również US Navy. Przede wszystkim jednak to Chiny zarządzają Kanałem Panamskim. A my nie daliśmy go Chinom, tylko Panamie, i odbierzemy go!".

## WODNE WINDY

W trakcie inauguracji Trump nawiązał do myśli, którą rzucił jeszcze w grudniu podczas konferencji prasowej w Mar-a-Lago. Poza grożeniem przejęciem Grenlandii ówczesny prezydent elekt stwierdził, że Panama żąda od Amerykanów zawyżonych opłat za korzystanie z kanału, a dodatkowo to Chińczycy mają zarządzać tym szlakiem, na co Ameryka nie może się godzić. Trump powiedział wtedy, że jeżeli Panama nie



eprasa.pl 8d07af6ce2

zmieni postępowania, to „będziemy się domagali, by Kanał Panamski został zwrócony Stanom Zjednoczonym – w całości, szybko i bez pytań".

Czy Panama rzeczywiście traktuje Amerykanów niesprawiedliwie pod kątem opłat za użytkowanie szlaku? I czy faktycznie przeszedł on de facto w ręce Chin?

To, że opłaty za użytkowanie poszybowały, nie ulega wątpliwości. W 2016 r. Panama skończyła wieloletni projekt budowy nowych śluz pozwalających korzystać z kanału o wiele większym jednostkom. Prace pochłonęły ponad 5 mld dol. i Panamczycy sfinansowali je w najbardziej oczywisty sposób – podnosząc opłaty za użytkowanie szlaku. Dodatkowo w ostatnich latach region nawiedzały susze, co bardzo komplikuje zarządzanie kanałem. W przeciwieństwie bowiem do płaskiej pustyni, na której leży Kanał Sueski, Ameryka Środkowa jest górzysta, więc wykopanie w poprzek przesmyku rowu sięgającego poziomu morza byłoby poza zasięgiem ówczesnych budowniczych. W latach 80. XIX w. próbowali tego sposobu Francuzi, ale się poddali. Amerykanie postawili na inne rozwiązanie, gdy w 1903 r. doprowadzili do oderwania się Panamy od Kolumbii i rozpoczęli prace nad tym strategicznie ważnym dla siebie projektem, pozwalającym dużo szybciej przerzucać flotę z jednego oceanu na drugi (otwarcie szlaku nastąpiło w 1914 r.; przy jego budowie życie straciło ok. 25 tys. ludzi – głównie z powodu chorób tropikalnych).

Teren pośrodku Panamy zalano, tworząc jezioro Gatún, ale ponieważ lustro tego zbiornika znajduje się 26 m n.p.m., statki trzeba podnosić i opuszczać za pomocą systemu śluz. Każde otwarcie śluz powoduje jednak, że miliony litrów słodkiej wody trafiają do morza. W 2019 r. susza doprowadziła do rekordowo niskiego poziomu wody w jeziorze, przez co ruch w kanale musiał zostać ograniczony aż o 40 proc. Wprowadzony system aukcyjny pozwalał jednak za dodatkową opłatą skrócić kolejkę i szybciej przerzucić statek z jednego oceanu na drugi. Susza pojawiła się też na przełomie lat 2023 i 2024, co ponownie negatywnie wpłynęło na efektywność tej drogi wodnej i wywindowało koszty. Opłata za przepłynięcie kanału skoczyła wtedy dla największych jednostek z kilkuset tysięcy do nawet kilku milionów dolarów (co najbardziej uderza w Amerykanów, którzy są głównym klientem Panamczyków).

O ile kanał zarządzany jest przez Panamczyków i to do ich budżetu trafiają wpływy z opłat, o tyle dwa duże porty po obu jego stronach są już w rękach CK Hutchison Holdings, firmy z Hongkongu, która siłą rzeczy musi się liczyć z polityką Pekinu. Nie sposób więc twierdzić, że Chiny nie mają wpływu na funkcjonowanie tej strategicznie ważnej drogi morskiej – i nie chodzi tu jedynie o zbieranie danych na temat ruchu statków i okrętów.

„Chiny sprawują albo mogą sprawować tu pewną kontrolę, nie uciekając się do użycia siły wojskowej. Myślę, że są tu powody do zaniepokojenia" – powiedział Ryan C. Berg z amerykańskiego think tanku Center for Strategic and International Studies.

## OPCJE NA STOLE

Na dictum ze strony Trumpa ostro zareagował prezydent Panamy José Raúl Mulino, który skądinąd wydaje się naturalnym sojusznikiem republikańskiego przywódcy. Wolnorynkowo myślący prawicowiec, który zapowiedział przecięcie szlaku migracyjnego biegnącego przez jego kraj, podkreślił w swoim przemówieniu: „Jeżeli chodzi o nasz kanał i naszą suwerenność, to wszyscy będziemy zjednoczeni pod naszą panamską flagą".

„Każdy metr kwadratowy kanału należy do Panamy i tak pozostanie" – powiedział Mulino. Prezydent Panamy podkreślił też, że w strefie kanału nie ma chińskich wojsk, jego neutralność nie jest w żaden sposób narażona, natomiast opłaty za korzystanie z niego są równe dla wszystkich.

Jedno nie ulega wątpliwości – gdyby Amerykanie znów, jak w 1989 r., postanowili za pomocą wojska zmusić Panamę do zmiany polityki, dziś przyszłoby im to jeszcze łatwiej. Gdy bowiem cztery dni przed świętami Bożego Narodzenia w 1989 r. prezydent George Bush senior postanowił usunąć rządzącego Panamą Manuela Noriegę (generała pracującego przez lata dla CIA, który jednak zwrócił się przeciw USA), Panamczycy dysponowali jeszcze siłami zbrojnymi. Po tamtej inwazji Amerykanie zadbali o to, by Panama nie miała wojska – odpowiedni zapis pojawił się w panamskiej konstytucji.

Przejmowanie siłą kanału wydaje się dziś jednak bardzo mało prawdopodobne. Nic nie wskazuje na to, by istniała taka konieczność, a koszty z tym związane (poza utrzymywaniem dużych sił okupacyjnych również straty wizerunkowe) byłyby bardzo wysokie. Ludzie z otoczenia Trumpa sugerują raczej, że w grę wchodzi podgrzewanie atmosfery, by wymusić na Panamie ustępstwa – zarówno w kwestii opłat, jak i portów po obu stronach kanału.

Mick Mulvaney, szef personelu Białego Domu, pod koniec pierwszej kadencji Trumpa tak to skomentował na antenie telewizji NewsNation: „Nie wyobrażam sobie, by amerykańskie oddziały odbijały kanał. Natomiast niejeden będzie się teraz drapał w głowę i zastanawiał: »Czy Donald Trump jest na tyle szalony, żeby zrobić coś takiego?«".

Louis Sola, nowo powołany przez Trumpa szef Federalnej Komisji Morskiej (FMC), zasugerował w swoim pierwszym wywiadzie po objęciu tej funkcji, że władze Panamy mogą oddawać chińskim przewoźnikom pieniądze za użytkowanie kanału, co byłoby oczywistym działaniem na niekorzyść amerykańskich przewoźników (choć władze Panamy temu zaprzeczają). „Myślę, że w ciągu ostatnich pięciu lat Panama zbliżyła się do Chin i odsunęła się od USA" – powiedział Sola. I dodał, że „jeżeli chodzi o biznes, to wszystkie opcje są na stole", wliczając w to sankcje gospodarcze wymierzone w panamskie statki, a także kary nakładane bezpośrednio na władze Panamy.

Już pierwsze dni prezydentury Trumpa pokazały, że nowy-stary przywódca USA nie zawaha się użyć „kija" wobec swoich latynoamerykańskich partnerów. Gdy władze Kolumbii nie wyraziły w zeszłym tygodniu zgody na przyjęcie amerykańskich samolotów wojskowych z odsyłanymi nielegalnymi imigrantami, Trump zagroził podwyższeniem ceł na kolumbijskie towary. Groźba błyskawicznie zadziałała i prezydent Kolumbii zmiękł. Jego sąsiedzi z północy z pewnością z niepokojem obserwowali ten dyplomatyczny ping-pong – w końcu w przypadku Kanału Panamskiego stawka jest o wiele większa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

*Jan Bogatko z Berlina*

**Dlaczego jesteśmy znacznie gorsi od naszych sąsiadów? – pyta tabloid „Bild" w jednym z październikowych numerów. Niemcy czarno widzą gospodarczą przyszłość kraju pod rządami nadal urzędującego czerwonego kanclerza Olafa Scholza i zielonego ministra gospodarki, Roberta Habecka, wicekanclerza Niemiec zresztą**

# Deutsche Wirtschaft

Niemiecka gospodarka – niegdyś lokomotywa gospodarki europejskiej, ba! zgoła światowej – straciła impet i wlecze się w unijnym ogonie. Gunther Schnabl, ekonomista z uniwersytetu w Lipsku (znalazł się on w rankingu opiniotwórczego frankfurckiego dziennika „FAZ" na rok 2021 wśród najbardziej wpływowych ekonomistów w Niemczech), z nieukrywanym żalem pisze: „Kiedyś byliśmy (my, Niemcy) lokomotywą wzrostu gospodarczego, a dzisiaj jesteśmy niemal w ogonie". Opinię ekonomisty z Lipska, dyrektora Instytutu Polityki Gospodarczej, potwierdzają oficjalne dane z października ubiegłego roku. Zgodnie z nimi PKB w Niemczech spadło już drugi rok z rzędu. Tym razem o 0,2 proc. (po tym, jak w 2023 r. spadek PKB wyniósł 0,3 proc.). Niemcy weszły zatem definitywnie w fazę recesji gospodarczej. O recesji mówimy wówczas, kiedy spadek PKB utrzymuje się przez dwa następujące po sobie kwartały. Tymczasem spadek trwa już osiem kwartałów.

Rząd w Berlinie zapewnia, że to już koniec złej passy. Prognoza drużyny Olafa Scholza utrzymuje, że w roku 2025 – notabene w roku przedterminowych wyborów do Bundestagu – Niemcy opuszczą padół łez i żwawo ruszą do przodu. PKB jakoby wzrośnie o 1,1 proc. Ale gospodarka to nie kasyno. Zielony minister Habeck – wbrew sceptycyzmowi wiodących niemieckich instytutów badań gospodarczych, wykazujących daleko posuniętą ostrożność – wielkie nadzieje pokłada w zapowiedzia-



eprasa.pl 8d07af6ce2

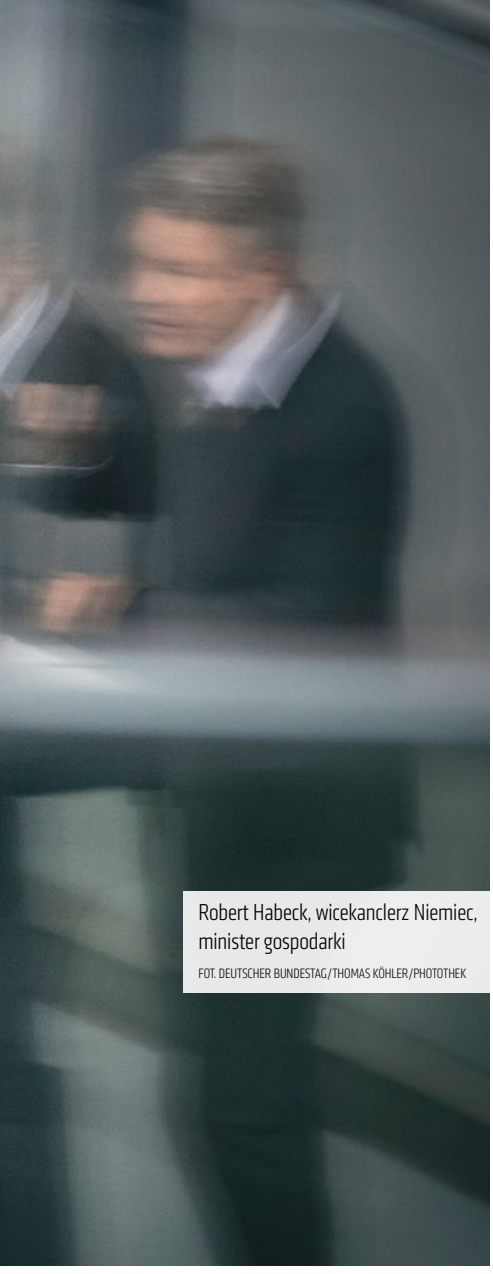

Robert Habeck, wicekanclerz Niemiec, minister gospodarki

FOT. DEUTSCHER BUNDESTAG/THOMAS KÖHLER/PHOTOTHEK

nej w lipcu ubiegłego roku „inicjatywie na rzecz wzrostu". Wiara czyni cuda, ale nie zawsze. Eksperci co prawda utrzymują, że projekt idzie we właściwym kierunku, ale jest niewyważony, ponieważ wiele pomysłów nie nadaje się do realizacji. Sam Habeck przyznaje zresztą, że to za mało, by odnieść sukces.

## UTOPIJNY PROJEKT

Gunther Schnabl nie podziela wiary zielonego ministra gospodarki i wylicza powody, dla których gospodarka niemiecka przeszła w ostatnich latach metamorfozę od lokomotywy rozwoju do starej szkapy. Główny i zasadniczy powód zapaści Niemiec to „rewolucja energetyczna". Węgiel i atom miały zastąpić w roli surowców energetycznych energie odnawialne. Przyznać trzeba, że nie był to pomysł zielonego ministra, lecz „czarnej" – jak mówi się o CDU – kanclerz Merkel, tej samej, która szeroko otworzyła granice Niemiec przed osadnikami z Azji i Afryki w ramach berlińskiej polityki „herzlich willkommen". Właśnie dlatego AfD nazywa Merkel „pierwszą zieloną kanclerz Niemiec".

Niemiecka lewica (której wiodącą partią stała się, o czym się dzisiaj zapomina, właśnie CDU) tak bardzo przejęła się swą misją, że ten powitalny slogan zaczęto pisać wielką literą, wbrew zasadom gramatyki. Ekonomista z uniwersytetu w Lipsku zwraca uwagę: „To, co rozpoczęła kanclerz Merkel, zaostrzyła koalicja rządowa przez działania Habecka". Dawno, dawno temu (nie, to nie bajka, aczkolwiek początek dla niej typowy) Zieloni robili wszystko, by energia elektryczna zdrożała w Niemczech na tyle, by opłacały się produkowane przez zielonych przedsiębiorców wiatraki. Polityka ta przyniosła oczekiwane skutki. Wiatraki pokryły krajobraz, a o ubocznych skutkach ich ustawiania, zwłaszcza szkodliwej dla środowiska produkcji i utylizacji, starano się nie wspominać.

I tak rozpoczęło się dzieło budowy nowego, wspaniałego świata. Oczywiście ten utopijny projekt wymaga fazy przejściowej, pomostowej, jak mówią marksiści. I tak w owej fazie elektrownie na bazie węgla brunatnego (rzadziej kamiennego) i atomu miały zostać zastąpione przez elektrownie gazowe. Surowcem miał być tu tani rosyjski gaz. Ale Putin napadł na Ukrainę i to przekreśliło plany niemieckich przyjaciół Rosji. Tani gaz zastąpiono drogim. A minister Robert Habeck mimo to kazał wyłączyć działające w Niemczech elektrownie atomowe. Wojna na Ukrainie toczyła się w najlepsze, gazu zaczęło brakować, a ideolog Zielonych nakazał zamknąć 15 kwietnia 2023 r. ostanie trzy elektrownie atomowe: Isar 2, Emsland i Neckarwestheim 2. Nie, to nie żart. Konsekwencja? Wyższe ceny energii uderzające w niemiecki przemysł, zwłaszcza w samochodowy, metalowy i chemiczny. Bankructwa w rekordowym tempie! Upadłość musiała też ogłosić tradycyjna firma odzieżowa Peek und Cloppenburg (P&C), założona w 1869 r. Jej przyczyną były wysokie koszty energii wywołane wojną na Ukrainie – mówi dyrektor Steffen Schüller. I założona w czasach króla Augusta II Mocnego (w 1725 r.!) w Saksonii Kunstgießerei Lauchhammer, odlewnia artystyczna, z uwagi na brak popytu, jak informuje rozgłośnia RBB, zakończyła działalność.

Kryzys gospodarczy w kraju, którego mitem założycielskim jest cud gospodarczy, zatacza coraz szersze kręgi. Z jednej strony inflacja, a z drugiej brak rąk do pracy (islamscy osadnicy pracują co najwyżej u brata, z reguły jednak zadawalają się oficjalnie „pensją obywatelską", sutym zasiłkiem za to, że się żyje) prowadzą paradoksalnie do wysokich płac w Niemczech. Epidemia regulacji i socjalistyczna biurokracja napędzają spiralę kosztów. Kryzys koniunktury wpływa na postawy konsumentów. Niemcy rzadziej chodzą dzisiaj do restauracji. Widać to wyraźnie nad Nysą, w Zgorzelcu (nawet po polskiej stronie mniej niemieckich bywalców w restauracjach). Mniejszy jest ruch w świątyniach ciała: siłownie tracą klientów (43 proc.).

Ekspertów to nie dziwi. Po prostu konsumenci dostosowują się do sytuacji gospodarczej wywołanej bezmyślną polityką lewicy. Grupa Mediów Funke, powołując się na najnowszy sondaż spółki audytorskiej EY, informuje, że więcej niż co trzeci Niemiec (37 proc.) podaje, iż obecnie wydaje pieniądze tylko na to, co najważniejsze. Na pierwszych miejscach listy skreśleń znajdują się artykuły luksusowe (58 proc. konsumentów), a o tym, co jest luksusem, a co nie, decyduje portfel konsumenta. Więc lista się wydłuża. Na przykład coraz rzadziej zamawia się (49 proc.) typowy niemiecki smakołyk, czyli pizzę z dostawą do domu.

Na domiar złego koalicja Olafa Scholza jest nieobliczalna – uważa Gunther Schnabl. Wiele projektów lewicy okazało się niewykonalnych albo za drogich. Ekonomista z Lipska wymienia wśród nich zamiar produkowania „zielonej stali", premię na samochody elektryczne czy ustawę grzewczą. Od „pensji obywatelskiej" abstrahując: nie dość, że to pomysł drogi, to jeszcze kontrproduktywny gospodarczo. Wszystko to razem tworzy klimat zniechęcający do inwestycji w Niemczech. Przedsiębiorcy wybierają raczej Polskę, Węgry czy USA – ubolewa niemiecki ekonomista.

I tak Mercedes buduje fabrykę na Węgrzech, a Volkswagen przenosi produkcję modelu Polo nawet do zakładów w Kariega (Uitenhage) w RPA. Na rynki



eprasa.pl 8d07af6ce2

unijne wchodzą samochody elektryczne z Chin Ludowych. „Corriere della Serra": „Koniec legendy o niemieckim samochodzie?". Niemieccy konsumenci mają węża w kieszeni. Ich zdaniem przyszłość maluje się w ciemnych barwach. Dlaczego? Boją się, że lewicowo-liberalny rząd w Berlinie wprowadzi kolejne obciążenia, że podniesie podatki czy zmusi Niemców do ponoszenia horrendalnych wydatków na ideologicznie motywowane remonty domów.

**Mercedes buduje fabrykę na Węgrzech, a Volkswagen przenosi produkcję modelu Polo nawet do zakładów w RPA. Na rynki unijne wchodzą samochody elektryczne z Chin Ludowych**

## KTO CHCE SCHOLZA?

Przyznać trzeba, że Niemcy mają nosa. Tracąca poparcie społeczne lewacka SPD, partia najbardziej nielubianego kanclerza w dziejach Republiki Federalnej Olafa Scholza, planuje ożywić gospodarkę, wprowadzając ułatwienia. Te okażą się jednak drogie. SPD stawia na samochody o napędzie elektrycznym i planuje nową strategię gospodarczą, która miała zwiększyć poparcie dla partii w nadchodzących wyborach do Bundestagu 28 września 2025 r. Chyba jednak nie zdąży tego zrobić, bo wybory odbędą się jednak wcześniej, jako przedterminowe, 23 lutego. Projekt SPD pt. „Ożywić gospodarkę. Utrzymać miejsca pracy, odciążyć pracowników" przewiduje stare w nowym opakowaniu, m.in. premie finansowe dla nabywców drogich samochodów elektrycznych, bonus dla przedsiębiorstw „Made in Germany" oraz niesprecyzowaną redukcję podatków dla nieistniejącej już niemal w Niemczech klasy średniej. Schnabl zwraca uwagę, że socjalistyczno-liberalny rząd w Berlinie wprowadza elementy gospodarki planowej. Przyznaje wysokie subwencje wielkim firmom (np. Volkswagenowi) z wpływów podatkowych, co prowadzi do wykrzywienia konkurencyjności, wpływa na ociężałość koncernów, obciążając średnie firmy, które nie zobaczą nigdy tych pieniędzy. Tymczasem w licznych państwach UE zauważono, że Niemcy narażają na szwank na unijnym rynku wewnętrznym uczciwą konkurencję.

Plakat wyborczy już jest: Kto chce Scholza, wybiera SPD. Ale kto go chce? Notowania socjaldemokratów na politycznej giełdzie w Niemczech są kiepskie. Tylko 17 proc. Niemców głosowałoby na SPD w chwili jego drukowania (łeb w łeb z AfD). Teraz, w lutym 2025 r., notowania SPD są znacznie gorsze. Możliwa byłaby koalicja na forum Bundestagu z CDU (31 proc.) i Zielonymi (11 proc.). Czyli na Zachodzie bez zmian.

Scholz miałby zerowe szanse na fotel kanclerza w nowym rządzie w Berlinie pod egidą CDU. Ale SPD chce koniecznie władzy. W sobotę i w niedzielę (12 i 13 października 2024 r.) socjaliści odbyli naradę programową w Berlinie przy drzwiach zamkniętych. Lars Klingbeil, szef partii, wbrew katastrofalnym dla SPD wynikom sondaży podał cel: partia ma być ponownie największą siłą podczas przyszłorocznych wyborów do Bundestagu. Jak socjaliści chcą to osiągnąć? Proste: teraz SPD stanie się partią zwolenników redukcji podatków! W najbliższej kampanii wyborczej partia dzisiejszego kanclerza Olafa Scholza walczyć będzie o zasadniczą reformę podatku dochodowego. Ma ona odciążyć 95 proc. podatników! W tym celu państwo poprosi do kasy 1 (słownie jeden) proc. podatników o najwyższych dochodach. To ilustruje, na jaki kurs wchodzi podczas kampanii wyborczej nowy sekretarz generalny SPD, Matthias Miersch. W dokumencie socjalistów czytamy: „Ta reforma ma zwiększyć możliwości finansowe pracujących i wzmocnić siłę nabywczą. Tym samym stymulujemy gospodarkę oddolnie i z centrum społeczeństwa".

Wprawdzie dla wsparcia inwestycji w Niemczech socjaliści nie chcą zredukować podatku od przedsiębiorstw, ale w zamian SPD chce wprowadzić szeroko zakrojone superodpisy podatkowe i wprowadzić premie podatkowe dla przedsiębiorstw na rzecz inwestycji w branżach przyszłościowych, wiążąc to z dobrymi miejscami pracy w niemieckich lokalizacjach: kto inwestuje w Niemczech, ten uzyska ulgi podatkowe. Dla przyśpieszenia zbytu samochodów elektrycznych SPD zamierza zbadać dotychczasową premię nabywczą. Ponadto SPD chce wprowadzić limit samochodów elektrycznych dla leasingodawców i zapewnić ulgi podatkowe dla elektrycznych samochodów służbowych. Niewątpliwie ucieszy to Niemców, którzy samochody służbowe oglądają tylko na firmowych parkingach.

## W ERZE NIEPEWNOŚCI

W udostępnionym agencjom prasowym dokumencie programowym SPD ostro krytykuje politykę gospodarczą CDU prowadzoną przez przewodniczącego partii i kandydata na fotel kanclerza w tegorocznych przedterminowych wyborach do Bundestagu, Friedricha Merza: „Ten, kto obraża pracowników w Niemczech, określając ich jako leniwych, i odmawia im dobrych zarobków i bezpiecznych emerytur, stracił szacunek dla naprawdę najlepszych pracowników, którzy swoją ciężką codzienną pracą utrzymują nasz kraj w dobrej kondycji – czytamy w dokumencie SPD. – Dotyczy to również wielu milionów pracowników ze środowisk migracyjnych i ich rodzin, którzy każdego dnia są określani przez CDU i CSU jako »problem«".

Minister pracy w gabinecie Scholza w Berlinie, Hubertus Heil (SPD), mówił z końcem ubiegłego roku, że aktualna sytuacja rynkowa i geopolityczna wymaga przede wszystkim aktywnej polityki gospodarczej. Brzmi to jak szyderstwo w ustach ministra lewicowego rządu odpowiedzialnego za mizerę gospodarczą w Niemczech. Na światowych rynkach były mistrz świata w eksporcie, którym były Niemcy jeszcze nie tak dawno temu, zderza się z konkurencją ze strony USA i agresywnymi komunistycznymi Chinami, które przestają być rynkiem zbytu, produkując i eksportując coraz więcej samochodów, chemikaliów i maszyn w miejsce – jak dotąd – taniej odzieży. Do tego wszystkiego dochodzą dekarbonizacja i starzejące się społeczeństwo w Niemczech. Zgoda – polityka ma tutaj ograniczony wpływ. Słusznie wskazuje się przy tej okazji na zaniedbania ery Merkel (CDU). Ale rząd Scholza dodatkowo obciążył interwencjonizmem gospodarkę niemiecką, wywołując paraliżującą niepewność wyhamowującą inwestycje i prywatną konsumpcję mimo podwyżek płac.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

# Ale zabawa!

Naprawdę trudno mi się zdecydować, kto dziś mocniej przykłada Zielonemu Ładowi – Donald Tusk czy Mateusz Morawiecki. A młócą go bez litości i bez wytchnienia, nieustannie. I obaj zdają się dawać w tej walce z siebie dosłownie wszystko, nie przepuszczając ani jednej okazji, żeby mu, i to z całych sił, dołożyć.

A, jak wiadomo, za sprawą przejęcia w USA władzy przez Donalda Trumpa i unieważnienia przez niego idiotyzmów Zielonego Ładu tamże, także na naszym, polskim podwórku ów wielki wyścig o to, kto zajmie pozycję lidera Zjednoczonego Frontu Największych Przeciwników Zielonego Ładu, wszedł w całkiem nową fazę. Tylko jego liderzy od miesięcy pozostają ci sami. To oczywiście premier Tusk, który wprowadzał do Polski Zielony Ład w latach 2007–2014 i wprowadza go teraz – od końca 2023 r., a w przerwie – jako eurokrata UE na fotelu przewodniczącego Rady Europejskiej i lidera Europejskiej Partii Ludowej – wprowadzał tenże sam Zielony Ład na terenie całej UE, oraz były premier Morawiecki, który wprowadzał do Polski Zielony Ład w latach 2017–2023 i zapewne będzie go dalej wprowadzał po coraz bardziej prawdopodobnym odzyskaniu władzy przez PiS i fotela premiera przez niego.

I ani Tusk, ani Morawiecki nie dadzą w tym pojedynku o tytuł Największego Wroga Zielonego Ładu wszechwag i wszech czasów nawet wśliznąć się do toczonej przez siebie morderczej walki żadnemu spośród polityków Konfederacji czy PSL, którzy jako nieliczni w Polsce od początku albo byli przeciw Zielonemu Ładowi otwarcie i zdecydowanie – jak politycy Konfederacji, albo byli przeciw, ale mniej otwarcie i zdecydowanie – jak politycy PSL. Bo i po co, skoro to przecież właśnie oni – oni, którzy Zielony Ład do Polski wprowadzali/wprowadzają/będą wprowadzać – najlepiej wiedzą, na czym polega jego fatalnie destrukcyjny wpływ na polską gospodarkę i portfele Polaków.

Morawiecki z narastającą determinacją atakuje Zielony Ład od ponad roku, gdy tylko przesiadł się z fotela premiera na krzesełko jednego z liderów opozycji, tłumacząc wszem wobec, jak bardzo go zwalczał przez cały czas swego premierostwa, a Tusk od mniej więcej pół roku, a całkiem niedawno – podczas wystąpienia w europarlamencie – wprost zrównał Zielony Ład z ziemią. „Jak wy chcecie konkurować z gospodarką Ameryki czy Chin, jeśli będziemy mieli trzykrotnie droższą energię!" – zaatakował z furią (sam siebie?).

Tak, że zabawy jest i jeszcze będzie co niemiara, ale przecież pożytku z tego dla Polaków żadnego. No bo kto by tam się odważył wyprowadzić Polskę z Zielonego Ładu i nie móc liczyć na frukty z Brukseli, prawda? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

# Wątpliwy „Parasol Wyborczy"

Nigdy w Polsce na żadnym portalu nie będą likwidowane konta, które mówią nieprzychylnie o władzy, bez względu, jaka będzie to władza. Mówię to uczciwie i daję uroczyste słowo honoru" – powiedział minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, odpowiadając na pytanie o program „Parasol Wyborczy", który ma chronić polskie wybory przed domniemanym rosyjskim wpływem i próbami destabilizacji wyborów prezydenckich.

**Mówimy o mocnej państwowej interwencji w sferę wolności słowa**

Problemy z tą obietnicą są dwa. Pierwszy to planowane przez Ministerstwo Cyfryzacji regulacje, które umożliwiałyby podjęcie wyżej opisanych działań tylko na podstawie zgłoszenia się do Urzędu Komunikacji Elektronicznej osoby uznającej się za pokrzywdzoną jakimś wpisem czy materiałem w sieci. Nie tylko w okresie kampanii wyborczej, lecz także w ogóle. Tak ma wyglądać wdrażanie w Polsce unijnego Aktu o usługach cyfrowych.

Drugi to niejasność, nawet mglistość programu „Parasol Wyborczy". Najpierw mowa była o rzekomym werbowaniu przez Rosję Polaków do wpływania na wybory w sieci. Pytanie brzmi: Po co Rosja miałaby podejmować tak kosztowne i ryzykowne działania, skoro dysponuje efektywnymi farmami trolli? Teraz natomiast pan minister mówi o rekrutowaniu „szpiegów". Jednak nie każda współpraca z obcym wywiadem jest szpiegostwem. Działanie na rzecz obcego wywiadu – by użyć sformułowania kodeksowego – poprzez wpływanie na Internet nie jest tym samym co zdobywanie informacji. Co więc właściwie Gawkowski ma na myśli?

Wreszcie – co oznacza obietnica złożona przez wicepremiera? Czy żadne konta nie będą likwidowane? Jeśli tak, to jak ma działać „Parasol Wyborczy"? Jeśli jednak jakieś będą, to według jakich kryteriów? No i wreszcie – mając szczególnie w pamięci hucpę z unieważnieniem wyborów w Rumunii – jak i czy w ogóle będzie mierzony wpływ rzekomo sterowanych z zewnątrz kont na kampanię? Skąd w ogóle przekonanie, że ten wpływ istnieje? Na jakiej podstawie politycy rządzącej koalicji twierdzą, że nawet kilka tysięcy zadaniowanych kont może znacząco zmienić wynik wyborów?

To nie są błahe pytania. Mówimy wszak o sferze wolności słowa i mocnej państwowej interwencji w tę dziedzinę. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

# Dlaczego wszyscy noszą białe buty?

FOT. ADOBE STOCK

Joanna Bojańczyk

**Pasują do wszystkiego i można je nosić przez okrągły rok. Tylko polityka jeszcze opiera się tej wszechogarniającej modzie**

Na 17 par wyciągniętych do przodu nóg w wagonie metra naliczyłam 16 w butach sportowych, z czego 11 w białych. Teatr Stanisławowski w Łazienkach, koncert Haendla o godz. 19 – panie, owszem, nawet w szpilkach, chociaż zima, ale młodzi panowie na sportowo. Także wielu starszych – ci, którzy chcą poczuć się młodo.

Teatr, filharmonia, urzędnicy w garniturach. Aktorzy, sportowcy, celebryci, dziennikarze. Na ulicy, w kawiarniach, w sklepach, na lotniskach. Mark Zuckerberg, Brad Pitt, Kuba Wojewódzki. Tylko polityka oparła się jeszcze tej wszechogarniającej modzie.

Dlaczego wszyscy noszą białe buty? Kiedy to się zaczęło? I dlaczego stało się tak powszechne?

Sport, to jasne – w końcu białe buty są korzeniem obuwia sportowego, nie tylko w tenisie. Ale uniwersalną, globalną karierę butów sportowych, która rozegrała się całkowicie poza sportem, można porównać tylko z karierą dżinsów. Jedne i drugie z kategorii użytkowej przeniosły się do fantazyjnej krainy mody. A w niej liczy się nie walor praktyczny, ale nadbudowa, aura. A przede wszystkim ważne jest logo.

Dziennikarz mody Piotr Zachara należał do nielicznych „early adopters" – tych, którzy pierwsi chwytają trendy i wprowadzają je w życie.

– W białych butach chodzę od końca lat 90., wtedy to były adidasy. Potem pojawiły się Y-3 i nadal uważam je za bezkonkurencyjne. Przez chwilę niezłe były Puma by Jil Sander, ale jak to z Jil bywa, ten układ nie trwał długo. Uważam, że przy Y-3 wszystkie inne buty wyglądają biednie i smutno.

Dla niezorientowanych w tajnych kodach mody wyjaśniam, że buty oznaczone literą Y są projektem Japończyka Yohjiego Yamamoto. Stanowią część całej linii sportowej, którą Y.Y. projektował dla firmy Adidas. Jednocześnie ta prosta i ekstrawagancka kolekcja wyróżniała się oryginalnym designem i była jednym ze znaków rozpoznawczych ludzi z kręgu mody i designu.

## PRAWDZIWA REWOLUCJA

Zanim bieganie stało się sportem masowym, zawodnicy nosili buty na kauczukowej wulkanizowanej podeszwie. Te pierw-



eprasa.pl 8d07af6ce2

sze cichobiegi, tak różne od powszechnych wówczas butów na skórzanej zelówce, pozwalały poruszać się bezszelestnie i częściowo pochłaniały wibracje. Buty „na słoninie" były już cywilne. Na grubej, białej, miękkiej podeszwie – bikiniarski szyk lat 50., duma Leopolda Tyrmanda. Przychodziły do nas w paczkach z Ameryki, bo polski przemysł obuwniczy nie opanował tajników ich produkcji.

Prawdziwą rewolucję wywołał w latach 70. XX w. wynalazek PVA, polioctan winylu. Ten materiał zawierający miliony pęcherzyków powietrza umożliwił produkcję butów pochłaniających wstrząsy nawet na twardej powierzchni.

Pierwszy raz wykorzystała to firma Nike. Nike Air powstały w roku 1979. Potem „poduszkowce" zaczęli produkować inni. Boom sportu i fitness, który zaczął się w latach 70. w Stanach Zjednoczonych, a potem ogarnął świat, wyprowadził buty sportowe z bieżni na ulice. Bieganie, koszykówka, siatkówka, sztuki walki, tenis. Białe adidasy rozpoczęły wczesny etap swojej kariery w modzie.

Pamiętam wrażenie, które zrobił na mnie sklep sportowy w Nowym Jorku w roku 1984. Dla człowieka przybywającego z kraju, gdzie dostępne były tylko buty sofixy oraz pepegi, produkt Polskiego Przemysłu Gumowego, widok półek z setkami modeli obuwia do różnych sportów, był szokiem.

Intensywne szaleństwo butów sportowych zaczęło się pod koniec lat 90., kiedy z modelem do szkół walki wystąpił Adidas. Lekkie, elastyczne, bez sznurowadeł, prawie pantofle podbijały wtedy rynek – zarówno oryginały, jak i podróbki. Pięć lat później nadeszła fala Pum – prężący się do skoku dziki kot szalał na nogach męskich i damskich. W roku 1989 modelem „kultowym" stały się Nike Air Max, model dla koszykarzy, pomysł Tinkera Hatfielda. W tym czasie serca i stopy bardziej niszowej, ale istotnej części klientów zdobywały vansy. Buty rosły w pomysły oraz w ceny. Teraz, gdy biegają i ćwiczą wszyscy, a grupa wiekowa 12–25 lat praktycznie nie używa innych butów, branża przeżywa rozkwit.

Okazało się, że stare pomysły są równie dobre jak nowe. Reedycja air maxów po 25 latach trafiła już nie tylko do sklepów sportowych, lecz także do tzw. konceptów z modą na świecie. Zapasy tego modelu

**Białe buty szybko się niszczą, więc najlepiej mieć kilka par lub często je zmieniać. I o to producentom chodzi**

w edycji limitowanej i w cenie od 125 do 150 euro szybko się wyczerpały. Ostatnią dekadę zawłaszczyły new balance'y i podbiły świat kolorem. Rynek niszowy należy do francuskiej marki Veja, która chlubi się produkcją obuwia w 100 proc. zrównoważonego ekologicznie. Podobnym sloganem na zatłoczonym rynku udało się przebić małej marce ze Słowacji – jej oldskulowe płócienne tenisówki Novesta zdobyły młodą grupę wyznawców. Są „wegańskie" – dziś to mocny argument.

Największym, bo codziennym użytkownikiem obuwia sportowego jest teraz pokolenie niepamiętające lat 80. ani nawet 90. Dla nich czar przeszłości mają modele retro. Kto z nastolatków ma świadomość, że trampki Converse Chuck Taylor, które połowa z nich ma na nogach, to wynalazek z roku 1940? Planetarny sukces modelu Adidasa Stan Smith, którego na świecie sprzedano ponad 100 par, oszołomił nawet samego bohatera, mistrza Wimbledonu Stana Smitha. Niewielu wie, że ten 78-letni tenisista – Smith – żyje i sukcesem swojej marki czuje się oszołomiony, bo – jak przyznaje – modą się nie interesował. Jako 19-latek wygrał Wimbledon, 50 lat później skasował jedne z największych w sporcie pieniędzy za licencję butów. Każda celebrytka i każdy celebryta musieli się pokazać w stan smithach; sam bohater wyznał, że ma ich w szafie ok. 100 par.
– Ludzie myślą, że jestem butem – żartuje tenisista. Białe stan smithy o prostej konstrukcji zaczęły się pokazywać na nogach celebrytów i aby wydać się cool, należało je nosić do stroju wieczorowego. To był jeden z większych przełomów w modzie XXI w.

Buty, dawniej przeznaczone do biegania, do tenisa, do koszykówki, dzisiaj nosi się jako tzw. lifestyle'owe. To przypadek retrobasketów firmy Adidas.

Świat na nowo odkrywa stare buty do biegania. W USA powodzeniem cieszą się również modele, które wywodzą się z boisk koszykarskich. I w Polsce nosi się ich coraz więcej, ale wciąż nie tyle, ile na Zachodzie. Hit wszech czasów Adidasa to zdecydowanie model Superstar – krótki but koszykarski z lat 60. Zawrotną karierę zrobił nie jako but sportowy, lecz właśnie lifestyle'owy, najlepiej sprzedawany produkt w historii firmy Adidas.

Jeszcze 15 lat temu buty sportowe kojarzyły się z dresiarstwem. Dzisiaj w ramach mody na lata 90. modele retro wracają na ulice.

## CZARNE WYGLĄDAJĄ TOPORNIE

Wszystko dobrze, można zrozumieć sukces wygodnych butów sportowych, takich samych zarówno dla przedszkolaka, jak i dla staruszka. Ale dlaczego białe?

– Nadal chodzę tylko w białych sportowych, najchętniej w Y-3 – mówi Piotr Zachara. Powody są proste: białe buty są ładne, wyglądają lekko i są lekkie. Czarne zawsze wyglądają topornie. Moda udaje, że modernizuje wszystkie buty, chociaż tak naprawdę wykazuje się tylko w przypadku sportowych. W białych najlepiej widać wszystkie zmiany, innowacje, kreatywność. Dodatkowy plus – tak jak biały T-shirt białe buty są uniwersalne, pasują wszędzie i do wszystkiego. A w naszym klimacie można nawet w zimie chodzić w pepegach.

Ile w tym wszystkim marketingu, a ile rzeczywistej zmiany? Klientów trzeba motywować, to klucz do sukcesu – mówi w filmie dokumentalnym „Kup teraz" Eric Liedtke, prezes firmy Adidas. Dzięki stan smithom jego firma, która w roku 2014 pikowała po dnie, odbiła się i obecnie jej akcje stoją wysoko.

– Ludzie nie potrzebują już nowych rzeczy, trzeba ich skłonić do kupowania. Do tego nie wystarczy produkt, potrzebna jest opowieść. Z nią utożsami się konsument i to go skłoni do zakupów. I właśnie opowieści o dawnych, dzielnych bohaterach sportu wypromowały nowe modele obuwia. Kto nie chciałby być legendą jak Stan Smith, patron najpopularniejszych butów ostatniej dekady? Kto nie chciałby wyglądać młodo i modnie? – zastanawia się Liedtke.

Dodatkowy atut sprzedażowy białych butów, którym można wytłumaczyć ich sukces, to tzw. planned obsolescence. Szybko się niszczą, więc najlepiej mieć kilka par oraz/albo często je zmieniać. I o to chyba producentom chodzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 8d07af6ce2

# MITSUBISHI COLT Z LPG

FOT. JAP

Japoński brat bliźniak francuskiego Renault Clio, czyli Mitsubishi Colt, wjechał do salonów w Polsce w wyjątkowo ekonomicznej odmianie: z fabryczną instalacją LPG. Testowany Colt w wersji dla kierowców, którzy chcą wyjątkowo tanio robić duże przebiegi, nawet zimą potrafi przejechać ponad 1,1 tys. km bez konieczności zjeżdżania na stację benzynową. Zasięg wyłącznie na gazie wynosi ok. 450 km, a na benzynie dodatkowo ok. 700–750 km. Zbiornik na gaz ma 32 l pojemności, a na benzynę 39 l. Jeśli kierowca potrafi jeździć ekologicznie, to koszt przejechania 100 km może wynieść zaledwie 20 zł (słownie: dwadzieścia złotych).

Colt z LPG wyposażony jest w trzycylindrowy, turbodoładowany silnik o pojemności 1,0 l i mocy 100 KM oraz sześciobiegową manualną skrzynię biegów. Teoretycznie jest to autko miejskie, ale jest na tyle dynamiczne, że nawet na gazie da się nim mknąć prędkościami autostradowymi. Samo przełączanie z benzyny na gaz odbywa się tak płynnie, że jest trudne do zauważenia. Jak na segment B Mitsubishi Colt jest też stosunkowo dobrze wyciszony.

W kabinie wykończonej całkiem przyjemnym tworzywem dominuje siedmiocalowy ekran systemu multimedialnego. Co prawda, w drugiej dekadzie XXI w. mógłby być już nieco większy, ale za to bez najmniejszego problemu łączy się bezprzewodowo z Android Auto lub Apple CarPlay. Na pokładzie znajdują się też bezprzewodowa ładowarka oraz klasyczne i bardzo praktyczne pokrętła do sterowania klimatyzacją (nie trzeba więc przebijać się przez pół menu na ekranie, aby zmniejszyć temperaturę podczas jazdy).

Kierowca ma do dyspozycji zestaw cyfrowych wskaźników (szkoda tylko, że zabrakło wśród nich klasycznego obrotomierza). Twórcy tej odmiany Colta dopieścili za to klientów z dwupaliwowym silnikiem i na wyświetlaczu pojawia się zarówno prognozowany zasięg na benzynie, jak i na LPG. Fotele są dość wygodne. We wnętrzu jest też sporo przydatnych schowków. Bagażnik ma zaś 391 l pojemności.

Auto wyposażone jest również w wiele systemów wspierających kierowcę, takich jak system ograniczający skutki kolizji czołowych (FCM), system ostrzegania o niezamierzonym opuszczaniu pasa ruchu (LDW), system wspomagania utrzymania na pasie ruchu (LKA). W testowanej wersji znalazły się również reflektory LED, przednie i tylne czujniki parkowania oraz kamera cofania (choć rozdzielczość obrazu mogłaby być nieco większa). Szkoda również, że ten Colt nie ma aktywnego tempomatu.

Mitsubishi oferuje pięcioletnią gwarancję zarówno na samochód, jak i instalację gazową. Cena Colta z fabryczną instalacją gazową w wersji wyposażenia INVITE z silnikiem 1,0, mocą 100 KM i manualną skrzynią biegów wynosi 89 450 zł. ©℗

# EZVIZ SD7

Banalnie prosta, bezprzewodowa instalacja, intuicyjna obsługa, kompaktowa konstrukcja, elegancki wygląd i pojemny akumulator – to największe zalety inteligentnego ekranu służącego do sterowania inteligentnym domem chińskiej firmy Ezviz.

Siedmiocalowy ekran dotykowy IPS (o rozdzielczości 1024 x 600) ma minimalistyczne wzornictwo, dzięki któremu łatwo może się wtopić w wystrój różnych pomieszczeń. Czym jednak dokładnie jest testowane urządzenie? To panel sterowania do systemów bezpieczeństwa Ezviz, który przyda się zwłaszcza osobom mieszkającym w dużych domach. Dzięki niemu można w jednym miejscu podglądać na żywo obraz z różnych kamer albo odtwarzać zarejestrowane wcześniej nagrania. Model SD7 pozwala również na zdalne otwieranie bramy wjazdowej lub wideodomofonu (jeśli jest on również marki Ezviz). Można go umieścić np. w kuchni lub w sypialni – dzięki temu, gdy nagle przed bramą pojawi się niespodziewany gość, nie trzeba lecieć po schodach z wywieszonym językiem, aby sprawdzić, że to listonosz – można zdalnie zobaczyć na ekranie, kto próbuje się dostać, i jednym przyciskiem odblokować zamek w furtce, by wpuścić go do środka. SD7 jest też uzbrojony zarówno w mikrofon, jak i głośnik – można więc np. pracując na piętrze, wysłać gdzie pieprz rośnie stojącego przed domem sprzedawcę fotowoltaiki.

Ekran można łatwo zamontować na ścianie, postawić na dołączonej podstawce na biurku/stoliku nocnym lub traktować niczym tablet i przenosić z miejsca na miejsce. Monitor z kamerami i wideodomofonem łączy się poprzez wi-fi (wyłącznie zakres 2,4 Ghz). Instalacja jest szybka i banalnie prosta. Model SD7 obsługuje obecnie do 30 urządzeń (choć producent zapewnia, że wraz z aktualizacjami ta liczba będzie się zwiększać). Można też jednocześnie używać do 10 ekranów SD7 jednocześnie (np. w kuchni, łazience, sypialni etc). Bardzo łatwa jest też obsługa. Bateria o pojemności 4600 mAh sprawia, że ekran nie musi być non stop podłączony do prądu, choć w trybie „zawsze włączonym" działa wyraźnie szybciej niż w trybie bateryjnym.

Wady? Za pomocą modelu SD7 można sterować tylko urządzeniami marki Ezviz. W monitorze brakuje automatycznej regulacji jasności. Trzeci minus: niechlujne tłumaczenie na język polski. Pomijam literówki, ale nazwy dni tygodnia i niektórych komunikatów w niderlandzkim zamiast polskiego to już spore niedopatrzenie. Cena: 655 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**



eprasa.pl 8d07af6ce2

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

# Turecki gambit Sobieskiego

Miasteczko Karłowice, obecnie Sremski Karlovci, położone jest w Serbii, w prowincji Wojwodina, daleko od granic Rzeczypospolitej. A jednak miejsce to odegrało ważną rolę w naszej historii. Przypomina o tym Kaplica Pokoju, wybudowana początkowo jako drewniany budynek, po zniszczeniu zaś przez Turków odbudowana w 1716 r.; wreszcie wzniesiona na nowo na początku XIX w. Jest to pamiątka po podpisanym tutaj 26 stycznia 1699 r. traktacie zwanym pokojem karłowickim, który zakończył wojnę między państwami Świętej Ligi a Turcją. Dla Rzeczypospolitej oznaczał on nie tylko kres walk z Portą Otomańską, ale przede wszystkim bezlitosnych najazdów tatarskich na południowo-wschodnie pogranicze państwa.

Pokój karłowicki był efektem 16 lat wojen, które prowadziła Turcja z Austrią, Rzecząpospolitą, Wenecją i Moskwą. Ostatecznie zrujnowana, zmuszona była przyjąć mediację Anglii i Holandii. Ze strony polskiej na konferencję wyprawiony został Stanisław Małachowski, wojewoda poznański, któremu – aby nie był gorszy niż inni uczestnicy rozmów – nadano tytuł hrabiowski. Ze strony Habsburgów przybyło trzech wysłanników – Franz Kinsky, Leopold Schlik i Wolfgang Oettingen, Moskwę reprezentował Prokofij Woznicyn, Wenecję Carlo Ruzzini. Rozjemcami byli Anglik William Paget i Holender Jacobus Colyer. Ze strony tureckiej udział brali: kanclerz Rami Mehmed Pasza oraz dragoman Aleksander Mavrocordatos.

Rzeczpospolita zamierzała zakończyć wojnę zwycięsko, żądając od Porty oddania Kamieńca Podolskiego, części prawobrzeżnej Ukrainy i Budziaku, a także

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mołdawii. Był to dawny plan Jana Sobieskiego, który zamierzał przekazać zarząd nad księstwem jednemu ze swoich synów i w ten sposób zapewnić mu dobrą pozycję do zwycięstwa na elekcji. Król nie dożył końca wojny, ale jego plany realizował w niezmienionej formie kolejny władca Rzeczypospolitej – August II Sas. Wcześniej wojsko koronne zajęło północną Mołdawię, obsadzając twierdze w Suczawie, Kimpulungu, Neamt i Soroce, które skutecznie szachowały Turków i blokowały dostęp do Kamieńca.

Niestety, w Karłowicach propozycje Małachowskiego spotkały się z brutalną kontrakcją posłów cesarskich i nieustępliwą postawą Turków. Cesarscy żądali, aby Polska zadowoliła się powrotem do stanu posiadania sprzed wybuchu wojen tureckich. Dlatego ostatecznie Rzeczpospolita odzyskała tylko Kamieniec i Podole z częścią Ukrainy, natomiast Turcja obiecała usunąć Tatarów z Mołdawii, zakazała też ostatecznie wszelakich najazdów Ordy na Polskę. Stąd można mówić o swego rodzaju „gambicie tureckim Sobieskiego" – król Jan III, zajmując mołdawskie fortece, uzyskał bowiem zastaw, za którego zwrot można było żądać oddania Kamieńca.

Niestety, plany zajęcia lub zhołdowania Mołdawii spaliły na panewce. Król August II zresztą sam wycofał się z nich, ponieważ jeszcze przed końcem wojny zawarł tajny traktat z carem Piotrem I przewidujący atak na Szwecję i odzyskanie Inflant. Zajęte przez wojska koronne twierdze znajdują się dzisiaj w Rumunii. Twierdza Neamt położona jest obok dzisiejszego Târgu Neamţ; została zdobyta przez wojska Sobieskiego w 1691 r. Jest to niedostępny, murowany zamek wzniesiony na skalistej górze. Dziś można go zwiedzać. Soroka to współczesne Soroki położone w Mołdawii nad Dniestrem, gdzie do dziś znajduje się kamienny zamek przypominający nieco Chocim. O Suczawie pisałem już w jednym z poprzednich felietonów. Była to potężna forteca, czasem pełniąca funkcję skarbca hospodarów. Kimpulung z kolei to dzisiejszy Kimpulung Mołdawski – dziś w Rumunii, dawniej w historycznej Mołdawii, gdzie znajdował się ufortyfikowany monastyr, który zajęły wojska koronne.

Traktat w Karłowicach, choć nie do końca korzystny dla Rzeczypospolitej, zakończył mordercze, wyniszczające Kresy Wschodnie najazdy tatarskie. Chociaż Orda dokonała w 1699 r. jeszcze jednego napadu, wykorzystując okres przed terminem oficjalnego obowiązywania traktatu, to jednak późniejszy spokój umożliwił powolne zasiedlenie Ukrainy i Rusi Czerwonej, a przede wszystkim odsunął niebezpieczeństwo od położonych głębiej terenów Rzeczypospolitej. Tatarzy podchodzili wszak w czasach Sobieskiego pod Biecz, Krosno, Sandomierz i Lublin. Pokój karłowicki zapoczątkował życzliwe sąsiedztwo dwóch wrogów – Polski i Turcji; w czasach późniejszych konfederacji, powstań i upadku Polski okazało się ono niezwykle potrzebne. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

# Geny i charaktery

Życie naprawdę bywa zaskakujące. Za sprawą cieknącego stropu w mojej kamienicy odnalazłyśmy naszą rodzinę, o której istnieniu nie miałyśmy pojęcia. Otóż Ania mieszka w Śródmieściu. Pewnego dnia w budynku zaczął przeciekać strop i należało pilnie zwołać zebranie wspólnoty mieszkaniowej. Na tym „tematycznym" zebraniu niektórzy sąsiedzi zobaczyli się i poznali po raz pierwszy, mimo że teoretycznie mieszkają tu od kilkunastu lat. Otóż wśród nowo poznanych sąsiadów był także – jak się potem okazało – brat żony naszego kuzyna z linii Chruzików.

Nasza pamięć rodzinna kończyła się na naszym dziadku Stasiu, a okazało się, że dziadek Stasiu miał siostrę Stasię, której wnuk to wybitny naukowiec, informatyk zajmujący się sztuczną inteligencją prof. Grzegorz Dudek. Podczas spotkania z jego małżonką Olą, która zajmuje się genealogią, zrozumiałyśmy, skąd nasze zamiłowanie do gotowania – okazuje się, że w rodzinie byli znakomici piekarze, a jedna z ciotek była szefową kuchni i zarządzała stołówką dla kilkuset dzieci. Okazało się też, że zachowały się jeszcze odręczne zapiski cioci i jej przepisy kulinarne. Ponoć w naszym rodzie (jak to brzmi!) chętnie jedzono zupy i tutaj obie także potwierdzamy, że i u nas bez zupy obiad się nie liczy. Bez zupy, a zwłaszcza bez rosołu. Oprócz zup cała nasza rodzina od zawsze kocha chleb – zresztą trudno się dziwić, gdyż w naszej rodzinie było więcej piekarzy niż kucharzy. Po chleb na prawdziwym zakwasie nasz tato potrafił jechać 60 km z Bytomia do Siewierza. Tato twierdził, że chleb musi być dobry, a że trzeba po niego pojechać taką długą drogę, to nie ma problemu. Takie same zwyczaje panowały w domu siostry naszego dziadka, tam też się jeździło daleko po dobry chleb. Takie to nasze rodzinne zamiłowania. Zatem tym razem przekazujemy przepis z naszego rodzinnego kanału. Vivat spotkania! Vivat rodzina! Vivat geny!

FOT. ADOBE STOCK

## Rosół

- 30 dag pręgi wołowej
- 30 dag mostku lub szpondra
- 1 skrzydło z indyka
- 2 tłuste udka z kurczaka
- włoszczyzna cała (3 marchewki, 2 pietruszki, 1/2 selera, 1 por i dodatkowo cebula)
- kawałek włoskiej kapusty
- 1 suszony grzybek
- 7 ziarenek pieprzu i ziela angielskiego
- 4 sztuki liścia laurowego
- sól
- mielony pieprz

Potrzebujemy trzylitrowego garnka. Mięso wołowe opłukujemy i zalewamy zimną wodą, zagotowujemy na dużym ogniu. Zdejmujemy delikatnie szumowiny cedzakiem i gotujemy jeszcze pół godziny. Po tym czasie dodajemy udka z kurczaka i skrzydło z indyka oraz włoszczyznę, kapustę i podpieczoną na suchej patelni cebulę, następnie pieprz, ziele angielskie i liście laurowe. Zagotowujemy, zmniejszamy gaz i gotujemy na małym ogniu przez ok. 3 godz. Na koniec dodajemy sól, mielony pieprz, możemy też dosmaczyć rosół przyprawą w płynie lub sosem sojowym. Podajemy z posiekaną zieloną pietruszką i najlepiej z domowym makaronem. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

# Dobry adres

Zamiast odbyć rutynowy spacer po Lesie Kabackim, przeszliśmy kawałek Konstancina. W celach oświatowych. Nie tego wytwornego, głównego, tylko części północno-zachodniej, tej gorszej, częściowo jeszcze niezagospodarowanej. Niezagospodarowanej – to znaczy, że jest potencjał. Budowlany, ma się rozumieć. Dużo wolnych, dużych i drogich działek ze starymi dębami, które czekają na nabywców, a potem na miejscowego Tadao Andō, który zbuduje rezydencję jeszcze większą niż u sąsiada i niepodobną do żadnej innej.

Co postawić na dużej działce? Bo tylko takie dopuszcza plan zagospodarowania gminy Konstancina. Absolutnie nie ma sensu stawiać tam zwykłego domu jednorodzinnego. Można, a nawet trzeba, postawić coś bardzo, bardzo dużego. Hangar, hala, lotnisko, residence pełną gębą. Sam dół ma z 500 mkw. Gdzie góra? Gdzie dodatki? Aneksy? Kto tam będzie mieszkał? Kto będzie płacił rachunki za ogrzewanie, za prąd? Na razie to wszystko jest w fazie budowy – szczelnie ogrodzone płotem, z tablicą informacyjną, na której raczej nie znajdziemy nazwiska inwestora.

Widać, że się rozwijamy. Gigantyczne wille są tego dowodem, to pomniki pieniądza. Są owocem dwóch dekad stabilizacji, bogacenia się, wielkich biznesów i fortun oraz wiary, że wszystko pójdzie dobrze, będzie „tak, jak było" albo lepiej. Jednak długi czas budowania pokazuje, że nie wszystko poszło tak, jak było w planie. Niektóre budowy trwają trzeci rok, a ledwo są pod dachem. Plac rozgrzebany, pusty. Nic się nie dzieje. A przecież dzisiaj dom buduje się w rok.

Oprócz gigantomanii w wiosce Konstancinie powstało też sporo przyjemnych nowoczesnych domów w normalnej skali. Jest moda na domy stodoły: długie, proste, niskie z dużymi oknami. Jest moda, dosyć osobliwa, na czarne domy. Jaki to ma sens, kiedy lata są coraz gorętsze?

Najmilsze są domki z lat 60., na podwórku huśtawka, stary opel, parę jabłonek, grządki. Pancernego ogrodzenia brak, furtka ledwo przymknięta. Te małe domki nie przewidziały, że w pewnym momencie ich sąsiedzi zajadą audi Q8, a może i maserati. Jak się porozumieją z tymi z rezydencji? Zresztą pewnie zostaną przez nich wykurzeni, żeby nie psuli widoku. Na biedę tu nie ma zgody.

Na koniec osiedle kuriozum: rząd białych segmentów jednorodzinnych, 20, może 30. Typ: budowa łanowa, jak w Józefosławiu. Domki przyklejone prawie jedne do drugich, widok na sąsiada, ogródek 100 mkw. Każdy taki elemencik mieszkalny kosztuje (podobno) 2,5 mln, jesteśmy przecież w lux Konstancinie, naprzeciwko Ogrodu Botanicznego. Ale nawet pod tym dobrym adresem luksusy podobno słabo schodzą. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

# Amerykańskie wahadło

Jednym z wielu aktów podpisanych pierwszego dnia urzędowania nowego prezydenta USA była decyzja o wycofaniu się Ameryki ze Światowej Organizacji Zdrowia. To dość interesujący ruch, choć trzeba tu chyba zrewidować jego szersze konsekwencje. Zacznijmy od tego, że z tą WHO to mieliśmy amerykańskie wahadło – raz, w czasie pandemii, Trump wszczął proces wyjścia z WHO, bo mu się w niej nie podobała nadmiarowość chińska za amerykańskie pieniądze, ale już w styczniu 2021 r., a więc zaraz po wygranych wyborach, proces ten wstrzymał Biden. Teraz Trump do tego wraca, a więc bujało tutaj Stany od ściany do ściany.

Wielu patrzy się na to z przerażeniem. Jak to? A globalne zdrowie? Zobaczymy więc, jaką rolę odgrywa ta WHO i czy pozbawione jej wkładu Stany Zjednoczone popadną teraz w zapaść zdrowotną. Trump uzasadnił swą decyzję tym, że WHO oszukiwała USA, bo te płaciły na organizację, która realizowała interesy chińskie. Wydaje się to raczej chybione – Trump tropi wszędzie tych, którzy się wozili za darmo na amerykańskim grzbiecie, ale problem nie jest w tym, że WHO realizowała interesy Pekinu, tylko że realizowała (i realizuje) interesy Big Pharmy.

Dlatego ci, którzy teraz triumfują z tego powodu, że WHO będzie odcięta od amerykańskiej kasy i się ukorzy, nie mają racji. W budżecie WHO Ameryka dokłada się najwięcej, ale wciąż to jest tylko 18 proc., które sobie WHO nadrobi na projektach z Big Pharmy. Wszak to z tego żyje – oficjalnie jest agendą ONZ, ale głównie zajmuje się robieniem dobrze firmom farmaceutycznym i to na nich zarabia na swoje gargantuiczne wydatki, niewiele mające wspólnego z medycyną. A więc tu, w kasie, zostanie po staremu.

Interesujący jest właściwie jeden zbieg okoliczności wynikający z decyzji Trumpa. Po wyjściu USA z WHO zmniejszy się zagrożenie wprowadzenia traktatu pandemicznego, który już wyglądał zza rogu. Jeśli Stany nie zgodzą się na to, by rządy w ich kraju w razie dowolnie ogłoszonej pandemii objęła WHO (chciałbym to widzieć pod rządami Trumpa…), to idea takiego traktatu nie ma szans na utrzymanie się przy głosowaniu pod egidą ONZ.

Zresztą tak w ogóle to słabo widzę przyszłe losy samej ONZ, która – przy takim podejściu, i nie bez racji, Trumpa – będzie traciła na znaczeniu. No bo po co toto Ameryce – trzeba się wykłócać z wrogami w jakiejś Radzie Bezpieczeństwa czy choćby tłumaczyć się z blokowania sankcji na Izrael. Ale ONZ będzie pokarana za co innego – za bycie główną światową organizacją promującą postępackie ideolo, które właśnie intronizacja Trumpa odwołała. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

# Najważniejsze wyzwanie

Obserwuję kampanie wyborcze od lat. Zdając sobie sprawę z tego, jak wygląda kuchnia kampanii, jak działają system partyjny i logika mediów, przyznam, że nie mam szczególnych oczekiwań. Kampanie interesują mnie raczej jako pewien rodzaj barometru społecznego. Trudno mi sobie przypomnieć, żeby jakieś ugrupowanie czy pretendent do urzędu prezydenta podnieśli do rangi najważniejszych problemów Polski kwestię zapaści demograficznej.

Brak w zapowiedziach kwestii demografii, a w najlepszym razie marginalizacja tematu nie tylko obnażają format kandydatów i ich eksperckiego zaplecza, lecz także ujawniają przede wszystkim, z czym ci ludzie wybierają się na urząd prezydenta. Uporczywe unikanie tematu z punktu widzenia interesu państwa i narodu najważniejszego nie wróży nic dobrego. Nasz system polityczny nie daje prezydentowi zbyt wielkiego pola manewru, ale przez silny demokratyczny mandat urzędu pozwala kandydatom wprowadzić na agendę istotne kwestie, inicjować legislację, narzucać tematy debaty publicznej, blokować niekorzystne dla tych istotnych spraw ustawy. Pojawiające się w wypowiedziach pretendentów zagadnienia dotyczące demografii raczej nie mają charakteru przemyślanego programu, lecz są wywołane przez pytania wyborców i dziennikarzy.

I tak Karol Nawrocki na Podhalu zapowiedział, że w związku z problemem depopulacji pracuje nad dużym programem repatriacyjnym. Chodzi o ściągnięcie do kraju Polaków – nawet tych, którzy od pokoleń żyją w Brazylii czy w Kazachstanie. Wypowiedź ta pojawiła się w kontekście dyskusji o problemach rynku pracy. Sławomir Mentzen w czasie swojej aktywności wielokrotnie wypowiadał się na tematy demografii, ale raczej była to krytyka nieskuteczności programów „500+" i „800+", w oficjalnym zaś programie słowa o demografii nie znalazłem.

Na tym tle wyróżnia się Marek Jakubiak, który mówiąc w wywiadzie o podatku od nieposiadania dzieci („bykowe"), podniósł temat odpowiedzialności obywateli za wspólnotę. Przyciśnięty niestety wycofywał się potem, akcentując raczej zapaść systemu emerytalnego, a nie sprawę trwania narodu. Sprawa przetrwania Polski, narodu, wspólnoty pojawia się najczęściej w wypowiedziach Grzegorza Brauna, co w sposób istotny zmienia podejście do zagadnienia katastrofy demograficznej. Przynajmniej to właściwa diagnoza. Jak temu zaradzić? Niestety, na razie nikt z wymienionych nie zaprezentował żadnego pomysłu. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

# A Basię do szatni!

Po historycznych słowach minister edukacji Barbary Nowackiej o „polskich nazistach" Niemcy nie zażądali jeszcze reparacji od Polski. Stop. Jeszcze. Stop. Basiu, a Ty byś nie chciała popracować w jakiejś szatni czy coś?

Na mapach turystycznych Warszawy pojawi się nowa atrakcja, zwana Pałacem hrabiego Trzaskowskiego. Stop. Chodzi o najdroższo-najmniejszą toaletę świata postawioną przez prezydenta Warszawy w samym środku niczego, lecz w błocie. Stop. Do Owalnej Wygody w celu uatrakcyjnienia atrakcji poprowadzono unikalną Via Trocina, czyli na błoto wysypano trociny za 10 tys. zł, żeby się do butów turystów z błotem przyklejały na pamiątkę. Stop. Pałac hrabiego Trzaskowskiego otwiera się po wrzuceniu monety, a kosztował 650 tys. zł. Stop. Generalnie każdy budowlaniec powie państwu, że za te pieniądze można wybudować dom z dwoma toaletami, ale taki dom to żadna atrakcja. Stop. W lutym Rafał ma podobno uroczyście przeciąć wstęgę w pozycji na skoczka, ale ta informacja jest w trakcie potwierdzania. Stop.

Michała nam próbują zastraszyć Kamińskiego (teraz Nowe PSL, a kiedyś PiS). Stop. Pan Michał wziął i zwrócił uwagę słowami publicznie, że z Trzaskowskim to słabo, słabiutko, słabiuteńko, bo kampania źle robiona, kandydat nie najmocarniejszy, a jeszcze Platformą obciążony, i słowami Tuska o Trumpie. Stop. I za tę prawdę oczywistą wzięły i się na niego rzuciły z jego obozu rządzącego, jak to ich pan Michał określił, „nieudane szmondaczki". Mechanizm wyparcia im zadziałał, że nie chcą tego słuchać. Stop. Murem za Miśkiem, słuchać chcemy jego analiz, a nieudanym szmondaczkom na pohybel i dieta wege!

Zaszczytny tytuł Hipokryty Stycznia otrzymuje Adam Bodnar. Stop. Pytany, czemu Trzaskowski w czasie kampanii wykorzystuje stanowisko i miesza w nią policję, rozdając publicznie radiowozy i robiąc przy tym medialną szopkę, kiedy sam krytykował PiS za rozdawanie wozów strażackich, Adam Praworządny rzekł, pocąc się nieco: „Wozy strażackie od PiS i wozy policyjne od Rafała Trzaskowskiego to nie to samo". Trudno się nie zgodzić, np. radiowozy nie mają sikawek, strażackie są czerwone, a policyjne szaro-niebieskie – no, różnic zdolny Adam mógłby znaleźć więcej. Stop.

I jeszcze jedno zaskoczenie. Stop. Tenże Bodnar chwali się przestępcami, nie żartuję! Napisał na portalu X: „WOŚP to prawdziwy dowód na siłę solidarności społecznej! Wiemy, że na ten moment osadzeni w zakładach karnych i aresztach śledczych zebrali rekordowe 44 072 zł!". Stop. Należy mieć nadzieję, że pieniądze na Jurka nie pochodzą z rabunków, szantaży i wymuszeń... ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

# Za plecami Machabeuszy

Ciekawe rozważania teologiczne zaczęły w ostatnich dniach angażować polskich historyków i publicystów historycznych. Powodem debaty stały się billboardy rozwieszone przez europosła Grzegorza Brauna i odpowiadająca na nie „Deklaracja Szesnastu" historyków i dziennikarzy.

Ważnym uczestnikiem dyskusji jest marszałek Marek Jurek. W artykule opublikowanym na łamach portalu Christianitas autor ten stawia przed czytelnikami zagadkę. „Nikt z nas […] nie przyjmował prośby o zapalenie lampek chanukowych raz w roku w Sejmie. Nikt w tej sprawie nie podejmował decyzji ani nawet nie doradzał". Warto w takim razie zapytać: Kto takie decyzje podjął i jakie przyświecały mu intencje? Jak zaczął się ów „utrwalony, choć krótki obyczaj"?

Pierwsze zapalenie świec chanukowych miało miejsce w polskim Sejmie w roku 2007. Dokonał go wicemarszałek Jarosław Kalinowski, prominentny polityk PSL. Z wykształcenia jest on zootechnikiem. W jego okazjonalnym przemówieniu brakuje teologicznych subtelności. Marszałek poświęcił je „idei wiecznego światła" dającego nadzieję „całemu globalizującemu się światu". „Niech te wartości, które są wpisane w ideę wiecznego światła, będą z nami wszystkimi, niech będą ze wszystkimi naszymi rodakami, ze wszystkimi Polakami, byśmy śmielej mogli patrzeć w naszą przyszłość, byśmy mogli wykorzystać tę szansę, którą dała nam historia na przełomie wieków, zwłaszcza wieku XX – jakże czasami dramatycznego, tragicznego – i XXI, który daje nam tak wiele nadziei" – recytował wójt gminy Somianka, od 1981 r. członek Związku Młodzieży Wiejskiej.

„To była pierwsza Chanuka w polskim Sejmie po drugiej wojnie światowej. Jako ówczesny wicemarszałek Sejmu z PSL byłem jej organizatorem, inicjatorem był Schalom Stambler" – przyznał po latach Jarosław Kalinowski.

Czy wyrafinowani intelektualiści, toczący dziś zawiłe debaty o teologii Świątyni Jerozolimskiej, nie powinni raczej spytać Jarosława Kalinowskiego, skąd wzięła się w polskim Sejmie sekta nawet przez żydowskie autorytety religijne uważana za kontrowersyjną i heretycką? Czy na podobne pytania nie powinny odpowiedzieć panie Małgorzata Bochenek i Ewa Junczyk-Ziomecka, współorganizujące w roku 2006 zaproszenie Chabad Lubawicz do Pałacu Prezydenckiego? Dzisiejsze polemiki profesorów i publicystów postrzegam jako erudycyjne mydlenie oczu. Dla ludzi wprowadzających wpływową politycznie sektę do świeckich instytucji publicznych kanoniczność Ksiąg Machabejskich mogła nie mieć rozstrzygającego znaczenia. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

# Vivat La Rochefoucauld!

Jeszcze nie tak dawno liberałowie i lewica (stara, nowa i najnowsza) mówili, że żyjemy w epoce „postprawdy". Niektórym z oświeconych słowo „prawda" kojarzyło się nawet ze słowem „Auschwitz". Teraz zaś słyszymy od reprezentantów tych samych środowisk, że państwo i jego różne agendy – np. Główny Urząd Kontroli Elektronicznej – mają obowiązek energicznie działać przeciw „kłamstwu i dezinformacji" w Internecie i szeroko rozumianej sferze publicznej. Partyzantem prawdy stał się premier Donald Tusk, który prowadzenie bezwzględnej „walki z kłamstwem" zapowiedział z trybuny Parlamentu Europejskiego podczas swojego przemówienia inaugurującego polską prezydencję w Unii Europejskiej. Wcześniej jako strażnik prawdy ujawnił się wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski (Lewica), który zapowiedział podjęcie „kroków ustawowych" w celu powstrzymania „fali kłamstwa".

No, ale być może chodzi tutaj o ochronę prawdy „takiej, jaką my ją rozumiemy". Przez lata swoje własne rozumienie prawdy prezentowała w oficjalnych dokumentach pani minister do spraw równości i wszystkiego najlepszego Katarzyna Kotula (Lewica), która kulturowo czuła się magistrem (bez napisania pracy magisterskiej), głęboko identyfikowała się ze społecznością absolwentów UAM (nie kończąc studiów na tej przezacnej – także mojej – Alma Mater), a nawet miała silne poczucie, że pracuje (jako prawdopodobna posiadaczka licencjatu) nad dysertacją doktorską.

Małostkowi ludzie mówią coś o „poświadczeniu nieprawdy", przywołują jakieś paragrafy, ale na szczęście dla pani minister prawo w Polsce obowiązuje tak, jak je rozumie szef rządu. A premier nie dopuści do tego, by każdy mówił to, co chce, rozsiewając „kłamstwo i dezinformację", odwołując się do niebezpiecznej, z gruntu antydemokratycznej kategorii „zdrowego rozsądku". Bo przecież wiadomo, że w tych samych kręgach, które chcą walczyć o wolność słowa, wprowadzając powszechną cenzurę Internetu, obowiązuje nowa definicja demokracji. To już nie są rządy ludu, który zwiedziony „kłamstwami i dezinformacją" oraz „zewnętrznymi ingerencjami w proces wyborczy" (no, chyba że są to interwencje z Berlina i Komisji Europejskiej) może dokonać niesłusznych wyborów. Demokracja dla liberałów cenzorów to rządy demokratów. I to nie byle jakich demokratów, bo walczących. A w zapale walki takie pojęcia jak „zdrowy rozsądek" znikają. Oczywiście na okres przejściowy. O długości takiej, „jaką my – demokraci walczący – ją rozumiemy".

W Ameryce demokracja ma się natomiast bardzo źle. Wybory wygrał Mussolini, Hitler i Stalin w jednej osobie (copyright by Anne Applebaum) i – jak przystało na każdego wroga demokracji – demonstracyjnie odwołuje się do zdrowego rozsądku. Szczerych demokratów wzburzył, deklarując, że za jego administracji „w Stanach Zjednoczonych będą istnieć dwie płcie: męska i żeńska". Wrogie zamiary wobec obywateli USA i całego wolnego świata objawił w pierwszych dniach swojego urzędowania, ułaskawiając ponad 20 obrońców życia (niejeden z nich był już w wieku emerytalnym) i wycofując finansowanie przez rząd federalny aborcji w Stanach Zjednoczonych i poza ich granicami.

Ironia jednak na bok. Gdy widzi się histeryczne reakcje starej, nowej i najnowszej lewicy na tego typu decyzje prezydenta Donalda Trumpa, przypomina się dictum Chestertona, że „ludzie generalnie dzielą się na tych, którzy dużo mówią o rozumie, i na tych, którzy go używają". Trzeba użyć rozumu, by widzieć obłudę lewicowych mediów (np. „New York Timesa") ubolewających nad „nieludzkim" dekretem prezydenta Trumpa zawieszającym automatyczne prawo do amerykańskiego obywatelstwa dla dzieci nielegalnych imigrantów, które urodziły się już na terytorium USA. Te same media, które epatują czytelników tytułami: „Czy moje nienarodzone dziecko zostanie deportowane z Ameryki?", konsekwentnie przez lata utrzymywały i dalej twierdzą, że nie ma kogoś takiego jak „nienarodzone dziecko", a co najwyżej zlepek komórek niewiadomego pochodzenia. Jeden dekret prezydenta Trumpa pokazał trafność maksymy La Rochefoucauld, że obłuda to hołd, który występek składa cnocie. ©℗

**Gdy widzi się histeryczne reakcje lewicy na decyzje prezydenta Trumpa, przypomina się dictum Chestertona, że „ludzie generalnie dzielą się na tych, którzy dużo mówią o rozumie, i na tych, którzy go używają"**



eprasa.pl 8d07af6ce2

# CŁO

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

*Wojciech Cejrowski*
*korespondencja z USA*

Donald Trump pracuje ostro nawet wtedy, gdy odpoczywa. Właśnie grał w golfa i był przy trzecim dołku, gdy przyszła wiadomość, że prezydent Kolumbii odmówił przyjęcia nielegalnych imigrantów deportowanych z USA. Dwa wojskowe samoloty nie dostały zezwolenia na lądowanie i zawróciły w powietrzu. Na ich pokładach transportowano dużą grupę groźnych przestępców, obywateli Kolumbii, których wyłapano na terenie USA, skuto kajdanami za ręce i nogi, wpakowano w łańcuchach do samolotów i planowano wysadzić na lotnisku w ich kraju rodzinnym.

Trump przerwał na chwilę grę i podyktował krótką wiadomość, którą wywieszono na jego portalu Truth. Nie bawił się w żadne oficjalne depesze z Białego Domu. Wysłał coś w rodzaju listu otwartego, który mógł przeczytać cały świat. Nie bawił się nawet w pisanie bezpośrednio do prezydenta Kolumbii – napisał ogólnie do wszystkich, że w związku z odmową przyjęcia kolumbijskich kryminalistów przez ich własny kraj nakłada w trybie natychmiastowym cło w wysokości 25 proc. na wszystkie kolumbijskie towary przywożone do USA, a po tygodniu cło wzrośnie do 50 proc. Dodatkowo wprowadza zakaz wjazdu do USA i natychmiastowe anulowanie wiz dla wszystkich oficjeli rządu Kolumbii, a także ich sojuszników i popleczników. (W Kolumbii ludzie władzy posyłają swoje dzieci na studia do USA i nagle te wszystkie wizy przestały działać…).

Trzy kwadranse później Trump był przy piątym dołku i nadal bardzo dobrze mu szło, gdy przyszła wiadomość z Kolumbii, że prezydent Gustawo Petro przeprasza i wyśle po tych kryminalistów własny samolot prezydencki oraz że Kolumbia poniesie koszt deportacji.

Tak działa cło – narzędzie, którym Trump operuje bardzo skutecznie.

***

Przed rokiem 1913 w USA obywatele nie płacili podatku dochodowego, a władza federalna utrzymywała się wyłącznie z pobierania cła. I wystarczało na wszystko. W tamtych czasach w kasie federalnej było tyle forsy, że Stany Zjednoczone nie wiedziały, co z nią robić. Prezydent Theodore Roosevelt wybudował Kanał Panamski, czyli najbardziej kosztowną inwestycję w historii USA właśnie z pieniędzy pochodzących z ceł.

Dziś ekonomiści patrzą na cło krzywym okiem i przekonują, że jest szkodliwe dla gospodarki, bo przedsiębiorcy przerzucą koszt cła na klientów, czyli towar w sklepie zrobi się droższy, czyli cło wywołuje inflację. To nieprawda. Czasami tak może być w przypadkach wyjątkowych, gdy mamy do czynienia z towarem, którego nie da się zastąpić. Ale Kolumbia eksportuje do USA głównie kawę i kwiaty.

Pomiędzy trzecim dołkiem a piątym demokraci zaczęli biadolić, że przez te „szaleństwa Trumpa" kawa w USA podrożeje, a na walentynki zabraknie kwiatów. Bzdury. Między trzecim dołkiem a piątym Brazylia wstrzymała oddech, bo oni mają masę kawy i chętnie zastąpiliby tę kolumbijską. Ekwador też się cieszył, bo oni eksportują kwiaty takie same jak kolumbijskie.

Trump rozumie takie rzeczy, bo Trump to handlarz. Rozumie pieniądze, rozumie towar. W trakcie swojej pierwszej kadencji obłożył niektóre towary z Chin kolosalnymi cłami. Demokraci i ich ekonomiści piszczeli, że wszystko zdrożeje. NIC nie podrożało, a inflacji nie było, bo Chiny mają tak dużą marżę na towarach sprzedawanych do USA, że po prostu zmniejszyły sobie trochę zyski i nadal eksportowały towar w tych samych cenach co przed nałożeniem cła. W tym czasie rząd Donalda Trumpa zapełniał kasę federalną miliardami dolarów pochodzących z cła na chiński towar. Chiny zarabiały mniej, co było dodatkowo korzystne, bo silne Chiny stanowią zagrożenie dla całego świata.

***

Eksperci od ekonomii nie mają pojęcia o handlu. Gdyby się znali na handlu, toby nie byli ekonomistami, lecz milionerami i prowadziliby własne biznesy. Nie mają pojęcia o handlu i zarabianiu, dlatego siedzą na pensjach i posadach rządowych.

Są wyjątki – kilka wielkich nazwisk. KILKA. (W RP wyjątkiem była Zyta Gilowska – ekonomista, który rozumiał, czym jest handel). Reszta tego towarzystwa nie zna się na życiu, no ale zarządzają naszym życiem ekonomicznym jako „fachowcy i eksperci" – te wszystkie Glapińskie, Belki, Kołodki, Balcerowicze i Morawieckie (dlaczego żaden z nich nie jest miliarderem?). Każdy z nich to psuj i niepraktyczny dziad, który niszczy życie innym przez to właśnie, że „się zna na ekonomii", a jednocześnie nie ma pojęcia o handlu. Szeregowy obywatel stale obcuje z handlem, ale nigdy nie obcuje z ekonomią. Pod rządami (głupimi!) fachowców od ekonomii zwykły człowiek nigdy nie ma do czynienia z ekonomią, choć stale coś kupuje, za coś płaci, coś sprzedaje (np. swój czas pracy na etacie) – my wszyscy zajmujemy się HANDLOWANIEM, a ekonomia i ekonomiści to banialuki i przekręt.

Trump to wie, bo Trump to praktyk, czyli handlarz. Komu wolałbyś oddać swoją forsę w zarządzanie: handlarzowi czy ekonomiście? Amerykanie oddali swój majątek narodowy w zarząd handlarzowi. Pozytywne efekty i ZAROBEK pojawiły się od ręki.

***

Donald Trump nakłada cła po to, by je zdjąć. Ekonomiści nie wpadają na takie pomysły. Trump nałożył cło w wysokości 25 proc. na Kanadę i Meksyk, aby zmusić te kraje do pilnowania swoich granic. Kanada i Meksyk miały sobie POLICZYĆ, co im wyjdzie taniej: zainwestować w pilnowanie granicy i handlować z USA bez cła czy na odwrót. Żadnego z tych krajów nie stać na utratę takiego rynku zbytu, jakim są Stany Zjednoczone, dlatego w obu przypadkach granica będzie pilnowana i o to chodziło od początku. Cło umiejętnie stosowane jest bardzo skutecznym narzędziem.

Przykład: zamiast męczyć się z zalewem ukraińskich produktów rolnych, które niszczą polskie rolnictwo, można nałożyć cło w wysokości 500 proc. i to mogą zrobić premier lub minister. ©℗



eprasa.pl 8d07af6ce2

**Uwaga: nowe ceny na rok 2025**

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# ROCZNA PRENUMERATA

## TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

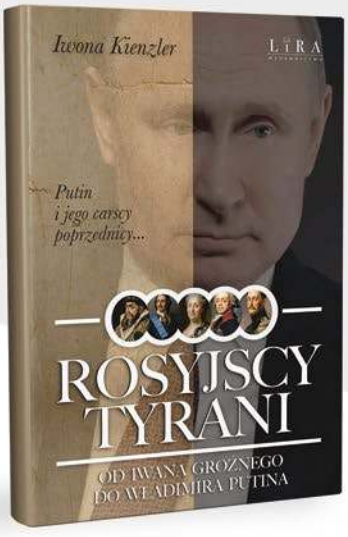


+

**W PREZENCIE**

**KSIĄŻKA**

**IWONA KIENZLER: „ROSYJSCY TYRANI"**

**ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

~~1473~~ ZŁ

**492,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 981 ZŁ**

### CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8d07af6ce2

# SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

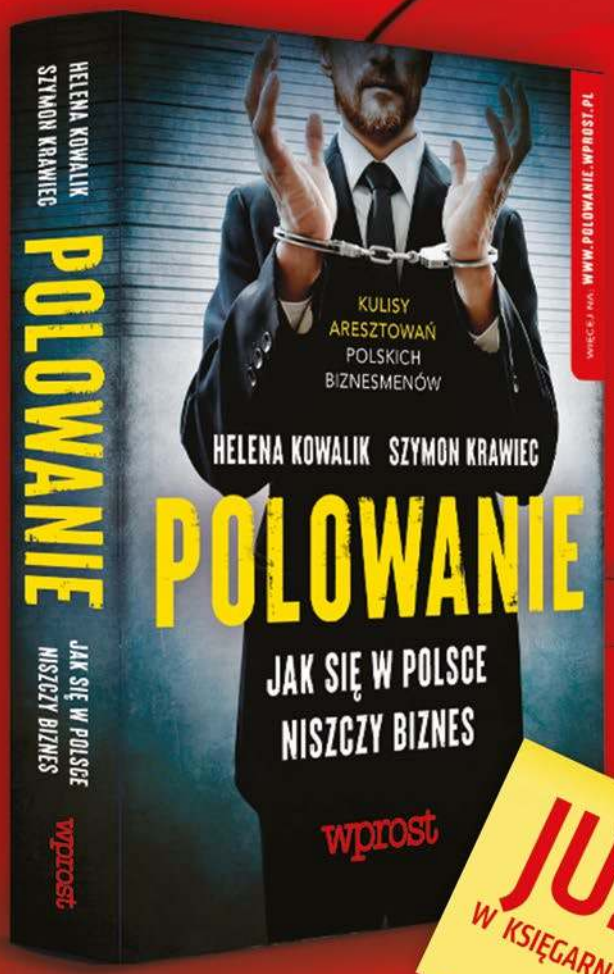


KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

**KSIAZKA.WPROST.PL**

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 8d07af6ce2